

SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO

ISSN 2719-9096

NR 2 / 2021

OŚTOJA

BERLIN – WARSZAWA – WILNO

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE



1940 • TOSHIK 1941 • MONTE CASSINO-ANCONA-BOLOGNA 1944 • PALAIS-BREDL-ARINHEZ 1944 • POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944 •



Nagroda im. Witolda Hulewicza

Edycja XXV

„Po dziesięciu miesiącach heroicznego męczeństwa został rozstrzelany w Palmirach o świcie 12 czerwca 1941 roku. Tak zginął tłumacz i przyjaciel Rilkego, jednego z największych mistrzów mowy niemieckiej, autor pięknej, pełnej uwielbienia książki o jednym z największych kompozytorów niemieckich – Beethovenie”.

Jan Parandowski

Mamy zaszczyt zaprosić Państwa na uroczystość wręczenia dorocznych

Nagród imienia Witolda Hulewicza

Uroczysta Gala odbędzie się 4 czerwca 2021 roku (piątek)
o godzinie 17.00

Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89, aula Domu Literatury

PATRONI HONOROWI



MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA
MAZOWIECKIEGO
ADAM STRUŻIK



MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO
MAREK WOŹNIAK



KGHM
POLSKA MIEDŹ



Państwo
Anna i Piotr
Voelkelowie

SPONSOR

DONATORZY

PATRONAT MEDIALNY



Stowarzyszenie
Imienia
Witolda
Hulewicza

ORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE IM. WITOLDA HULEWICZA
00-175 Warszawa, Aleja Jana Pawła II nr 70
tel. +48 22 636 74 76, +48 531 507 527

Za Ojczyznę

■ IRENEUSZ ST. BRUSKI



Rycerz w pełnej zbroi, w przykłęku, wsparty o rękojeść miecza, z ogromnym husarskim skrzydłem u ramion. Twórca tego dzieła intuicyjnie czuł, że w ten sposób, odpowiednio i godnie upamiętni ofiarę, jaką złożyli polscy żołnierze na wielu frontach, walcząc i oddając Ojczyźnie to, co najcenniejsze – swoje życie.

Poeta Feliks Konarski w 1944 roku pisał, a pokolenia śpiewają po dziś dzień: „Runęli przez ogień straceńcy, / Niejeden z nich dostał i padł, / Jak ci z Samosierry szaleńcy, / Jak ci spod Rokitny sprzed lat. / Runęli impetem szalonym / I doszli, i udał się szturm, / I sztandar swój biało-czerwony / Zatknęli na gruzach wśród chmur”.

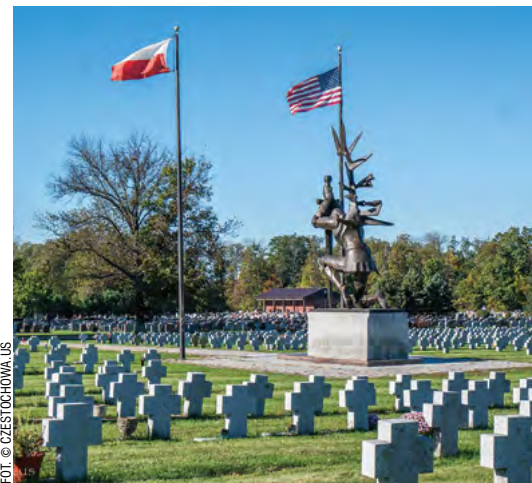
Monumentalne dzieło Mistrza Pityńskiego „Mściciel – Husarz”, postawione na cmentarzu Weteranów Armii Polskiej w Amerykańskiej Częstochowie w Doylestown w Pensylwanii, góruje nad polem białych krzyży... „Bo wolność krzyżami się mierzy, / Historia ten jeden ma błąd”.

W drugim wydaniu „Ostoi” pragniemy przypomnieć postać niezwykle Polaka; twórcę, który osiągnął wyjątkowy sukces artystyczny siłą swojego talentu, pracy i wytrwałości – Andrzeja Pityńskiego. Gros jego monumentalnych dzieł, znajduje się poza

rodzinną ziemią (Jersey City, Doylestown, Boston, New Jersey, Baltimore), choć i w Polsce, dzięki mecenasom, głównie zza Oceanu, i życzliwości miejscowych władz, natknijemy się na jego dzieła. To „Patriota” w Stalowej Woli czy „Armia Błękitna” w Warszawie, ale to również pomniejsze – co nie znaczy, że nie równie ważne w swojej wymowie – dzieła, m.in. na rodzinnym Podkarpaciu, w Ulanowie. Ostatni monumentalny jego pomnik „Rzeź Wołyńska” – dar Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce dla Narodu Polskiego – odlany w brązie, który od kilku lat czeka w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych, chyba wreszcie znajdzie swoje miejsce...

Tak, jak prawda o nieludzkim okrucieństwie z rąk ukraińskich sąsiadów i krwi wsiąkniętej w ziemię byłego województwa wołyńskiego II Rzeczypospolitej, która przez lata z trudem docierała do opinii publicznej, podobny los spotkał dzieło Mistrza z Ulanowa. Wprawdzie niektórzy mieli odwagę i byli chętni przyjąć ten niezwykle pomnik „prześiętny realistyczną prawdą, pokazujący okrucieństwo tamtych wydarzeń” (W. Zych), ale głos poprawności politycznej, zarówno po stronie władz, jak i hierarchii kościelnej, zwyciężał... Aż do czasu, gdy odważni przedstawiciele Rady Gminy podkarpackiego Jarocina zabrali głos!

Co przyniosą najbliższe dni, czy może pojawią się kolejne problemy... Jakież też



będą tegoroczne obchody rocznicy krwawej niedzieli na Wołyniu '43 roku? O tym przekonamy się wkrótce...

Po wydaniu pierwszego numeru „Ostoi” dotarły do redakcji liczne gratulacje, ciepłe słowa i listy z życzeniami. Dziękuję za nie, podobnie jak za pierwsze recenzje opublikowane w niektórych mediach. Jednak nie tylko gratulacje, ale również wsparcie finansowe popłynęło już od naszych Czytelników. Dziękuję zatem Donatorom: paniom Bożenie Kociolkowskiej, Małgorzacie Niczuk i Radosławie Pieniężnej-Grabowskiej. Bardzo dziękuję panu dr. Peterowi Raina, który całą nagrodę finansową związaną z Grand Prix Nagrody im. Witolda Hulewicz za rok 2020 przeznaczył na druk „Ostoi”. Dzięki tej donacji możemy podwoić nakład obecnego wydania naszego czasopisma.

Licząc na dalszą Państwa życzliwość, zapraszam do lektury. ■

„Pieśń o fładze

Jedna była – gdzie? Pod Tobrukiem.
Druga była – gdzie? Pod Narvikiem.
Trzecia była pod Monte Cassino.

A każda jak zorza szalona,
biało-czerwona, biało-czerwona!
czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Zebrały się nocą flagi.
Flaga fładze dodaje odwagi:
– No, noo, nie bądź taka zmartwiona.
Nie pomogą i moce piekła:
jam ciebie, tyś mnie urzekła,
nie zmogą cię bombą ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę.
I nigdy nie będziesz biała,
i nigdy nie będziesz czerwona,
zostaniesz biało-czerwona
jak wielka zorza szalona,
czerwona jak puchar wina,
biała jak śnieżna lawina,

najukochańsza, najmiłsza,
biało-czerwona.

Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,
zrobił dziurę w czerwieni i w bieli.
Lecz wołały flagi: – Nie płaczcie!
Choćby jeden strzępek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli.
Zostaniemy biało-czerwone,
flagi święte, flagi szalone.
Spod Tobruka czy spod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,
zostaniemy biało-czerwone,
czerwone jak puchar wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało-czerwone.

O północy przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr.
Były szarfy i orderzy, i muzyka
i stukot tajny szyfr.
Diabły w sercu swoim głupim, bo niedobrym
rozwiązywały biało-czerwony problem.

Łkała flaga: – Czym powinna
zginąć bo jestem inna?
Bo nie taka... dyplomatyczna,
bo tragiczna, bo nostalgiczna,
ta od mgieł i od tkliwej rozpaczki,
i od serca, które nic nie znaczy,
flaga jak ballada Szopenowska,
co ją tkąta sama Matka Boska.

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko,
hej, wysoko, ku samym obłokom!
Jeszcze wyżej, gdzie się wszystko zapomina,
jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa!
Warszawa, jak piosenka natchniona,
Warszawa biało-czerwona,
biała jak śnieżna lawina,
czerwona jak puchar wina,
biało-czerwona, biało-czerwona,
hej, biało-czerwona.

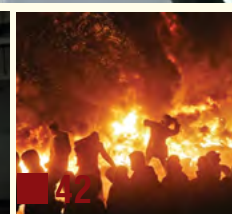
K.I. Gałęziński

- 4 Biernacki: Ostoja naszego trwania
- 6 Truszczyński: Rzeź wołyńska
- 10 Andrzej Pityński. Rzeźbiarz
- 12 Sajnog: Patriotyzm i społeczeństwo
- 12 Bocheński: Patriotyzm
- 13 Bryll: Idę po morzu...
- 14 Karaś: Złota Jedenastka
- 18 Kępczyński: Taniec jest w nas
- 19 Czy jedno przedstawienie może zmienić świat? Wywiad z Krzysztofem Pastorem
- 25 Acentowicz: Synowie Araratu
- 29 Goljat: Kreatywność sprzed tysięcy lat
- 32 Pańków: „Nowe szaty cesarza...”
- 34 Świegocki: Norwid i my...
- 38 Karaś: Tu są Niemcy – cz. 1
- 42 Prandota: Zderzenie dwóch cywilizacji
- 46 Paszkiewicz-Jägers: Miłość – Wolność – Precz z dyktaturą!
- 48 Królikowska-Avis: Cywilizacja Zachodu na rozdrożach wartości
- 51 Pieniężna-Grabowska: Ojciec polskiej ortopedii
- 54 Raina: Hitler. Koniec Legendy – cz. 2
- 60 Urbankowski: Niemieckie stodoły śmierci
- 64 Bruski: Czy Niemcy przepraszają?
- 65 Markowska: „Praworządność po niemiecku”...
- 67 80. rocznica śmierci Hulewicza
- 68 Rowiński: Jak było, jak jest, jak być może
- 70 Pogórska: Jak powstawała kaplica...
- 72 Stańczak: Sztáfeta znicza do Hulewicza
- 76 Mendakiewicz: Balet w dobie pandemii
- 78 Kociolkowska: Wszystko zaczęło się w Warszawie – cz. 2
- 80 Leśniowska: Z Olsztyna do Chicago
- 83 Burczycka-Woźniak: Midrasz o dziejach
- 84 Kabaret Małgorzaty Todd
- 85 Przychodzki: Trekking po natęczowsku
- 86 Tetter: Dewiacja XXI wieku?
- 87 Mika: „Pamięć Jastrzębska” pamięta
- 88 Kumorek: „Traditio” po raz 13.
- 88 Apel Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska”

NA OKŁADCE

I strona: „Mściciel – Husarz” Andrzeja Pityńskiego, Fot. © Białczyński.pl
FB / Polish Hussar

IV strona: „Czerwone maki...”, maj 2018.
Fot. © Adina Voicu, RO



SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

- **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527
00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70 lok. 48, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
- **KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Jerzy Biernacki, Dobrochna Bugiera, Romuald Karaś,
Radosława Pieniężna-Grabowska, Peter Raina, Stefan Truszczyński
- **AUTORZY:** Beata Adamczyk, Ernest Bryll, Marzena Burczycka-Woźniak, Małgorzata Chomicz,
Aleksander Czajkowski-Ładysz, Wojciech Goljat, Agnieszka Karaś, Bożena Kociolkowska,
Elżbieta Królikowska-Avis, Zbigniew Majewski, Mikołaj Melanowicz, Anna Mendakiewicz,
Jerzy L. Okuniewski, Jakub Pańków, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota,
Lech L. Przychodzki, Aleksander Rowiński, Zbigniew Sajnog, Edward W. Stańczak,
Kazimierz Świegocki, Jan Tetter, Małgorzata Todd, Bohdan Urbankowski
- **DRUK:** Przedsiębiorstwo Poligraficzne HAKUS Maria i Andrzej Kuśmierczyk s.j.
- **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza
00-175 Warszawa, al. Jana Pawła II nr 70 lok. 48, tel. +48 22 636 74 76
- **KONTO:** PKO BP nr 33 1020 1097 0000 7002 0267 6500

Raport o wolności religijnej

Wolność religijna jest poważnie naruszana w co trzecim kraju na świecie – to wniosek z najnowszego Raportu ACN International (*Religious Freedom in the World Report*), ogłoszonego 20 kwietnia. Z badań wynika, że w latach 2018-2020 to podstawowe prawo nie było przestrzegane w około jednej trzeciej krajów świata.

W 26 krajach ludzie cierpią z powodu prześladowań, a w 95 proc. z nich sytuacja w okresie objętym badaniem uległa dalszemu pogorszeniu. Dziewięć krajów pojawia się w tej kategorii po raz pierwszy: siedem w Afryce (Burkina Faso, Kamerun, Czad, Komory, Demokratyczna Republika Konga, Mali i Mozambik) i dwa w Azji (Malezja i Sri Lanka).

Statystyki odzwierciedlają jeden z głównych wniosków zawartych w dokumencie: radykalizację kontynentu afrykańskiego, zwłaszcza w Afryce Subsaharyjskiej i Wschodniej, gdzie nastąpił dramatyczny wzrost obecności grup dżihadystycznych. Naruszenia wolności religijnej – w tym skrajne prześladowania, takie jak masowe zabójstwa – mają obecnie miejsce w 42 proc. wszystkich krajów afrykańskich. Burkina Faso i Mozambik to tylko dwa jaskrawe przykłady.

Radykalizacja dotyczy nie tylko kontynentu afrykańskiego: raport ujawnia powstanie ponadnarodowych sieci islamskich rozciągających się od Mali do Mozambiku w Afryce Subsaharyjskiej, przez Komory na Oceanie Indyjskim, aż po Filipiny na Morzu Południowocchińskim, których celem jest utworzenie tak zwanego „transkontynentalnego kalifatu”.

Raport zwraca też uwagę na inny nowy trend: wykorzystywanie technologii cyfrowej, sieci cybernetycznych i masowej inwigilacji opartej na sztucznej inteligencji (AI) oraz technologii rozpoznawania twarzy w celu zwiększenia kontroli i dyskryminacji w niektórych narodach o najgorszych wskaźnikach wolności religijnej. Najbardziej widoczne jest to w Chinach, gdzie Komunistyczna Partia Chin prześladowuje grupy religijne za pomocą 626 mln kamer inwigilacyjnych i skanerów smartfonów wyposażonych w sztuczną inteligencję. Również grupy dżihadystów wykorzystują technologię cyfrową do radykalizacji i rekrutacji zwolenników.

Badania wykazały, że w 42 krajach (21 proc.) wyrzeczenie się lub zmiana religii może prowadzić do poważnych konsekwencji prawnych i/lub społecznych, począwszy od ostracyzmu w rodzinie, a skończywszy nawet na karze śmierci.



Raport podkreśla również wzrost przemocy seksualnej stosowanej jako broń przeciwko mniejszościom religijnym – przestępstwa wobec kobiet i dziewcząt, które są uprowadzane, gwałcone i zmuszane do konwersji.

Obecnie około 67 proc. ludności świata, czyli około 5,2 mld ludzi żyje w krajach, w których dochodzi do poważnych naruszeń wolności religijnej, w tym w krajach o największej liczbie ludności: Chinach, Indiach i Pakistanie. W wielu z nich głównym celem represji są mniejszości religijne. Według raportu nasiliły się również prześladowania religijne ze strony autorytarnych rządów. Promowanie supremacji etnicznej i religijnej w niektórych krajach Azji, w których większość stanowią hinduiści i buddyści, doprowadziło do dalszego ucisku mniejszości, często sprowadzając ich członków do roli obywateli *de facto* drugiej kategorii. Najbardziej skrajnym przykładem są Indie, ale podobna polityka stosowana jest m.in. w Pakistanie, Nepalu, Sri Lance, Myanmarze.

W Raporcie stwierdza się, że na Zachodzie nastąpił wzrost tzw. „uprzejmych prześladowań” (termin ten został użyty przez papieża Franciszka, aby opisać, jak nowe normy i wartości kulturowe wchodzą w głęboki konflikt z prawami jednostki do wolności sumienia i sprowadzają religię „do zamkniętych pomieszczeń kościołów, synagog lub meczetów”).

Badania dotyczą również głębokiego wpływu pandemii Covid-19 na prawo do wolności religijnej. Ze względu na skalę

sytuacji nadzwyczajnej rządy uznały za konieczne wprowadzenie nadzwyczajnych środków, w niektórych przypadkach stosując nieproporcjonalne ograniczenia kultu religijnego w stosunku do innych działań świeckich. W krajach takich jak Pakistan czy Indie, wstrzymano pomoc humanitarną wobec mniejszości religijnych. Pandemii wykorzystano również jako pretekst do napiętnowania niektórych grup religijnych za rzekome jej spowodowanie/rozprzestrzenianie, co zaobserwowano szczególnie w mediach społecznościowych.

Zastanawiając się nad znaczeniem ustaleń Raportu o Wolności Religijnej na świecie, Prezydent Wykonawczy PKWP (ACN International) dr Thomas Heine-Geldern stwierdził: „Niestety, pomimo – aczkolwiek ważnych – inicjatyw ONZ i obsadzenia stanowisk ambasadorów wolności religijnej, do tej pory odpowiedź społeczności międzynarodowej na przemoc na tle religijnym i prześladowania religijne w ogóle, można sklasyfikować jako zbyt małe i zbyt późne”.

Tegoroczny *Religious Freedom in the World Report* jest piętnastym z kolei; pierwszy opublikowano w 1999 roku. Ukazuje się co dwa lata i analizuje w jakim stopniu podstawowe prawo człowieka do wolności religijnej, chronione na mocy art. 18 *Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka*, jest respektowane względem wszystkich religii na całym świecie.

ISB, ANCI ■

□ Pełny tekst Raportu można pobrać ze strony internetowej: acninternational.org

Ostoja naszego trwania

■ JERZY BIERNACKI



Od ponad trzydziestu lat Polacy są osądzeni przez lewicowe i liberalne środowiska opiniotwórcze, zarówno w kraju, jak i za granicą, jako ksenofobi, antysemita i nacjonalista, a od pewnego czasu również jako homofobi, chociaż termin homofobia nie zyskał aprobaty wolnych od poprawności politycznej akademików i publicystów, jako swoje uroszczenie językowe. Pozostawmy jednak tę ostatnią sprawę do osobnego rozważenia.

Wnuczka generała Stanisława Maczka, dziennikarka, przyjechała na reportaż do USA; gdy na pytanie, kim jest, odpowiedziała, że jest Polką, całe grono wykrzyknęło od razu jednym głosem: „A, to ty jesteś antysemitka!”. W rezultacie, jak powiedział już przed laty Jeremi Królikowski – wieloletni wydawca swobodnego okapi wśród periodyków, a mianowicie czasopisma „Arche” – „Polaków nauczono wstydić się patriotyzmu”. Potem nastąpiła eskalacja tego rodzaju pedagogiki wstydu. Ręce opadają, gdy się słyszy dzisiaj, jak Robert Lewandowski, dziękując za komandorię, zapewnia, że nigdy nie wstydił się tego, że jest Polakiem! A dumny nigdy nie był?!

Tak ów osąd powszechny i jednoznaczny, europejski i światowy, oparty na ignorancji i swoistym lewackim debilizmie, dotyka również postawy czystego patriotyzmu, ukształtowanego w Polsce przez wieki, wolnego od wszelkich przechyłków w kierunku nacjonalizmu, szowinizmu czy jakiegokolwiek nietolerancji. To ten rodzaj racjonalnej miłości Ojczyzny, będącej zarazem postawą walki o sprawiedliwość i prawa człowieka, oraz o prawa narodów, którą przyjmowali ci Polacy, co „na stos, rzucili swój życia los”. Nie tylko w latach 1914–1920. A więc postawy uniwersalnej w swej charakterystyce, wbrew niesprawiedliwym zarzutom mówiącym o jakiejś ciasnocie umysłowej i zaściankowoci. „Ja jestem z zaścianka” – mówił Wojciech Kilar, kompozytor światowej sławy, twórca muzyki nie znającej granic. Tymczasem tego rodzaju stanowisko dla legionu bojowników politycznej poprawności (która jest po prostu kłamstwem i niczym więcej) jest nie do przyjęcia i stanowi dowód na to, że w swych zarzutach mają rację. Najlepszy dowód, gdy europejska elita

uchwala rezolucję potępiającą Polskę na podstawie sprytniej, na kłamstwie opartej prowokacji, a nie faktów.

Oskarżenie o ksenofobię jest szczególnie wymyślne i przewrotne, a w rzeczywistości bezpodstawne i śmieszne, gdyż dotyczy narodu, który w dziejach raczej był oskarżany o cudzoziemszczyznę. Aleksander Fredro, jak wiadomo, napisał na ten temat komedię pod takim właśnie tytułem (*Cudzoziemszczyzna*, 1822), a Juliusz Słowacki, jak pamiętamy, chlostał ojczyznę swoim ciętym językiem:

*Polsko! lecz ciebie błyskotkami ludzka!
Pawiem narodów byłaś i papuga...*

Czyżby Polacy tak radykalnie się zmienili, zamieniając postawę otwartą na świat i dobra zeń płynące (i materialne, i duchowe), na lęk przed obcymi? Nonsens! Nie ma żadnego, najbłedszego choćby śladu tego rodzaju przemiany w naszych najnowszych dziejach. Świadczyć o tym dane o powszechnym poparciu akcesji wolnej Polski do NATO i do Unii Europejskiej oraz niezmienny (mimo ciężkich doświadczeń z niedawnej przeszłości, włącznie ze zdradą sojuszników i to kilkakrotnie), kult Zachodu, jego cywilizacji i kultury, aż po chętną (zbyt chętną!) recepcję jej spaczonych objawień! Nie mówiąc już o bałwochwalczym wręcz stosunku do USA. Gdzież więc ta ksenofobia, gdzie ów lęk? Czy w pamiętnych długich kolejkach do ambasady amerykańskiej, by wziąć udział w niesprawiedliwej z gruntu loterii wizowej, a nuż się uda?!

Patriotyzm polski kształtował się, jak stwierdziłem, przez wieki, i to w szczególnych warunkach. Zaznaczam nawiasem, że nie napisałem „patriotyzm Polaków”, ponieważ ta racjonalna miłość Ojczyzny obejmuje również wielu spośród tych, którzy Polskę sobie za Ojczyznę przybrali (czy też może, jak powiedział Rymkiewicz, których wybrała ta ogromna siła zwana polskością?), Litwinów, Rusinów, Tatałów, Ormian, Żydów, Niemców, Szkotów, Holendrów czy Włochów lub Francuzów.

Będąc na cmentarzu żołnierzy polskich na Monte Cassino, skwapliwie policzyłem groby, nad którymi nie było krzyży, lecz gwiazdy Dawida – jest ich osiemnaście. Według mego zdania – a sądzę, że i wielu innych je podzieli – nie ma większych patriotów polskich od tej osiemnastki, zważywszy trzy tysiące dezertów, których gen. Anders nie kazał ścigać i którzy odłączyli się od wojska w Palestynie, by walczyć o wolne państwo Izrael.

Wracając do dawniejszych dziejów kształtowania się postaw patriotycznych – trzeba by chyba sięgać aż po Zawiszę Czarnego, który walczył także na rzecz Węgrów, i do szczególnego stosunku między szlachtą polską a władzą królewską, który w końcu (*liberum veto*, przywileje, złota wolność szlachecka aż po anarchię różnych rokoszy i konfederacji) przyniósł najczarniejsze karty polskich dziejów, ale przez wieki miał pozytywne znaczenie, bo kształtował postawy w wolności, a nie pod naciskiem przymusu. Wreszcie unia z Litwą, najpierw personalna, a potem – od 1569 roku, od Unii Lubelskiej – realna.

Zatrzymajmy się nad tą Unią. Wymagało to przecież szczególnej wyobraźni politycznej, wszakże Zygmunt August mógł z łatwością przyłączyć Wielkie Księstwo Litewskie siłą do Polski. Tak postąpił w 1569 roku z częścią ziem – Wołyniem, Braclawszczyzną i Podlasiem, za aprobatą szlachty polskiej, aby skłonić Litwinów skutecznie do zawarcia Unii Lubelskiej, gdy obrady Sejmu Lubelskiego szły opornie, a delegaci litewscy z Radziwiłłem na czele opuścili je nawet obrażeni, w obawie utraty swoich przywilejów i swej władzy. Wszystko się dobrze skończyło, bo Polacy tego właśnie chcieli z królem na czele i chciała litewska szlachta, która na sejmikach zwołanych w wielu miejscowościach po prostu zmusiła swoich przywódców do powrotu do obrad, gdyż pragnęła zrównania w przywilejach ze szlachtą polską, a poza tym to było mądre i stawiało zaporę wrażej imperialnej Moskwie, jakiej nie postawiono by w żaden inny sposób.

Unia Lubelska też była ze strony polskiej przejawem głębokiego patriotycznego myślenia, wykluczającego szowinizm i wynoszenie się ponad innych, o czym świadczy m.in. krytyka stanowiska Stanisława Orzechowskiego zawartego w *Quincunxie*, w którym wybitny ten pisarz Złotego Wieku wyróżnia Rzeczpospolitą jako królestwo, a Litwie przysądza rolę księstwa, opierając swoje rozumowanie na pojęciach wyższości i niższości. Uznanie dla pisarskiego kunsztu Orzechowskiego, wspaniałego stylisty, znalazło swój wielokrotny wyraz, na równi jednak z potępieniem jego szowinistycznych zapędów. Nie sądzę, by w tych opiniach następowała ekstrapolacja późniejszej, XIX- i XX-wiecznej, wrażliwości na ocenę wcześniejszych wydarzeń. W tej mierze mieliśmy do czynienia z constansem, od XVI stulecia aż po dzisiaj. I co więcej, trwał on również pod piórami profesorów



Jan Matejko, Konstytucja 3 Maja 1791 roku, 1891

FOT. © ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

historii i historii literatury, których opcje były zbliżone do Narodowej Demokracji, jak np. pod piórem prof. Juliusza Nowaka-Dłużewskiego.

Bez wątpienia, największy wpływ na ukształtowanie się ostatecznej niejako formy polskiego patriotyzmu, miały wydarzenia związane z popadnięciem Polski w niewolę i z próbami wydostania się spod jarzma trzech zaborców. Już w okresie Oświecenia, poprzez działania prowadzące do stworzenia nowoczesnego społeczeństwa i demokratycznego ustroju, poczynając od reformy szkolnictwa ks. Stanisława Konarskiego; tego, który odważył się być mądrym, i jego dzieła przeciwko *liberum veto*. Potem była Konfederacja Barska (jakże bliska Juliuszowi Słowackiemu!), tak szkodliwie interpretowana przez marksistowskich historyków antypolskich, następnie dzieła Staszica, z jego nowoczesną rolą koryfeusza nauk, a także wspaniałą postawą społeczno-moralną, dalej Kołłątaja (reorganizacja Akademii Krakowskiej), Piramowicza, Ormianina z pochodzenia (Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych) – wszyscy księża katolicy, dalej pierwsze na świecie ministerstwo oświaty, czyli Komisja Edukacji Narodowej, wreszcie szczyt – Konstytucja 3 Maja. Pośród tych wydarzeń, z ich klimatu i wartości rodziły się, można rzec, załączki nowoczesnej postawy patriotycznej, hartowanej potem w licznych walkach „za Wolność Waszą i Naszą”, (szczególnie w okresie napoleońskim, ale i później) i zmagania powstańcze aż po lata 1914-1920 i wielkie zwycięstwo nad bolszewikami, które uchroniło przed rewolucyjną pożogą nie tylko Polskę, ale i Europę Zachodnią.

Reforma oświaty w Polsce międzywojennej i jej skutki w postaci nowoczesnego, europejskiego szkolnictwa powszechnego i średniego, a także wysoki poziom nauko-

wy uniwersytetów, szczególnie Jagiellońskiego oraz Jana Kazimierza we Lwowie i Stefana Batorego w Wilnie, jak również ich oddziaływanie społeczne, wysiłki i osiągnięcia gospodarcze Kwiatkowskiego i Grabskiego (Gdynia, złotówka, COP) – to czynniki które w dalszym ciągu współkształtowały postawy młodego pokolenia, silnie związanego duchowo z Kościołem katolickim (choć nie wyłącznie) i jego nauką oraz zasadami moralnymi. Do tego trzeba dodać fantastyczny dorobek kultury i sztuki, nauk przyrodniczych i techniki, literatury i publicystyki, w przebogatej palecie prasy kulturalnej tego okresu, na czele z lewicującymi, ale umiarkowanymi, „Wiadomościami Literackimi” Mieczysława Grydzewskiego. To te czynniki łącznie sprawiły, że pokolenie to, szczególnie inteligentkie w szerokim pojęciu tego słowa, zdało najtrudniejszy egzamin w dniach śmiertelnego zagrożenia kraju ze strony dwóch zbrodniczych totalitaryzmów Hitlera i Stalina.

Czyż Żośka, Alek i Rudy, wraz z ich wychowawcą, Aleksandrem Kamińskim, nie byli takimi patriotami, będąc zarazem dziedzicami i obrońcami europejskiego etosu? Tak samo jak rtm. Witold Pilecki, płk Stanisław Sojczyński „Warszyc”, Jan Rodowicz „Anoda”, gen. August Emil Fieldorf „Nil” (nie mający ani kropli krwi polskiej w swoich żyłach!), kpt. Zygmunt Szyndzielarz „Łupaszka” i tysiące innych. Oni zostali przyjęci po bohaterskiej śmierci, jak mówi Poeta, do „grona zimnych czaszek / do grona swoich przodków: Gilgamesza, Hektora, Rolanda / obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów”.

Nikomu chyba nie trzeba udowadniać, że patriotyzm powstańców warszawskich nie miał nic wspólnego z zaściankowością, nacjonalizmem czy szowinizmem, że zahartował się w potwornym ogniu walki

także przeciwko tym niebezpiecznym pokusom, którym młodzi Polacy, walczący nie tylko o swoje miasto i swój kraj, o jego wolność i suwerenność, w swej miazdzącej większości nigdy nie ulegali.

O tym, o co oni walczyli, tak pisał Kazimierz Wierzyński w wierszu pt. *1-go września 1944*:

*Jeśli padnie Warszawa,
to nie miasto padnie,
I nie polska stolica w podziemiach
swych skona,
Lecz wolność wszystkich ludzi,
zdeptana gdzieś na dnie,
I prawda wszystkich czasów,
przez wszystkich zdradzona.*

I tak zahartowany ów fenomen polskiego patriotyzmu trwa do dzisiaj, fenomen jak z najszlachetniejszego kruszcu, bez żadnych przymieszek, w Polsce, której suwerenne władze nigdy, jak pisał Jacek Trznadel w książce *Spór o całość. Polska 1939-2004*, nie zarządziły ani nie wzięły udziału w żadnej antysemickiej hecy (nie mówiąc o zbrodniach), która przed wojną nie zgodziła się na zorganizowanie kongresu faszystowskiego w Warszawie, w której organizacje o charakterze nacjonalistyczno-szowinistycznym poddawane są nieustającej chłostce kpiny, szyderstwa i potępienia.

Blisko półwieczny okres panowania komunizmu, mimo spowodowania wielu szkód, nie zmienił tego w sposób zasadniczy, tak jak nie zmienił polskiego wychylenia ku Zachodowi, do którego jesteśmy przywiązani od stuleci tysiącem widzialnych i niewidzialnych nici. Gorzej oddziałal w tej mierze okres III RP, o czym już była mowa. Dlatego warto przypominać, jak sądzę, dzieje polskiego patriotyzmu, okoliczności i sposoby jego kształtowania się i jego prawdziwy uniwersalny charakter, jako niezbywalnego elementu polskiej tożsamości, ostoji naszego trwania.

JERZY BIERNACKI ■



Przykro jest mi o tym mówić, ale wydaje mi się, że w Polsce następuje transfuzja krwi z polskiej na ukraińską. Panuje jakaś dziwna znieczulica, ośpienie i tchórzostwo na temat rzezi wołyńskiej oraz paraliżujący strach przed Ukraińcami, a także fałsz, obłuda, zakłamanie, chęć tuszowania i ukrywania najohydniejszej zbrodni ukraińskich bandytów z UPA na bezbronnych polskich dzieciach, kobietach i starcach.

Andrzej Pityński

Rzeź wołyńska

■ STEFAN TRUSZCZYŃSKI



Jest 13 grudnia 1981 roku, dochodzi dwunasta w nocy. Do domu Pityńskich w Ulanowie ktoś się dobija. Osiemdziesięcioletni ojciec Andrzeja wstaje z łóżka, otwiera drzwi. Wpadają. ZOMO! Aresztują. Wywożą do więzienia, bo ten starszy pan jest... groźnym działaczem „Solidarności”.

Od pokoleń w tej rodzinie Bóg, honor, Ojczyzna to nie były tylko słowa. Wspomnienia flisackie o spalwaniu wielkich drewnianych bali Sanem i Wisłą do Bałtyku – przenoszone z pokolenia na pokolenie – opowieści o okupacji ruskiej, niemieckiej, o zamordowaniu dwóch i pół tysiąca Żydów już we wrześniu 1939 roku, a także cicho przekazywane informacje o partyzantach, o ludziach z lasu i o represjach ubeckich – to wszystko zapamiętało i wyobraźnię chłopca, a potem młodego mężczyzny. W takiej atmosferze domowej rósł. Nic dziwnego, że narzuconej władzy nie szanował. Porywczy, silny, na swój naiwny sposób protestował – w szkole, na studiach. Kończyło się to pobiciem, aresztowaniem. Gdy nadarzyła się okazja wyjechał z Polski. Daleko. Aż za ocean.

Młody, odważny dał sobie radę, został sławnym rzeźbiarzem.

Przez kilkadziesiąt lat ogniem i młotem wykuwał medale, rzeźby i pomniki. Motywy były polskie, historyczne, religijne. Postacie dla nas najważniejsze: Jan Paweł II, Maria Skłodowska-Curie, ksiądz Jerzy Popiełuszko. I wielu innych. Stoją teraz te polskie znaki w wielu miastach Ameryki i w kraju nad Wisłą. Rycerze zbrojni, partyzanci – na placach, w świątyniach, na cmentarzach. W Warszawie Pityński oddaje cześć hallerczykom, w Ulanowie naszemu papieżowi, a także ludziom zasłużonym dla rodzinnego miasteczka – rodzinom flisaków, a w urzędzie miejskim znajduje się wielka płaskorzeźba poświęcona męczeństwu ulanowskich Żydów.

Dobrze, że prezydent Polski Andrzej Duda zdążył odznaczyć naszego wielkiego rzeźbiarza, gorącego patriotę orderem najwyższym – Orła Białego.

W lipcu 2018 roku, po zwycięskiej walce jednoczącej Polonię na całym świecie w obronie pomnika katyńskiego w Nowym Jorku, gdy władze Jersey City chciały monumentalną rzeźbę żołnierza przebitego ruskim bagnietem usunąć, rozmawiałem z mistrzem Andrzejem Pityńskim. Oto fragmenty tego wywiadu.

Zanotowałem wówczas: „To jest symbol paktu Ribbentrop-Mołotow, podania sobie łap dwóch zbrodniarzy, Hitlera i Stalina, żeby zniszczyć naród polski. Druga wojna światowa w historii naszego narodu jest najbardziej tragiczna. Mordowali nas wszyscy, mordowali nas od wschodu do zachodu, od południa do północy. Niemcy, gestapo, Rosjanie, Armia Czerwona, NKWD w gułagach. Nawet Litwini nas



mordowali w Ponarach, nawet nasi południowi Słowacy się dołożyli. No, a potem przyszedł nowy okupant, przyszła Żydokomuna – UB. Przecież Stalin im tylko wierzył. Nawet polskim komunistom nie wierzył. To była maszyna zbrodni. A przedtem rzeź wołyńska. Byłeś Polakiem, to byłeś skazany na śmierć. Tylko dlatego, że byłeś Polakiem i że byłeś katolikiem. Zdradzali nas w Jałcie, zamordowali Sikorskiego. Historia się powtarza. Teraz Smoleńsk...”

Zatrzymuję magnetofon. Wracam do początku nagrania z 2018 roku, do opowieści Andrzeja Pityńskiego o rodzinie:

– Mój ojciec i moja mama, i mojej matki brat byli najpierw w AK potem w Narodowym Związku Wojskowym. Ojciec ujawnił się w 1947 roku. Mama się nigdy nie ujawniła. A matki brat, Michał Krupa, to już legenda, ukrywał się do 1959 roku. W Kulnie go dopadli. Ja miałem też przejścia, najgorszy był czas stalinowski. Szaleli wtedy. Szukali chłopaków, którzy byli w lesie, tych żołnierzy wyklętych. Odbiło się to również na mnie. Rewizje, podsłuchy. W szkole także miałem problemy jako „dziecko bandytów”. Po ogólniaku chciałem iść do Marynarki Wojennej. Oczywiście nie przyjęli mnie. Znowu miałem te papiery po rodzicach.

Ciąg dalszy na s. 8 ▶



FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA PITYSKIEGO



W trakcie pracy przy pomniku „Patriota”

FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA PITYŃSKIEGO

► Ciąg dalszy ze s. 7

Potem zrobili prowokację, kilku ormowców pobilem. Sądziłem mnie z ojcem na środku rynku. To był pierwszy sąd pokazowy w Ulanowie. Zagonili wszystkich. Bandyci siedzieli za stołem, za czerwoną szmatą, ale to mnie przyprowadzili jako „bandytę” w towarzystwie milicjanta z psem i pepeszą. To właśnie był taki czas. Potem już wiedziałem, że moje miejsce nie jest w Polsce; musiałem stamtąd jakoś uciekać. Uciekłem do Krakowa, stracili kontakt ze mną, to całe UB. Potem dostałem się na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Połapali się dopiero na trzecim roku, wtedy dopiero UB do mnie przyszło. Ale uciekłem, a oni zgubili mój ślad.

– Po latach, 13 grudnia '81 roku aresztowali ojca.

– Tak, no tak. Przyjechali, zabrali „solidarnościowca”. Mieli go cały czas na celowniku. Bo to, prawda, że się go bali. Pewnego razu pod kościołem komentowali stan wojenny, a ojciec powiedział, że jak coś się ruszy to pół Ulanowa uzbroi. Przyjechali, zabrali i posadzili go. Wtedy pracowałem nad pomnikiem Żołnierzy Wyklętych, no i zrobiłem „Partyzantów”. To był konkurs u nas, w tym Johnson Atelier w Ameryce. Chcieli coś postawić przed budynkiem.

W tym konkursie właściwie nie brałem udziału, ale zacząłem tam pracować. Był 79 rok. Miałem tę kompozycję i jurorzy nadziali się na lance tych moich partyzantów. Była to makieta. Bardzo im się to

spodobało. Zlecili mi, żeby zrobić pomnik choć nie wiedzieli co to są partyzanci, jeźdźcy. Wydawali się abstrakcyjni, taka rzeźba formistyczna, ekspresyjna. No i w pewnym momencie miałem dylemat, co robić. Czy iść tylko na kompozycję i jakąś tam, taką ozdobną zrobić rzeźbę, czy zrobić właśnie partyzantów. No i wiesz, zrobiłem partyzantów. Takich chłopaków sponiewieranych na tych koniach jak duchy błądzące po lasach, takich desperatów. Wtedy zorientowali się, że to jest coś głębszego, że jest podtekst.

Trzeba było wybrać spośród trzech miast. Było Chicago, był Boston i był Nowy Jork. Boston był najlepszym miejscem. Tam w historycznym miejscu padły pierwsze strzały do Anglików i zaczęła się zawierucha, rewolucja. No i tam to umieścili na trzy miesiące. Pomnik miał stać tylko trzy miesiące, a stoi do dzisiaj. Tylko, że zmieniają mi od czasu do czasu miejsce tego pomnika.

Jak przyjdzie nowy mayor [burmistrz] i ma swoich ludzi, to najczęściej jest tak, że jak przyjdą ci z lewicy laickiej, to jeżą się na mnie. Uważają, i słusznie, że pokazuję zbrodnie komunistyczne, trockistowskie i marksistowskie na narodzie polskim. Tego się boją. Najlepszy dowód jest teraz [2018] z pomnikiem katyńskim. Pomnik stał trzydzieści lat, ludzie przychodzili, no i czcili różne rocznice. Było spokojnie. W pewnym momencie, burmistrz Jersey City dogadał się z jakimś deweloperem. W grę wchodzi duża suma pieniędzy. No i im pomnik zawadza. Bo chcieliby zrobić lunapark, wesołe miasteczko. A to, a tamto. Różne bzdury opowiadają.



Trzy pokolenia Pityńskich; od lewej: Andrzej (rzeźbiarz), jego dziadek Andrzej (retman) i ojciec Aleksander (partyzant), Ulanów 1964

FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA PITYŃSKIEGO



Andrzej Pityński w czasie studiów na ASP podczas pracy przy rzeźbie „Kirchholm”, 1974

FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA PITYŃSKIEGO

– Przejdźmy do ostatniej monumentalnej rzeźby, która jest ciągle w magazynach odlewów.

– Mam problem z pomnikiem wołyńskim... to jest bardzo ważna i aktualna sprawa. Został zrobiony w Gliwickich Zakładach Urządzeń Technicznych. Jest wykonany, gotowy, przed terminem. Miał stanąć w Jeleniej Górze, potem miał być u ojca Rydzyka. Co się z nim dzieje? Gdzie stanie w końcu ten pomnik?

– Historia tego pomnika jest podobna jak historia katyńska. Dziesiątki lat ukrywano zbrodnię. Nie wolno było o tym mówić: wołyńską.

– Tak, wołyńską. Ci politycy, z którymi ja się spotykałem to są tchórze. To ludzie, którzy się boją, boją się własnego cienia. Jesteśmy, niby w tej nowej Polsce... Ale mimo wszystko tego pomnika nie można jeszcze postawić? Pierwszą moją ideą było postawić pomnik o zbrodni wołyńskiej w Rzeszowie, w stolicy Podkarpacia. Kiedyś to było województwo lwowskie i tam ten pomnik powinien być. Ale mają tam burmistrza jakiego mają... czerwonego. No i bruździ, jak może, tak przeszkadza. Byłem u niego kilka lat temu. Ale on ma co innego w głowie. Chce, żeby mu robić jakieś wesołe pomniki. Pomniki Mickey Mouse.

– Tak?

– Żeby ludzie się cieszyli... a przecież to była największa zbrodnia, to co się tam wyprawiało na Wołyniu, tragedia, mordowali dzieci... Oni mordowali, oni torturowali. Jak można do tego dopuścić, ażeby nie wolno było o tym mówić? To wstyd! Dla tych polityków ja mam pogardę. Była szansa postawić ten pomnik w Stalowej Woli, gdzie jest Lucjusz Nadberezny. Ale on się także przestraszył. Potem była Jelenia Góra. Skontaktowali się ze mną ludzie z Jeleniej i dalej próbują walczyć o pomnik. Tam jest taka sytuacja, że oni mają już wybrane miejsce. Pewna starsza Pani dała miejsce pod ten pomnik tuż



Prezydent RP dekoruje Andrzeja Pityńskiego Orderem Orła Białego, Warszawa 2017 FOT. © KRZYSZTOF SITKOWSKI / KPRP

przy wjeździe do miasta. Ale burmistrz i jego żona, pseudoartystka, blokują. Przynajmniej, żeby nie przeszkadzali, a oni blokują.

– Będziemy jeszcze do tego wracać i pilotaować tę sprawę.

– Dobrze, ale czekaj jeszcze. Była szansa postawić pomnik u ojca Rydzyka. Wspomniały jest dyrektor, wspomniały Polak, wspomniały ksiądz, który ma swoją wizję. To jest jedyny facet, z którym można było coś zrobić i robiliśmy. I co się okazało? Okazało się, że jest on zablokowany. Był przedtem w Toruniu bardzo dobry biskup. Ale teraz dali młodego, który może się nie orientuje. No młody, on ma tam czterdzieści lat, nie zgadza się. Biskupi ukraińscy mają na niego wpływ. Zrobili kampanię i zablokowali ojca Rydzyka, ażeby ten pomnik stanął. A powinien właśnie tam stać, bo wybrane zostało piękne miejsce.

– Miał stanąć w Parku Pamięci Narodowej.

– Ale co z tego, jak hierarchia biskupia się w to wmieszała. Mnie ręce opadają. Jestem katolikiem, jestem chrześcija-

ninem... Ale tu w grę wchodzi polityka przeciwko narodowi polskiemu. Przecież oni sami sobie głowy podrażniają; to jest nie do opisania. Ja w ogóle nie chcę o tym nawet myśleć. W końcu dojdzie do tego, że zabiorę ten pomnik do Ameryki i koniec. I będzie śmiech na cały świat.

Z perspektywy 2021 roku, już po śmierci Mistrza Pityńskiego, możemy stwierdzić, że na szczęście tak się nie stanie.

22 kwietnia podczas sesji Rady Gminy w Jarocinie w województwie podkarpackim, dziewięć gminnych głosów za, radni przegłosowali uchwałę o wzniesieniu w gminie Jarocin pomnika „Rzeź Wołyńska” autorstwa Andrzeja Pityńskiego. Sześć osób wstrzymało się od głosu, nikt nie był przeciwny. Uchwała została przesłana do biura prawnego wojewody podkarpackiego celem jej legalizacji. Następnym krokiem będzie uzyskanie zgody na budowę na terenie sołectwa Domostawa.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI ■



W hołdzie wielkiemu Artyście

Napisałem tę książkę w poczuciu obowiązku wobec moich rodaków, aby twórczość Andrzeja Pityńskiego na stałe weszła do historii sztuki naszego narodu, aby zdjęcia jego pomników, tak jak obrazy Jana Matejki, znalazły się w podręcznikach szkolnych, aby jego rzeźbiarskie dzieła symbolizujące miłość do ojczyzny, przepełnione patriotyzmem i historią Polski wychowywały i uczyły przyszłe pokolenia Polaków, jak kochać swoją ojczyznę.

WITOLD ZYCH ■

Witold Zych, Andrzej Pityński. Rzeźbiarz, Ulanów 2019. Obecnie ukazuje się drugie wydanie książki, które zostało sfinansowane przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce.





„Płomień wolności – Katyń 1940”,
Baltimore 2000



„Katyń 1940”, Jersey City 1989

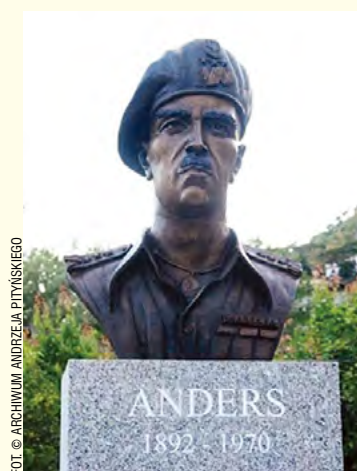
Andrzej Pityński Rzeźbiarz



Popiersie Ignacego Jana Paderewskiego,
Kraków 1973 FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA PITYŃSKIEGO



„Partyzanci I”, Boston 2007



FOT. © ARCHIWUM ANDRZEJA PITYŃSKIEGO





„Kosmos podbij albo zgin – Światowid”, Hamilton 2014



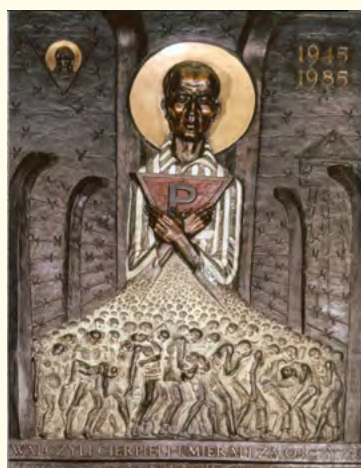
„Armia Błękitna”, Warszawa 1998



„Patriota”, Stalowa Wola 2011



Tadeusz Kościuszko, St. Petersburg, Floryda, 2002



Patriotyzm i człowieczeństwo

■ ZBIGNIEW SAJNÓG



Jest patriotyzm miejsca, lokalny. Tu jestem, to jest moja okolica, dzielnica, miasto, które kocham, albo – po prostu – jestem w nim u siebie.

Jest patriotyzm – powiedzmy: serca. Rodziny, bo naród to jest to, co się narodziło, nasza szersza rodzina i nie oznacza, że jeśli z tą jesteśmy związani uczuciami – to inną mielibyśmy nienawidzić...; iż jakoby z takich uczuć miałyby wynikać te przeciwne. Jeśli tych kocham, to ani chybi nienawidzę innych. No nie, tak to nie działa.

Każda rodzina ma swój język – swój kod, swoją tradycję, swoją opowieść i naród to też wspólnota języka.

Bywa też tak, że jakoś szczególnie się czuje człowiek w tej rodzinie bliższej, bynajmniej nie negując, że się ona – owszem – zawiera w szerszej. Jak na przykład Kaszubi, gdy mówią: najpierw jestem Kaszubą, potem jestem Polakiem.

Jest patriotyzm prostego rachunku – to jest nasz wspólny dom. Rozumiany szerzej – nasz kraj. Zorganizowany według naszej myśli, naszego temperamentu. Coś jak wspólnota mieszkańców i rozumiemy, że dobrze jest dbać o stan budynku, choć nie jest on cały naszą własnością, bo przecież jego stan wprost wpływa na nasze życie. Toteż dobrze jest mądrze się w tym organizować.

Ale – jest człowieczeństwo. Które z pewnością stanowi tę kategorię ogólniejszą

i w której powinniśmy się spotykać i to, bynajmniej nie bez uczuć i uczucia wspólnoty losu, mówiąc tak nieco podniosło i on the romantic style, czyli wspólnego wszystkim ludziom życia w tym świecie, wspólnego nam wszystkim: życia i śmierci. Jest to bez wątpienia wspólne ludzkie doświadczenie i w przeżywaniu tej kondycji możemy się spotykać wszyscy i rozmawiać najpoważniej o najważniejszym. To jest to najbardziej ogólne, ale i – o dziwo – najbardziej wspólne, wspólnie najgłębsze, najważniejsze – i o najbardziej poważnych konsekwencjach. Bo rozchodzą się drogi, jedni idą tam, gdzie byś nikomu nie życzył – i tu wzbiera płacz – a są tacy, co idą tam, gdzie wszystkim byś życzył.

Patriotyzm

■ O. JÓZEF M. BOCHENSKI



Miłość ojczyzny i rodaków bynajmniej nie jest zabobonem, ale cnotą godną pielegnowania, podobnie jak miłość rodziny itd. Ale z patriotyzmem łączą się dwa wzajemnie przeciwne zabobony: jeden z nich przywiązuje do miłości ojczyzny zbyt dużą wagę i czyni z patriotyzmu nacjonalizm, a więc zabobon. Drugi, przeciwny mu, także miesza patriotyzm z nacjonalizmem, a nawet z rasizmem i potępia go jako taki.

Jeśli chodzi o utożsamienie patriotyzmu z nacjonalizmem, wystarczy zauważyć, że kto kocha własny kraj, niekoniecznie musi tym samym ubóstwiać go ani pogardzać

innymi krajami, a tym mniej ich nienawidzić. Nie musi też wcale uważać narodu za „najwyższe dobro”, tak jakby tego chciał nacjonalizm. Robić więc z patriotyzmu nacjonalizm jest zabobonem.

Znacznie groźniejszy jest drugi rozpoznałszy dzisiaj zabobon. Wielu zwłaszcza tzw. lewicowców (wyrażenie, którego sens bardzo trudno zrozumieć) przyznaje się do tego: każdy, kto ośmiela się twierdzić, że kocha swój kraj bardziej niż, powiedzmy, Ekwador czy Wietnam, jest oskarżany o „rasizm”. Tym bardziej każdy, kto zmuszony jest do wyboru, daje pierwszeństwo własnemu rodakowi przed obcym, uchodzi za rasistowskiego zbrodniarza, w rodzaju hitlerowców.

Że to jest zabobonem, że każdy człowiek ma święte prawo dbać przede wszystkim

o ludzi sobie bliskich, a to bez żadnej nawet myśli o wyższości tej czy innej rasy, czy narodowości, powinno być jasne.

Może następująca (prawdziwa) historyjka pomoże w zrozumieniu, o co chodzi. Jeden z moich przyjaciół, Jan, miał bardzo brzydką, zezującą matkę, która w dodatku była kleptomanką i raz już była aresztowana za kradzież. Kiedy go ktoś zapytał, a więc dlaczego ty ją tak kochasz, że stawiasz ją ponad wszystkich innych, Jan odpowiedział: dlaczego? – bo jest moją matką! Mniej więcej taki sam jest stosunek każdego uczciwego człowieka do swojej ojczyzny. Kto temu przeczy, jest ofiarą zabobonu.

Podłożem zabobonu jest zabobonna wiara w ludzkość i w równość ludzi.



Idę po morzu..

*Idę po morzu. Idzie się niezgorzej
Bo tonę powoli. Od soli
Głębiny- najbardziej Martwej
Pali nie na żarty. Aż ślepnę
Zapadam się coraz lepiej
Coraz bardziej na co dzień
O to chodzi?*

*Do Kogo wylazłem z łodzi
Na jaką drogę? Czemu krok po kroku
Zanurzam się w głębokie*

*Uparcie człapu- człapię. Fali się łapiąc
Co już sięga pod najwyższe wołanie
Na spotkanie dziwne
Naiwny przechodzień
Jak w gardle burzy
Co dzień
Zawołany- zapomniane dokąd
A fale wysoko*

ERNEST BRYLL
2017

Złota Jedenastka

Jako samozwańczy
selekcjoner
kadry narodowej
pokusiłem się
o zestawienie
Złotej Jedenastki
na stulecie odzyskania
Niepodległości Polski,
jak też Cudu nad Wisłą,
czyli zwycięskiej wojny
polsko-bolszewickiej.
Oto moje typy,
z uzasadnieniem.

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

■ ROMUALD KARAS



1. Mieszko I

Zapoczątkował dynastię Piastów. Sprawił, że dzięki sile swego państwa nosił miano króla. Za żonę wziął, kierując się interesami politycznymi, księżniczkę czeską Dobrawę. Nie była jakąś młódką, ale kobietą obdarzoną misyjnym posłannictwem szerzenia chrześcijaństwa w państwie swego męża.

Książę Mieszko I z pomocą duchowieństwa czeskiego ochrzcił siebie, dwór i poddanych. Wytrącił Niemcom argument walki z poganami. Dzięki papieżstwu wprowadził Polskę do rzędu państw cywilizacji chrześcijańskiej w Europie. Dobrawa, matka Bolesława Chrobrego, jest potwierdzeniem porzekadła: „Dobra żona, męża korona”.

2. Gall Anonim

Zakonnik. W swej *Kronice*, pisanej po łacinie, użył słowa *reporto*, znaczącego tyle, co uwiadomić, donieść. Był pierwszym reporterem, wykonującym swój fach w naszym kręgu środkowo europejskim. Odkrył nam i światu Polskę z czasów Bolesława Krzywoustego, kraj opływający mlekiem i miodem. Gorący patriota. Sławił tych władców polskich, którzy trzymali rękę na pulsie, umacniając państwo. Na posiadanym przez Krzywoustego wybrzeżu bałtyckim jawi się Gall Anonim jako rzecznik rozwoju szeroko rozumianej gospodarki morskiej. Oto fragment jego wiersza w tej sprawie:

„Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie,
A my skarby i potwory
złowim skryte w oceanie”.

Galla Anonima włączam do złotej jedenastki jako naturalizowanego Polaka. Zakonnik nie wydaje się być Francuzem, jak mniemali dawni historycy; to raczej nasz bratanek Węgier, który do kraju Krzywoustego przywędrował znad Dunaju.

3. Jan Długosz

Historyk, dziejopis, wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka, dyplomata broniący Polski na forum europejskim. Tworzył u schyłku późnego średniowiecza i początków renesansu. W głównym swoim dziele *Historia Polonica*, zwanej także *Rocznikami*, przedstawił w dwunastu księgach dzieje Polski od czasów bajecznych aż do roku 1480. Potomnym przekazał obraz bitwy pod Grunwaldem niezrównanego piękna i wielkiej doniosłości. Ujawnił naturę krzyżactwa niemieckiego, które dążyło do unicestwienia Polski i Słowiańszczyzny. Jeden z największych ówczesnych pisarzy historiografów Europy. Jako nauczyciel narodu, rzecznik silnego państwa dał nam świadectwo, kim byliśmy i przesłanie kim mamy być.

4. Mikołaj Kopernik

Przyszedł na świat 19 lutego 1473 roku w Toruniu. Jako najmłodsze dziecię Mikołaja Kopernika, starszego. Kupca i obywatela najpierw krakowskiego, potem toruńskiego, i Barbary z Waczenrodów. Jego biograf Ludwik A. Birkenmajer pisze: „Obie rodziny,

zarówno ojca jak i matki, pochodziły ze Śląska, w XV i XVI stuleciu zupełnie polskiego, zwłaszcza po wsiach i małych miastach”.

Kopernik to człowiek renesansu, genialny astronom, matematyk, ekonomista, lekarz, działacz polityczny i gospodarczy, obrońca południowej Warmii przed Krzyżakami. Sformułował słynne prawo ekonomiczne o wypieraniu pieniądza lepszego z obiegu przez pieniądz gorszy. W dziele *De revolutionibus orbium coelestium* (O obrotach ciał niebieskich) obalił pogląd o tym, że Ziemia jest nieruchomym, centralnym ciałem świata. Heliocentryczną teorią dokonał przewrotu w zakresie nauki i światopoglądu. Potępiony przez Lutra, Kalwina, Melanchtona. W 1616 roku papieżstwo włączyło dzieło *De revolutionibus...* do indeksu ksiąg zakazanych, dostrzegając wpływ teorii Kopernika w odkryciach Giordana Bruna czy Galileusza. *E pur si muove* (A jednak się porusza) – to słowa wypowiedziane w języku włoskim przez Galileusza na wymuszonym nań przez inkwizycję wyrzeczeniu się nauki Kopernika. W końcu prawda jednak zwyciężyła. Polski astronom zyskał tytuł Słońca świata.

Od rozbiorów Polski datuje się zawłaszczanie Kopernika przez Niemców. Kwestionują jego polski rodowód. Z upływem lat staje się ich genialnym astronomem. W czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce, Kopernik odpłacił im za te manipulacje napisem na swoim pomniku w Warszawie. Doszło do tego po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, kiedy ukazało się tam jego obwieszczenie, skierowane do Rodaków, o przedłużeniu surowej zimy.

Akcja była dziełem młodych uczestników podziemia antyhitlerowskiego.

5. Tadeusz Kościuszko

Naczelnik, szlachetny szlachcic, przyjaciel chłopów, rzecznik ich równouprawnienia w narodzie, wróg niewolnictwa Murzynów. Bohater narodowy Polski i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Demokracja, ucieleśniający wyznawane poglądy w swoim życiu. Postać osnuta legendą. Nie od dziś jednak trwa podważanie jego wielkości. Warto zatem przypomnieć głos Mariana Kukiela, historyka wojskowości, stojącego w obronie Naczelnika:

„Od ćwierci wieku stara się prof. [Adam] Skalkowski nas przekonać, że wielkość Kościuszki była legendą, że był jako dowódca lichym dyletantem, że był występnie lekkomyślnym w działaniu, że samo jego wysunięcie się na wodza narodu było nieszczęściem. Ale po drugiej stronie są fakty i ich wymowa: oto w r. 1792 ku niemu zwraca się zaufanie wojska i narodu, pogłębia się w roku następnym, imię jego w Europie nabiera rozgłosu, staje się groźnym dla trzech mocarstw rozbiorowych, a gdy staje na czele insurekcji w narzuconej mu przez okoliczności i fatalnej sytuacji, słucha go wojsko, słucha go naród, nikt w Polsce nie waży się jawnie przeciwstawić jego władzy dyktatorskiej, jego rewolucyjne w sensie społeczno-politycznym posunięcia nie wywołują kontrrewolucji, w walce śmiertelnej przeciw niesłychanej przemocy dwóch wrogów, a i trzeci w końcu podstępnie z nimi współdziała – Kościuszko ma aż do końca zaufanie wojska i ludu; pokąd stoi na czele, potąd wiary w wyzwolenie i woli walki w narodzie; gdy krwią zbroczony pada i dostaje się w ręce wroga, duch upada od razu, rozprzega się kierownictwo polityczne i wojskowe, pożar gaśnie. A gdy znów na «kombatanckim polu» pozbierała się garść żołnierza polskiego, to «mazurek», który śpiewali i który stał się naszym hymnem narodowym, kończył się akordem: «Mamy racławickie kosy, Kościuszkę Bóg pozwoli».

Nielatwo przecież taką legendę z niczego stworzyć i narzucić współczesnym. Nielatwo im podyktować czy nakazać zaufanie do końca, kto go sam nie wzbudza. Nielatwo wzbudzić w całej Europie przekonanie, że taki mało znany generał z 1792 r. po przegranej wojnie, w której odegrał drugorzędą rolę, tułający się po Europie – to jeden z czołowych w świecie bojowników o wolność, że to przyszły wódz swego narodu [...]. Legenda nie zwykła ludzi miernych brać na swe skrzydła...”.

6. Stanisław Staszic

To jeden z najwybitniejszych Polaków w naszych dziejach. Umysłowość budząca

coraz większy podziw. Działacz i pisarz polityczny, uczony i filozof. W okresie, kiedy Polska jako państwo stanęła przed śmiertelnym zagrożeniem wymazania jej z mapy Europy przez mocarstwa ościennie, narysował plany ratunku w swoich książkach, wydanych anonimowo *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego* i *Przestrogi dla Polski*. Te jego dzieła zwróciły uwagę wywiadów państw zaborczych. Szpiegdy usiłowali ustalić tożsamość człowieka o tak trzeźwym spojrzeniu i tak świetnie władającego piórem. Dla ekspresji kreślonych obrazów wprowadził Staszic, jako pierwszy w naszej literaturze, poetykę snu. Gdy Polska znikła z mapy Europy, Stanisław Staszic wyznawał zasadę: „Skoro nas pożarli sąsiedzi, róbmy wszystko, ażeby nas nie mogli strawić”. Z jego inicjatywy Samuel Bogumił Linde rozpoczął wydawanie *Słownika języka polskiego* (1807-1814), by ocalić skarb najważniejszy dla narodu, własną jego mowę. Przyczynił się także do wydania w dużym nakładzie *Biblii* (1599) księdza Jakuba Wujka. Cztery wieki mówił Wujkiem naród polski, nim zastąpiła go *Biblia Tysiąclecia*. To Staszic skłonił Juliana Niemcewicza do napisania *Śpiewów historycznych*, sławiących przeszłość Polski. Stał na czele Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, czegoś w rodzaju akademii nauk, jak pisał Karol Dickens, autor *Klubu Pickwicka*, biograf jego szlachetnych poczyną. W 1851 roku ukazała się nowela angielskiego pisarza pod tytułem *Judge not*, sławiąca szlachetność poczyną Staszica. Kierowane przez ks. Staszica Towarzystwo Naukowe Warszawskie wspierało badania w wielu kierunkach: humanistyka, prawo, wyznalczczość, różne gałęzie przemysłu.

Staszic, geolog, dokonał rzeczy niezwykle – pozostawił narodowi mapę bogactw naturalnych kraju, a także opis ziem polskich. Działal jako mąż stanu w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym, dążył do rozwoju przemysłu i rzemiosł: zakładał huty żelaza w Kieleckiem, kopalnie węgla kamiennego w Zagłębiu Dąbrowskim. Patronował Łodzi jako centrum przemysłu włókienniczego. Założył Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie, samorządną fundację chłopską, która zniosła pańszczyznę. „Kupiłeś niewolników, zostawiłeś ludzi”, napisał o nim Kajetan Koźmian. Staszic stał się pionierem ruchu spółdzielczego, banków rolniczych, samorządu wiejskiego. Powołane przezeń Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie przetrwało najcięższe czasy, by zostać zlikwidowane ukazem Bieruta.

Staszic wiedział, co znaczy pieniądź. Potrafił go zdobywać i pomnażać. Doszedł do dużego majątku pracą własną. Zarabiał będąc wychowawcą synów ex-kanclerza Rzeczypospolitej, ordynata Andrzeja Za-

moyskiego, grając na giełdzie, oddłużając upadające majątki ziemskie, które za godziwym wynagrodzeniem stawiał na nogi, piastując wysokie stanowiska w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowym. Warszawa wiele mu zawdzięcza. Wzniósł przy Krakowskim Przedmieściu ogromny gmach z przeznaczeniem na siedzibę instytucji życia naukowego i kulturalnego. Nosi nazwę Pałacu Staszica. On sam nie miał własnego mieszkania. Z jego poręki i przy dużym poparciu finansowym stanął Pomnik Kopernika. Był współzałożycielem Szkoły Głównej czyli późniejszego Uniwersytetu Warszawskiego, Teatru Wielkiego, powoływał szkoły techniczne, medyczne i artystyczne oraz rzemieślnicze. Cały swój majątek przekazał w testamencie społeczeństwu. Jego pogrzeb był manifestem patriotyzmu ludu Warszawy. Powinien zostać świętym za tyle zasług świadczonych bliźnim. Zgłaszam wniosek o jego kanonizację.

7. Adam Mickiewicz

Urodzony 24 grudnia 1798 roku w Nowogródku lub Zaosiu koło Nowogródka, zmarły 26 listopada 1855 w Konstantynopolu, największy poeta polski. Już jako junior zasłynął *Odą do młodości*, utworem, który zdumiewał wszystkich. „Tak nie pisał żaden Polak” – powie jego przyjaciel Franciszek Malewski. Profesor Juliusz Kleiner, historyk literatury, napisze po latach: „Wypowiedział się pęd ku wielkiemu celowi, a celem było stworzenie nowego świata. Protest przeciwko stosunkom gniotącym i przeciw tym, co gotowi z nimi się godzić, czynił kontrast gnuśnej starości i młodości rewolucyjnej czymś aktualnym, żywotnym, a czcicielom rozsądku i umiarkowania rzucał w twarz hasło entuzjazmu, nie znanego pseudo-klaszykom, wielbił «rozumnych szaleńców»”. Współczesnym sobie i przyszłym pokoleniom da Mickiewicz wiatyk na drogę życia, epos narodowy *Pan Tadeusz*. Czym stał się dla rodaków, najlepiej wskazuje reakcja emigranta, tułacza Skawińskiego, bohatera Sienkiewiczowskiej noweli *Latarnik*.

Do wielkiej emigracji polskiej po powstaniu listopadowym skierował Mickiewicz *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*. Posługując się stylem biblijnym odsłaniał także nam współczesnym brutalną rzeczywistość polityczną: „Na koniec w Europie bałwochwalskiej nastało trzech królów, imię pierwszego Fryderyk drugi pruski, imię drugiego Katarzyna druga rosyjska, imię trzeciego Maria Teresa austriacka. I była to trójca szatańska, przeciwna Trójcy Bożej, i była niejako pośmiewiskiem [...] wszystkiego co jest święte. [...] Imiona tych trzech królów,

Ciąg dalszy na s. 16 ►

► Ciąg dalszy ze s. 15

Fryderyka, Katarzyny i Marii Teresy, były to trzy bluźnierstwa, a ich życia trzy zbrodnie, a ich pamięć trzy przekleństwa”.

Tak nikt przed Mickiewiczem nie pisał. Przywołajmy jeszcze jego znacznie wcześniejsze słowa. „Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!...”. Dla drużyny narodowej, złotej jedenastki, nie sposób znaleźć właściwszego przesłania.

8. Henryk Sienkiewicz

Reporter, felietonista, pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla, orędownik praw Narodu Polskiego, gdy zabrakło państwa. W stulecie odzyskania Niepodległości przez Polskę i Cudu nad Wisłą, godzi się wymienić nie tylko Sienkiewicza, jako pisarza, który swoją twórczością przygotowywał grunt pod czyn zbrojny ku temu zmierzający. Ale także tego, kto przejął pałeczkę po takich zasłużonych badaczach naszej literatury i biografii autora *Quo vadis?*, jak profesor Julian Krzyżanowski. Jest nim profesor senior Lech Ludorowski (UMCS w Lublinie). Zwrócił on uwagę na nurt reportażowy w twórczości Sienkiewicza, publikował jego zapomniane dziś utwory z literatury faktu. Wskazywał, jak ważną rolę odgrywały w ówczesnych warunkach politycznych i kulturowych Polski pod zaborami. Ale Sienkiewicz nie zamierzał poświęcić się suchej faktografii, do czego skłaniali go ówczesni redaktorzy gazet warszawskich. Miejsce swoje w dziejach literatury polskiej widział jako autora powieści historycznych, twórcy *Trylogii*. Dokonał tej misji. Pięknie ujął to Stanisław Mackiewicz Cat: „Zagał do nas step, zagadały duchy. Zagadała miłość, która z krwią ofiarną w ziemię Rzeczypospolitej wsiąkała. I pozostała tęsknota wielka, pałaca do zwycięskich sztandarów z szumiącymi orłami, do złotych podków, do całej najjaśniejszej i pełnej chwały Rzeczypospolitej”.

W imponujących objętościach trzech tomach *Antologii polskiego reportażu XX stulecia* pod zasłużoną redakcją Mariusza Szczygła (Wydawnictwo Czarne), zabrakło nazwiska Henryka Sienkiewicza jako przedstawiciela tego gatunku. Skoro ukazał się tam tekst Franciszka Gila (1917-1960) pt. *Świadeństwo dojrzałości i karta na broń*, reportaż jako podanie urzędowe o udzielenie takiego zezwolenia, aby autor, student prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, mógł się bronić przed atakami bojówek młodzieżowych ONR-u, to winien znaleźć się także Henryka Sienkiewicza *List otwarty do J.C.M. Wilhelma II, Króla Pruskiego* z 19 listopada 1906 roku: „Opatrzność w niezbadanych wyrokach swoich oddawszy pod władztwo W.[aszej] C.[esarskiej] M.[ości]

cały jeden odłam wielkiego narodu polskiego, włożyła zarazem na Ciebie obowiązek uszanowania duszy polskiej, ochrony szczęścia tego narodu, jego wiary, języka, tradycji i uczuć. Tymczasem ziemie polskie, które weszły w skład państwa pruskiego, stały się przybytkiem niedoli, która pod panowaniem Twoim wzrosła jeszcze niestety i spotężniała. Skargi na te niedole nie tylko rozlegają się na próżno, ale rząd W.C.M. odpowiada na nie ustawami, które nawet postronnym narodom wydają się czynami nienawiści, przemocy i jakby zemsty”.

Nadawcą *Listu* do cesarza Wilhelma II był laureat literackiej Nagrody Nobla, powieści historycznej *Quo vadis?* o początkach chrześcijaństwa w Rzymie, tłumaczonej na ponad trzydzieści języków. Pisarz światowej rangi. On, przedstawiciel zniewolonego narodu, stale się dopominał o jego prawa do Niepodległości. Zacytujmy, w przekładzie z francuskiego, obszerny fragment jego sztokholmskiej mowy po otrzymaniu Nagrody Nobla w dziedzinie literatury:

„Ci, którzy mają prawo ubiegać się o nagrodę ustanowioną przez szlachetnego filantropa, nie należą do ludzi jednego szczepu i nie są mieszkańcami jednego kraju. Wszystkie narody świata idą w zawody o tę nagrodę, w osobach swoich poetów i pisarzy. Dlatego też wysoki areopag, który tę nagrodę przyznaje, i dostojny monarcha, który ją wręcza, wieńczę nie tylko poetę, ale zarazem i naród, którego synem jest ów poeta.

Stwierdzają oni tym samym, że ów naród wybitny bierze udział w pracy powszechnej, że praca jego jest płodna, a życie potrzebne dla dobra ludzkości.

Jednakże zaszczyt ten, cenny dla wszystkich, o ileż jeszcze cenniejszym musi być dla syna Polski!... Głoszono ją umarłą, a oto jeden z tysięcznych dowodów, że ona żyje!... Głoszono ją niezdolną do myślenia i pracy, a oto dowód, że działa!... Głoszono ją pobitą, a oto nowy dowód, że umie zwyciężać!...

Komuż nie przyjdą na myśl słowa Galileusza: *E pur si muove!*... skoro uznana jest wobec całego świata potęgą jej pracy, a jedno z jej dzieł uwiecznione” (cytat za: Lech Ludorowski, *Noblowski tryumf Sienkiewicza*, Wyd. Towarzystwo im. Henryka Sienkiewicza, Zarząd Główny w Lublinie, MMXV).

9. Józef Piłsudski

Jeden z filarów Złotej Jedenastki. O nim nie powstało tyle legend, co o Marszałku. Jego niezwykle życie, jak też epoka, a nawet zmiana ustroju miały na to wpływ. Profesor Włodzimierz Wójcik, autor eseju *Józef Piłsudski*, zamieszczonego w zbiorowej pracy *Życiorysy historyczne, lite-*

rackie i legendarne pod redakcją Zofii Stefanowskiej i Janusza Tazbira (PWN, Warszawa 1989) takie snuje uwagi:

„Ułamkowa i często wręcz żenująca wiedza o Piłsudskim jest skutkiem uparcie prowadzonej po roku 1945 oficjalnej polityki zmierzającej bądź do eksmisji postaci Marszałka ze świadomości narodowej, bądź też do oświecenia jej skrajnie negatywnego lub fałszywego. W tym celu uruchomione zostały wielorakie mechanizmy. W rezultacie, oczywiście w ekstremalnych przypadkach, Piłsudski pojawiał się w świadomości młodych ludzi jako zausznik „panów” kresowych, agent austriackiego wywiadu, renegat polskiego ruchu socjalistycznego itp. A przecież nie to było przyczyną, dla której przekorni młodzi ludzie na początku lat osiemdziesiątych nosili znaczki z podobizną Piłsudskiego, kolportowali jego fotografie, organizowali wystawy. Brak gruntownej wiedzy o niedawnej przeszłości, o okresie międzywojennym spowodował nawet, że w manifestacjach wiecowych w roku 1981 pojawiały się obok siebie portrety Piłsudskiego i Witosa, dwóch politycznych przeciwników, z których jeden drugiego wsadził do twierdzy brzeskiej (głośny proces brzeski na przełomie 1931/1932). Oto, jak kuriozalnie potrafią uzewnętrzniać się tematy „tabu w sytuacjach skrajnych”.

Myszę, że kluczem do zrozumienia Piłsudskiego jest osobowość tej postaci. Wyliczanie pełnionych przezeń funkcji i godności: działacz PPS, Naczelnik Państwa, Naczelnny Wódz, Pierwszy Marszałek, premier i minister spraw wojskowych nie daje na to odpowiedzi. W przypadku Piłsudskiego mówi się o charyzmie, jaką posiadał. Zdolności zdobywania czy raczej zjednywania sobie ludzi, z którymi się zetknął.

Opowiadał mi przed laty pułkownik Stefan Jellenta, historyk wojskowości, syn Cezarego, pisarza, autora studium *Józef Piłsudski jako pisarz i mówca* (1929) o swoim pierwszym zetknięciu się z Piłsudskim w Krakowie, dokąd tenże, działacz PPS, przedostał się z Kongresówki, zagrożony kolejnym aresztowaniem. Młody Jellenta spóźnił się na spotkanie w jakiejś dużej sali. Ujrzał przygarbionego mężczyznę, z charakterystycznymi wąsami, o głęboko osadzonych oczach i krzaczastych brwiach. Mówił z kresowym akcentem, raz po raz sadził rusycyzmami. Jellenta wyniósł z domu troskę o czystość polskiego języka. Odczuł niechęć do prelegenta. Kiedy tenże użył zwrotu: „U nas był koń”, chciał go poprawić: „Mieliśmy konia”. Rozejrzał się po sali, widząc zasłuchaną młodzież, wpatrzoną w Piłsudskiego. Poczul wstyd. Zaczął słuchać, jak wszyscy. A po tym spotkaniu powziął postanowienie: musi wstąpić do Legionów Piłsudskiego. Tak też się stało.

10. Wincenty Witos

W złotej jedenastce widzę go jako obrońcę. Jest nie do przejścia. Oto jego odezwa z 30 lipca 1920 roku: „Bracia włościanie na wszystkich ziemiach polskich! [...] Ratunek może i powinien dać państwu lud, pracownicy tego państwa gospodarz. [...] Od Was Bracia włościanie, zależy, czy Polska będzie wolnym państwem ludowym, w którym lud będzie rządził i żył szczęśliwie, czy też stanie się niewolnikiem Moskwy, czy będzie się rozwijać w wolności i dobrobycie, czy też będzie zmuszony pod butem władców Rosji pracować dla najeźdźców i żywić ich swoją krwią i znojem.

Za to, czy państwo nasze obronimy od zagłady, siebie od jarzma niewoli, rodziny nasze od nędzy, a całe pokolenia nasze od hańby, za to my, Bracia włościanie, odpowiedzialność poniesiemy i ponieść musimy [...].

Gdyby zaszła potrzeba, musimy podjąć walkę na śmierć i życie. Bo lepsza nawet śmierć niż życie w kajdanach, lepsza śmierć niż podła niewola. Dlatego w tej przełomowej dla państwa, a więc i dla ludu polskiego chwili, odzywam się do Was, Bracia, na wszystkich ziemiach polskich, odzywam się nie z prośbą, ale z wezwaniem:

Niech każdy z Was spełni swój obowiązek!

Kto z Was zdolny do noszenia broni – na front!

Dzisiaj najwyższym obowiązkiem każdego Polaka, to służba w obronie Ojczyzny. Na polu walki, na froncie, jest dzisiaj miejsce dla każdego, kto broń dźwigać potrafi. Inni dać muszą ofiarę z pracy i mienia.

Precz z małodusznością! Precz ze zwątpieniem! Ludowi, który jest potęgą, wątpić nie wolno, ani rezygnować nie wolno. Trzeba ratować Ojczyznę, trzeba Jej oddać wszystko, majątek, krew i życie, bo ta ofiara stokrotnie się opłaci, gdy uratujemy państwo od niewoli i hańby”.

Odezwa ta jest dowodem, jak wielki był to Polak. I pisarz, który znał wagę słowa. Prezes PSL Piast był w istocie przywódcą wsi polskiej. Autentyczny chłop, gospodarujący w podtarnowskiej wsi Wierchosławice, długoletni jej wójt. Człowiek o niespotykanej mądrości. Po trzykroć przyszło mu sprawować funkcję premiera.

11. Karol Józef Wojtyła

Urodzony 18 maja 1920 roku w Wadowicach. Ochrzczony 20 czerwca 1920 roku. Ojciec: Karol Wojtyła, urzędnik wojskowy, syn Macieja i Anny Przeczka. Matka: Emilia Kaczorowska, córka Feliksa i Marii Szolc. W młodości bramkarz chłopięcej drużyny piłkarskiej. Zainteresowania teatralne i aktorskie. Poeta. W okresie okupacji hitlerowskiej robotnik w kamieniołomach podkrakowskich. Studia polonistyczne zamienił na teologiczne. Wikary w oddalonej

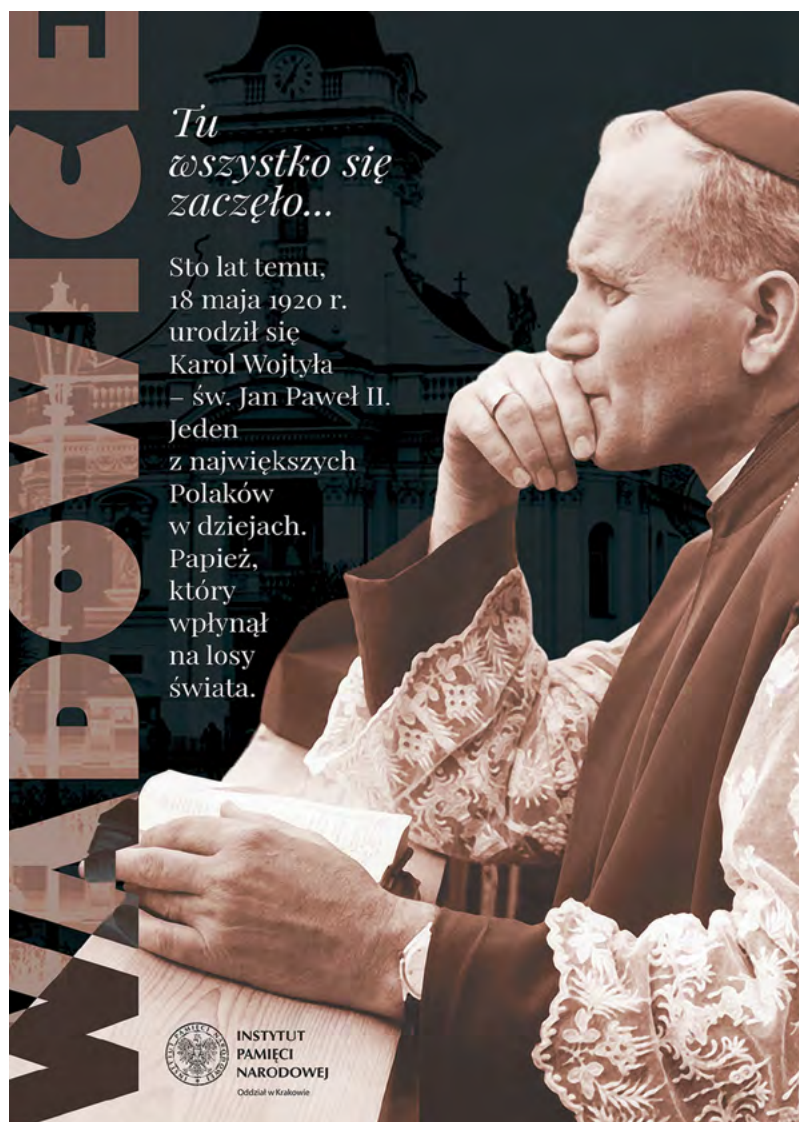
37 kilometrów od Krakowa wsi Niegowić. Prowadził tu kółko teatralne, wystawiono Zofii Kossak-Szczuckiej sztukę *Gość oczekiwany*, zorganizował wieczór Mickiewiczowski. Z chłopcami wyruszał na dorywcze długie wycieczki rowerowe. Interesował się blisko życiem parafian, odwiedzał ich w domach, w pracy, próbował uczyć się młócki zboża cepami. Ci, którzy się z nim stykali, mówili, że na księdza nie wyglądał. A jednak spowiadał, ustawiała się przed jego konfesjonalem coraz dłuższe kolejki. Chrzcił dzieci, udzielał ślubów. Prowadził także Żywy Różaniec. Furmanką wyruszał na naukę katechezy do okolicznych wsi. Po drodze stale czytał. W pamięci okolicy zapisał się jako człowiek wrażliwy na biedę i krzywdę innych. Co zebrał podczas kolędy, oddawał potrzebującym. Chodził w wysłużonych butach. W swoim pokoiku na parafii nie miał z dóbr doczesnych. *Mazepy* Słowackiego nie zdążył wyreżyserować, gdyż został skierowany do nowych zadań kościelnych w Krakowie.

We wsi Niegowici utrzymywała się opinia, że ich wikary nie był jakimś księdzem zawodowcem, ale duchownym z powołania.

Wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża 16 października 1978 roku nie był tu jakimś zaskoczeniem. Parafianie przyjęli to jako coś Mu należnego. Nikt inny niż On na to nie zasługiwał. Cieszyli się i byli usatysfakcjonowani, że ich wikary został Ojcem Świętym, który przybrał imię Jana Pawła II. Także, już po latach jego biskupowania Rzymowi i światu, jawiło się dla nich jako normalne następstwo Jego życia. Kanonizację uznali za Mu należną. Żył w świętości, więc został świętym. Takie okazały się wyroki Nieba.

Skład Złotej Jedenastki wieńczy zatem postać świętego Jana Pawła II. Niekwestionowany kapitan drużyny narodowej. Reprezentacja skompletowana została z postaci żyjących w różnych okresach ponad tysiąclecia naszej historii. On zajął w hierarchii dostojeństw miejsce najwyższe: kapitana drużyny stuleci, od początku polskiej państwowości do dziś. Tak zaszczytnego miejsca ustąpił mu obecny kapitan drużyny narodowej Robert Lewandowski, Anno Domini 2020 uznawany za najwybitniejszego napastnika w świecie.

ROMUALD KARAŚ ■



29 kwietnia, w rocznicę chrztu Jeana-Georges'a Noverre'a (1727-1810), wielkiego choreografa i reformatora baletu, obchodzimy Międzynarodowy Dzień Tańca. Z tej okazji, corocznie wybitny artysta związany z tą sztuką przygotowuje Orędzie rozsyłane na cały świat. W bieżącym roku przesłanie wyszło spod pióra Friedemanna Vogela – pierwszego tancerza Stuttgart Ballet. Na gruncie polskim od 2017 roku, z inicjatywy Bożeny Kociolkowskiej – prezes Fundacji na rzecz Sztuki Tańca, podobne Orędzie przygotowuje polski artysta. W roku 2021 autorem przesłania jest Wojciech Kępczyński – reżyser, choreograf i dyrektor warszawskiego Teatru Muzycznego „Roma”.

Tanec jest w nas

■ WOJCIECH KĘPCZYŃSKI



Tanec zawsze był dla mnie – i myślę, że nie tylko dla mnie – jedną z najbardziej autonomicznych sztuk uprawianych przez człowieka. Czymże jest bowiem taniec, jeśli nie ruchem, gestem i znakiem – rozpoznawalnym i przenoszącym się bez konieczności jego tłumaczenia ponad granicami językowymi, ponad granicami państw, kontynentów i kultur? Taniec ma tę przewagę nad muzyką czy malarstwem (które też przecież tłumaczenia nie potrzebują), że instrumentem jest tu sam człowiek i niepowtarzalny, indywidualny dla każdego, fizyczny sposób ekspresji. Bodaj jedynym ograniczeniem może być tutaj niedoskonałe ludzkie ciało.

Ale nawet w swej niedoskonałości jest ono prawdziwe i ujmujące, a wprowadzone w świadomy ruch stanowi jeden z najpiękniejszych, najbardziej plastycznych widoków jakie zna ludzkość.

A jednocześnie sztuka tańca jest niezwykle ulotna. Istnieje tylko w danej chwili, w danej sekundzie, kiedy tancerz lub tancerka wykonują jakąś mniej czy bardziej skomplikowaną figurę, krok czy piruet. Co więcej, doświadczeń czasem iście metafizycznych dostarczyć może tylko oglądanie baletowego mistrzostwa na żywo. Wszelki telewizyjny albo filmowy zapis obrazu, nawet transmisja na żywo, to jedynie namiastka i ersatz tego, czym jest obcowanie z artystą, który ze sceny, poprzez ruch i gest napędza widzów emocjami.

Ta konstatacja prowadzi w sposób nieuchronny do refleksji nad okolicznościami, w jakich przyszło nam żyć od ponad roku. Zamknięte teatry, opery, odwołane koncerty, festiwale czy konkursy i brak obcowania z żywą kulturą w sposób może mało namacalny, ale jakże dotkliwy, pozbawia nas znaczącej części naszego człowieczeństwa. Niektórzy twierdzą, że tego typu wydarzenia kulturalne można przenieść do Internetu i bez straty oglądać on-line. Nie. Nie można.

Kiedy jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku byłem na stypendium w Paryżu i Brukseli, zetknąłem się z choreografią Maurice'a Bejarta i niezwykłym teatrem Petera Brooka. Idee Empty Space, nacisk na grę aktor-

ską i taniec w pustej przestrzeni scenicznej są mi najbliższe i towarzyszą mi w pracy w teatrze do dziś. Kiedy więc dzisiaj czasem oglądam w telewizji jakieś materiały z pracami tamtych artystów, nadal jestem pełen podziwu dla ich kunsztu – ale wtedy wracają do mnie tamte wspomnienia i myślę o tym, jakie miałem szczęście mogąc podziwiać to wszystko na własne oczy, na wyciągnięcie ręki. W takich momentach, z jeszcze większą siłą, wraca przekonanie o dzisiejszym dramacie żywej kultury.

A jednak, mimo tego chwilowego pesymizmu, warto spojrzeć poza horyzont. Perspektywa minionych lat i wieków pozwala nam dojść do wniosku, że kultura przeżyła już nie takie społeczne i polityczne turbulencje – i zawsze podnosiła się mocniejsza, z nową siłą i z nowymi chęciami. Podobnie jest z tancerzem, który w czasie swojego występu potknie się i upadnie. Choćby nawet skreślił nogę, zerwie się, zaciśnie zęby, przełknie łzy bólu i zrobi wszystko, aby tańczyć dalej.

Co jest pocieszające w tych niepewnych czasach? Chyba to, że taniec jako forma ekspresji, nie ogranicza się tylko do baletu, teatru czy opery. Mówiąc „taniec” nie myślimy o tylko o tym pięknym, wystudionym, klasycznym ruchu. To przecież także taniec współczesny, ze wszystkimi jego odmianami, to i hip-hop, i taniec musicalowy, i taniec towarzyski czy wreszcie taniec amatorski. Bo najpiękniejsze jest to, że – choć to truizm – tańczyć może każdy i wszędzie. Nawet ci, którzy uparcie twierdzą, że „nie umieją tańczyć”. Liczy się przede wszystkim wyrzucenie z siebie emocji, wyrwanie się z ludzkich przecieży okowów wstydu, tremy i przekonania o braku talentu. To wystarczy – bo każdy od wieków tańczył przede wszystkim dla siebie. Pięknie ujął to kiedyś Bob Fosse, guru choreografów i reżyserów teatralnych: „Ludzie rodzą się z instynktem wyrażania siebie poprzez ruch. Człowiek pierwotny, jeszcze zanim zaczął komunikować się słowami, tańczył w rytm bicia swojego serca”.

Dlatego – choć czas temu raczej nie sprzyja – bądźmy dobrej myśli. Taniec zawsze w nas był, nadal w nas jest i przeżyje w nas. Tańczmy więc!



O sztuce tańca
z Krzysztofem Pastorem
– dyrektorem Polskiego
Baletu Narodowego rozmawia
Bożena Kociołkowska.

Czy jedno przedstawienie może zmienić świat?

FOT. © ANNA FEDISZ

Bożena Kociołkowska: Ogromny dorobek artystyczny, sceniczny, choreograficzny, talent pasja i ciężka praca, uznanie – to cechy artysty, który odniósł w życiu sukces. To imponująca paleta Pana działań na rzecz sztuki tańca w Polsce i zagranicą. Wyjechał Pan z Polski i jako jeden z niewielu ponownie do niej wrócił, aby podzielić się swoimi doświadczeniami z młodym pokoleniem. To nie częste zjawisko w polskiej kulturze tańca. Wprawdzie współcześni tancerze kształcą się na zagranicznych uczelniach, ale to za mało, by zmieniać oblicze tańca, potrzebne jest oprócz teorii, doświadczenie zawodowe, to najlepsza wiedza oprócz edukacji, którą Pan dysponuje. Niewiele jest takich przykładów w polskiej historii baletu. Mam nadzieję, że to pionierskie działanie będzie miało następców. Jak Pan widzi balet w Polsce po 40 latach transformacji, porównując go z wieloma zagranicznymi zespołami, z którymi miał Pan okazję współpracować jako tancerz i choreograf? Czy są jakieś różnice artystyczne, techniczne, mentalne, kulturowe? Co Pana zmotywowało, aby powrócić do Polski?

Krzysztof Pastor: Bardzo trudne pytanie. Ja nie wróciłem w 2009 roku do Polski dlatego, że mi się nie powiodło zagranicą. Po wyjeździe z Polski pracowałem najpierw w niewielkim niemieckim mieście Hof, a potem w Le Ballet de L'Opera de Lyon we Francji, gdzie tańczyłem balety

Graya Veredona, który był dyrektorem tego zespołu, ale też Hansa van Manena, Kurta Joossa, Nilsa Christe, Nacha Duato i Maguy Marin. Przez następne dziesięć lat występowałem w Het Nationale Ballet współpracując z choreografami współczesnego baletu, jak Carolyn Carlson, Nils Christie, Rudi van Dantzig, Jan Linkens, Eduard Lock, Hans van Manen, Toer van Schayk, Nina Wiener i Peter Wright, Ashley Page, Ted Brandsen. Tańczyłem również wiele baletów George'a Balanchine'a, a trzeba wiedzieć, że w tamtym czasie Het Nationale Ballet miał najbogatszy repertuar Balanchine'owski poza New York City Ballet.

Był Pan szczęściarzem, to same ikony, *crème de la crème*, współczesnego światowego baletu końca XX i początku XXI wieku.

Tak, to była dla mnie wielka satysfakcja. Następnie pracowałem jako choreograf z wieloma zespołami baletowymi jako wolny strzelec.

Wtedy zastąpił Pan jako międzynarodowy choreograf, stworzył Pan ponad siedemdziesiąt baletów i miniatur baletowych w różnych zespołach świata, oczywiście nie zapominając o Polsce. Co za imponujący dorobek artystyczny.

Po współpracy choreograficznej z zespołem Washington Ballet ponownie wróciłem do Het Nationale Ballet i w latach 2003-2017 byłem tam etatowym choreografem-reży-

dentem, dzieląc tę pozycję z Hansem van Manenem. Moim zdaniem ten zespół jest jednym z najciekawszych na świecie i chyba najlepszym z jakim pracowałem.

W 2017 roku sam zrezygnowałem z tej rezydentury, gdyż od czasu powrotu do Polski w 2009 roku moja praca z tym zespołem nie była już tak intensywna jak przedtem i bardzo zmienił się tam zespół tancerzy. Kiedy mieszkałem w Holandii znałem ich wszystkich bardzo dobrze, a tym samym ich możliwości kreatywne. Z czasem straciłem bezpośredni kontakt z zespołem, dlatego uznałem, że czas przerwać tę stałą współpracę, choć jeszcze od czasu do czasu jestem tam zapraszany. Nie chciałem też, aby następne pokolenie młodych choreografów, którzy czekają w kolejce na swoją szansę, miało poczucie, że blokuję im możliwości twórcze, gdyż wielu artystów chce współpracować z tym wspaniałym, bardzo twórczym zespołem. Nie ukrywam, że to pożegnanie było dla mnie bardzo trudne, ale uważam, że była to słuszna decyzja.

Powiedziałabym heroiczna, wiemy jak bardzo to trudne, nie tylko dla wybitnych artystów, ale i tych stojących daleko w corps de ballet. Taniec dla artystów sztuki tańca jest jak drugie życie. Ale wiedza i doświadczenie jakie Pan tam zdobył są bezcenne.

Ciąg dalszy na s. 20 ►

► Ciąg dalszy ze s. 19

To prawda, bo był to najważniejszy zespół, z jakim miałem szczęście pracować przed objęciem dyrekcji baletu w Warszawie. Chociaż wszystkie, z którymi współpracowałem miały jakiś wpływ na mój rozwój artystyczny, bo i Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego, Teatr Wielki w Łodzi, zespół baletowy w Hof, Balet Opery w Lyonie, który otworzył mi oczy na nowe osiągnięcia światowej choreografii.

Kiedy z kolei pojawiłem się w Het Nationale Ballet pracowało tam już trzech miejscowych choreografów, trzech znakomitych panów „Van”: Hans van Mannen, Rudi van Dancing, Toer van Schayk. Byli oni znani z wielkiej kreatywności. Założycielką i pierwszą dyrektorką Nederlands Ballet w Amsterdamie była ongiś znana balerina Sonia Gaskel. Następnie zespół podzielił się na dwie grupy: Nederlands Dance Theater, którego dyrektorem i choreografem został z czasem Jiří Kylián i Het Nationale Ballet, który prezentował dorobek wielkiej klasyki XIX i XX wieku, ale też intensywnie tworzył nowe balety współczesnych choreografów.

Przyznam, że właśnie taki model programowy zespołu bardzo mnie przekonuje – balet, który realizuje klasykę i awangardę. Taki również zaproponowałem dyrektorowi Waldemarowi Dąbrowskiemu, który zaprosił mnie do pracy w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej.

Można powiedzieć, że to właśnie osobowości choreografów i artystów kreują nowe zjawiska artystyczne, tworzą nowe trendy, awangardę, a dopiero życie pokazuje jakie wartości przetrwają. Kiedyś balet podążał za nowymi osiągnięciami teatru, muzyki, scenografii, a dziś te sztuki czerpią inspiracje z rozwoju sztuki tańca.

Dlatego Polski Balet Narodowy, który stara się o najlepszą kadrę i ma w teatrze tak wspaniałe możliwości pracy, powinien prezentować wielki repertuar klasyczny na jak najwyższym poziomie. Dzięki niemu nawet widz, który nie jest jeszcze super przygotowany do odbioru autonomicznej sztuki tańca, gdy ogląda wysmakowane dekoracje i kostiumy, a w nich taniec pełen klasycznej harmonii – taki widz może się po prostu zachwycić i zafascynować baletem, przyjść do nas ponownie i zatęsknić także za czymś innym niż widowisko akademickie. Dlatego proponujemy mu na przykład wielkie osiągnięcia choreograficzne XX i XXI wieku, jak balety Wacława i Bronisławy Niżyńskich, George’a Balanchine’a, Kurta Joossa, Fredericka Ashtona, Maurice’a Bédarta, Johna Neumeiera, Jiříego Kyliána, czy – teraz – Kennetha MacMillana. I oczywiście nowe kreacje polskich i zapraszanych choreografów.

Zdarza się także, że ktoś zobaczy u nas po raz pierwszy balet klasyczny i nie będzie mu się podobać, bo nie jest jeszcze w stanie zachwycić się samą techniką i w ogóle estetyką tańca klasycznego. Tymczasem balety tego rodzaju, choć łatwiejsze w odbiorze, są najtrudniejsze dla tancerzy. Widać każdą nieprawidłowość, której nie da się tu zaimprowizować. W klasyce potrzebna jest bardzo dobra baza techniczna. Podobnie jak w muzyce decyduje najpierw warsztat, a potem dopiero wrażenia artystyczne. Improvizacja nie zastąpi warsztatu.

Moim zdaniem, klasyka to najtrudniejsza technika tańca. Natomiast taniec współczesny nie ma takich ścisłych reguł. Widz, który nie jest koneserem baletu, ma jednak poczucie harmonii, widzi piękno i je docenia. Jak np. w architekturze, nie znając się nawet na niej, widzimy czy budynek jest koszmarny, czy pięknie zaprojektowany. I każdy z wrodzoną kulturą i gustem zauważy, co jest po prostu złe. Uważam, że jest w nas coś, co wyrasta z doświadczenia wielu pokoleń naszej kultury, to coś, tę wrażliwość, przejmujemy z pokolenia na pokolenie i dlatego wyczuwamy co jest piękne, a co kiczowate. Dlatego wierzę, że widzowie będą do nas powracali i zobaczą, że wystawiane u nas balety klasyczne czy współczesne, pod względem estetyki, gustu, piękna, ciekawej scenografii są pokazywane w pełnej krasie, na najwyższym poziomie.

Ta estetyka jest bardzo ważna. Ale oczywiście nie wszystko w spektaklu baletowym musi być piękne w potocznym tego słowa znaczeniu. Czasami pozorna brzydota, jeżeli służy pewnej idei, może odgrywać bardzo ważną rolę i w tym sensie może też być wyrazem emocjonalnego piękna. **Podzielam Pańskie zdanie. A jak postrzegana jest sztuka tańca w Holandii, Francji i innych krajach, w których Pan pracował? Przypomnijmy sobie, że na przykład na początku XX wieku to inne sztuki wytyczały nowe trendy a taniec za nimi podążał. W 2. połowie XX wieku nowe kierunki zaczął wytyczać taniec, chociażby poczynając od Sergiusza Diagilewa, a potem Nowego Jorku skąd wszystko się zaczęło.**

To prawda, bo Diagilew odkrył w Paryżu nowe możliwości baletu. W Holandii sztuka tańca jest bardzo lubiana i popularna, we wszystkich formach ma swoich zwolenników, zarówno taniec klasyczny jak i współczesny. Jest też wielu kreatywnych choreografów i tancerzy, a to pomaga w rozwoju tańca.

We Francji do rozkwitu tańca współczesnego przyczynił się minister kultury Jack Lang, który w latach 80. ubiegłego wieku utworzył dziewiętnaście centrów choreograficznych, gdzie tworzą różni choreografowie. Ta mądra decyzja stworzyła warunki dla ogromnego rozwoju

tańca współczesnego. Wcześniej ostoją były we Francji jedynie Opera Paryska ze swym bardzo wysokim poziomem klasyki, Balet Marsylski, gdzie pracował Roland Petit, i zespół w Nancy pod kierunkiem Pierre’a Lacotte’a, słynnego rekonstruktora dawnych baletów romantycznych.

Z kolei w Niemczech mamy cenione zespoły w Hamburgu, Monachium, Stuttgartcie czy Wuppertalu, z dorobkiem takich gwiazd choreografii, jak John Cranko, John Neumeier, William Forsyth, Pina Bausch, Christian Spuck, Marco Goecke, których twórczość skupiała uwagę całego świata. Sztuka tańca jest tam bardzo lubiana, a praca choreografów i tancerzy powszechnie doceniana. Tak samo jest w Anglii, gdzie pojawiło się wielu utalentowanych choreografów. Nie zapominajmy też o Rosji, bo tam taniec wszystkich gatunków jest podziwiany, a balet klasyczny zajmuje znaczące miejsce w kulturze narodowej i szczyty się światowymi osiągnięciami.

W Polsce, w oficjalnym sektorze, mamy dziewięć instytucji operowo-baletowych, dwa teatry tańca, dwa zespoły pieśni i tańca, ale też wiele mniejszych zespołów zajmujących się tańcem. Polski Balet Narodowy ma największą widownię i nie narzekamy na frekwencję, choć uważam, że powinniśmy grać więcej przedstawień. Chcielibyśmy znacznie więcej widzów zaprosić do obcowania z naszą piękną sztuką, która niesie ze sobą tak wiele emocji i satysfakcji.

Obraz sztuki tańca i jego znaczenie kulturowe pod koniec XX wieku i z początkiem XXI wieku bardzo zmienił swoje oblicze. Jak Pana zdaniem polskie instytucje, szkolnictwo średnie i wyższe radzi sobie z nowymi wyzwaniem w dziedzinie tańca w porównaniu z wielokulturowymi zespołami, z którymi miał Pan okazję współpracować? W Polsce na przykład we wszystkich teatrach baletowych pracuje dużo cudzoziemców, w niektórych około 45 proc. Dane statystyczne z II Kongresu Tańca (2020) wykazują duży sektor ludzi zainteresowanych tańcem na poziomie demi-profesjonalnym, czyżby dlatego tylu cudzoziemców pracuje już w naszych zawodowych placówkach, bo tam wymagany jest wysoki profesjonalizm?

To prawda, do uprawiania tego zawodu potrzebny jest zespół różnych cech, co widać u tancerzy z zagranicy, którzy mieli znacznie wcześniej niż Polacy dostęp do nowych technik tańca i możliwość zaznajomienia się z nowymi trendami, które pojawiały się na przestrzeni XX wieku. Myślę, że mamy szansę szybko to nadrobić. Nie uważam się za eksperta w sprawie szkolnictwa baletowego, jestem dyrektorem zawodowego zespołu baletowego i choreografem. Na Zachodzie jest jednak bardzo rozwinięty ruch amatorski i to cenna działalność, bo ci ludzie są potem bardziej



Krzysztof Pastor podczas prób z Polskim Baletem Narodowym FOT. © EWA KRASUCKA / TWON

świadomymi odbiorcami naszej sztuki. A pamiętajmy, że kultura dowartościowuje człowieka. Taki ruch amatorski jest cenny, buduje wrażliwość, otwartość na drugiego człowieka, kształtuje szacunek do innych. Ludzie oswajają się ze sztuką. Bywa też, że część utalentowanych tancerzy przechodzi z ruchu amatorskiego do zawodowstwa i to jest bardzo dobre.

Zajmuję się tańcem zawodowo i mam swoje wymagania estetyczne. Rozróżniam co jest profesjonalne a co jest tylko rozrywką. Wiem czego oczekuję, podążam w sztuce tańca za pięknem, doskonałością i staram się być otwarty na działania innych zespołów, na wszelką działalność w dziedzinie tańca. Oczywiście chciałbym zatrudniać do PBN większą ilość polskich tancerzy. Jednak corocznie zgłaszają się do nas na audycję setki dobrze przygotowanych młodych artystów z zagranicy. Chcą przyjeżdżać i są często znakomici, a więc stanowią dużą konkurencję dla polskich tancerzy. Chciałbym, aby nasi kandydaci byli lepiej przygotowani do pracy. Jacy oni są zależy od ich szkolenia, znajomości nowych technik. Moim natomiast obowiązkiem jest dać widzom to, co najlepsze.

Nie można pozbyswać się konkurencji, z nią trzeba się mierzyć. Tak jak przez całą karierę artystyczną tancerza. Uważam, że nasze szkolnictwo powinno być na nowo przemyślane, powinno uczyć oprócz tańca klasycznego więcej technik tańca współczesnego. W tym zawodzie nauka i praca są wieczną konkurencją. Jeśli polscy tancerze nabędą więcej pewności siebie i wiary, wtedy nie będą obawiać się konkurencji.

Tancerze na całym świecie, im większą mają pasję i świadomość celu uprawiania tego zawodu, tym większą osiągają satysfakcję i uznanie widza.

Oczywiście ważni są nie tylko tancerze, ale też wysoko wyspecjalizowana kadra pedagogiczna i choreograficzna.

W Polsce zauważa się trochę brak szacunku dla ludzi utalentowanych, bez względu na narodowość. Tymczasem oczekiwania współczesnej publiczności są znacznie większe niż możemy zaoferować własnymi siłami. Obserwuje się też u nas frustrację środowiska z powodu utraty wcześniejszych emerytur, których pozbawiła tancerzy reforma emerytalna w 2009 roku. Ja do tej pory odczuwam konsekwencje tego zjawiska, choć przyznam, że świadomość artystów uprawiających ten zawód znacznie się podniosła. Jednak lęk tancerzy przed wczesnym w tym zawodzie zakończeniem pracy wciąż ma wpływ na ich psychikę i trzeba sobie z tym radzić. Mamy dobre przykłady rozwiązań tej kwestii stosowanych już w innych krajach, warto z nich skorzystać.

Czy powołana przez Pana organizacyjna struktura, w której pracuje PBN, jedyna w Polsce, sprzyja pracy baletu i jego rozwojowi?

Autonomia artystyczna PBN bez wątpienia sprzyja temu pod wieloma względami. To wielka zasługa dyrektora Waldemara Dąbrowskiego, który doprowadził do takiego usytuowania baletu w strukturze organizacyjnej Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Choć każdy, kto kieruje pracą zespołu, doskonale wie jak ważne są finanse, które niestety nie są w moich rękach. Pewnego rodzaju utrudnieniami są też przepisy związkowe, które nie raz paraliżują działania. Powinny oczywiście dbać o interesy pracowników, ale nie mogą hamować rozwoju sztuki. Muszę przyznać zasługę Związków Zawodowych w tym, że tancerze PBN zarabiają teraz godnie, choć mam zastrzeżenie co do przepisów nadmiernie ograniczających czas pracy. Przy

tak dobrych zarobkach powinniśmy ten czas wykorzystywać jak najpełniej, ze względu na krótki okres w jakim wykonuje się ten zawód, gdyż liczy się tu czas młodości i optymalnej sprawności człowieka. Kariera tancerza jest bardzo krótka (jak zdrowie pozwoli trwa około 20 lat), więc trzeba ją realizować jak najbardziej intensywnie tu i teraz. Dlatego wielka szkoda, że mamy tak mało przedstawień, ale to wynika także z przepisów ograniczających czas pracy zespołu.

Na przestrzeni ostatnich 10 lat pracy w PBN widać wyraźnie, że promuje Pan współczesną wizję sztuki tańca, ale jednocześnie dba o prezentowanie repertuaru wspaniałych pereł światowej klasyki. To ma znaczenie nie tylko edukacyjne, ale również wyraża szacunek dla kultury tańca oraz daje wsparcie, szczególnie młodemu widzowi, wspomagając jego wiedzę w rozpoznawaniu przeszłości i obcowaniu ze współczesnym tak bardzo zmieniającym się światem tej sztuki. Przecież sztuka tańca tzw. wyższa, jak i popularna jest istotną częścią współczesnej kultury człowieka a wyjątkowa wrażliwość artystów, ich zdolność dostrzegania niedostrzegalnego odgrywa znaczącą rolę w jej tworzeniu. Sztuka elitarna oczekuje od widza (odbiorcy) większego wtajemniczenia, wiedzy oraz przygotowania do jej odbioru. Jak przyjmowana jest sztuka tańca w tych krajach, w których miał Pan okazję pracować oraz jakie ma uznanie i znaczenie?

Jak już wcześniej wspomniałem sztuka tańca w wymienionych krajach znajduje wysokie uznanie i ma wielu odbiorców, którzy cenią sobie zarówno taniec klasyczny, jak i współczesny. W PBN próbujemy prezentować taniec współczesny, którego bazą jest klasyka – coś, co określane jest w świecie jako *contemporary ballet*.

Ciąg dalszy na s. 22 ►

► Ciąg dalszy ze s. 21

Proszę zauważyć, że balety na przykład Niżyńskiego, Bójarta, Neumeiera, Forsytha, Kiliána, Ecka, Wheeldona, McGregora i wielu innych choreografów XX i XXI wieku są bardzo silnie oparte na technice tańca klasycznego.

Powojenne doświadczenia naszego baletu są odmienne niż w innych krajach. W latach 70. wieku XX wśród zespołów przy teatrach operowych były dwa liczące się ośrodki: Teatr Wielki w Warszawie, gdzie była prezentowana klasyka i przychodzili najlepsi artyści z całej Polski, oraz Teatr Wielki w Łodzi, który nie miał tak znakomicie wyszkolonej kadry w technice tańca klasycznego, więc wystawiał więcej współczesnych realizacji polskich i zagranicznych choreografów. W innych ośrodkach także zdarzały się znakomite okresy, jak np. w balecie Opery Bałtyckiej w Gdańsku pod dyrekcją Janiny Jarzynówny-Sobczak. Istniały też dwa niezależne, autorskie zespoły Polskiego Teatru Tańca Conrada Drzewieckiego w Poznaniu i Pantomimy Wrocławskiej Henryka Tomaszewskiego we Wrocławiu.

Ważnym elementem jakości sztuki jest edukacja. Czy tancerze, pedagodzy, którzy wyszli z polskich szkół i uczelni spełniają oczekiwania współczesnych choreografów pod względem przygotowania zawodowego i oczekiwaniom współczesnej sztuki tańca? Czy nie należałoby na nowo przemyśleć, sposobu, treści zakresu edukacji w Polsce? Czy zechciałby Pan podzielić się z nami swoimi przemyśleniami, radami...

Ja pracuję z wykształconymi już tancerzami, jak już mówiłem nie jestem ekspertem od programów nauczania. Moim zdaniem bardzo istotną sprawą jest nabór kandydatów do szkół. Chciałbym, aby tancerz, absolwent szkoły był wszechstronnie wykształcony, z solidną bazą zawodową – techniką tańca klasycznego i współczesnego na bardzo wysokim poziomie. Tancerze powinni mieć pewność swoich umiejętności i nieodłączną pasję do tańca.

Koniecznością jest podniesienie rangi tego zawodu wzorem wielu innych krajów. Można by się zastanowić nad zrównaniem dyplomu ukończenia długiej i gruntownej przecież edukacji w szkole baletowej z dyplomem ukończenia studiów I stopnia, podniosłoby to rangę tej edukacji. Może warto byłoby doprowadzić do kilku specjalizacji w ramach jednej szkoły, np. taniec klasyczny, taniec współczesny czy też pedagogika tańca. Trzeba by to przeanalizować na nowo. Powinni to jednak robić specjaliści wysokiej klasy, metodycy, pedagodzy ze znaczącym stażem zawodowym na scenie.



FOT. © EWA KRASUCKA / TWON

Wielkim utrudnieniem w wyborze zawodu tancerza jest wspomniany już brak wcześniejszych emerytur lub bardzo dobrze rozwiniętego i spopularyzowanego systemu transformacji zawodowej dla tancerzy. Tutaj chciałbym mocno podkreślić i docenić wysiłki Instytutu Muzyki i Tańca nad zbudowaniem takiego systemu. Widzę też konieczność wspólnego wypracowania, wraz ze wszystkimi zainteresowanymi stronami, przejrzystych zapisów na temat godnego finalizowania kariery scenicznej tancerza. Byłoby dobrze, gdyby było więcej amatorskich szkół baletowych opłacanych przez rodzica, z których utalentowane dzieci kierowano by do profesjonalnego szkolnictwa.

Moim zdaniem są dwa ważne elementy: miłość do tego zawodu i świadomość rodzica wspierającego wybór dziecka. Jest również kwestia niedostatecznej obecności profesjonalnego tańca w mediach. Reasumując, moim zdaniem, szkolnictwo taneczne zasługuje na to, aby wybitni specjaliści z wielu dziedzin pochylił się nad nim na nowo. Ta piękna sztuka, która naprawdę może dostarczyć wiele niesamowitych przeżyć i wrażeń zasługuje na to, abyśmy wspólnie dążyli do podniesienia prestiżu i poziomu tego pięknego zawodu.

Chciałabym porozmawiać z Panem na drażliwy temat: czy krytyka baletowa promuje należycie sztukę tańca w Polsce, czy jest konstruktywna? Ciągłe zdarzają się niemerytoryczne uwagi użyte w recenzjach. Jaką rolę odgrywają media w promowaniu sztuki tańca w Polsce? Dzisiaj Internet to przemieszanie wszystkiego z wszystkim, ważnego i nieważnego, poważnego z ironicznym, prawdziwego z kłamstwem, rzeczywistego z fikcyjnym – groch z kapustą. Internet zburzył nasze zdolności rozumienia świata, wytworzył stan już przewlekły poznawczy ułomności ludzkości. Trudno odróżnić sztukę od kiczu. Odróżnienie sztuki od kiczu teraz ma znaczenie odwrotne. Chyba że zacytuję klasyka, że „śpiewać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej”. Ja już nie mam żadnych wątpliwości, że taka droga rozumienia sztuki tańca w Polsce nie ma przyszłości. Czego Pan by oczekiwał?

Byłoby dobrze, aby oceniano sztukę tańca profesjonalnie oraz promowano jej walory i rozwój na całym świecie. Ciężko trzeba pracować w każdym zawodzie, jeśli ma się ambicję, pasję i jest się ciekawym świata. Dotyczy to nas wszystkich, także tych, którzy ten świat opisują w mediach.

Otworzył Pan zespół na świat w sensie choreograficznym. Jak już Pan wspominał, dyrektor baletu, choreograf musi dokonywać wyborów w doborze zespołu baletowego, repertuaru, musi podążać za zmieniającymi się trendami na świecie, aby zainteresować publiczność tą piękną sztuką. Jakimi drogowskazami kieruje się Pan w dokonywaniu takich wyborów?

Wyznaję bardzo określoną estetykę, w jakiej kształtuję zespół i jego repertuar. W związku z tym podstawą u nas jest taniec klasyczny, ale tancerze muszą być wszechstronni, zdolni podejmować pracę także nad projektami awangardowymi, których bazą jest jednak klasyka. Spotykam się z dyrektorami znaczących baletów na świecie, wymieniamy się doświadczeniami i uwagami. Ta sieć kontaktów pozwala na wytyczanie trendów, jest bardzo ważna i twórcza.

Zawsze staram się wybierać dla naszego zespołu propozycje baletów odpowiadających talentom naszych tancerzy, ale przede wszystkim pragnę zainteresować współczesnego odbiorcę naszej pięknej sztuki.

Czy możemy patrzeć z nadzieją w przyszłość, że rozwijająca się ta dziedzina sztuki, współczesny teatr tańca, poszerzy pole wyobraźni ludzi w postrzeganiu świata?

Nie uważam, że jedno przedstawienie może zmienić świat, choć my – choreografowie podejmujemy czasem takie nieśmiałe próby. Prowadzę zespół w Operze Narodowej w Polsce, więc muszę respektować potrzeby teatru repertuarowego i polskiej publiczności. Stąd u nas bardzo zróżnicowany repertuar polski i powszechny, klasyczny i współczesny. Bardzo dbam również o to, aby były tworzone nowe balety dla naszego zespołu, gdyż stwarza to możliwość zaznaczenia własnego oblicza, własnego unikalnego wizerunku.

Taniec to sztuka, którą można się komunikować na całym świecie, bez używania słów. Wpływa na kulturę, świadomość, postrzeganie świata, tolerancję, otwartość, umiejętność komunikowania się między ludźmi. Dla mnie to piękna sztuka i piękny jest zawód tancerza, choć krótkotrwały. Pasja wymaga poświęcenia. Ktoś zapytał mnie kiedyś jaką cenę zapłaciłem za wyrzeczenia związane z wykonywaniem zawodu tancerza i choreografa. Oczywiście zdarzały się różne perturbacje w pracy i życiu osobistym, były momenty wzlotów i upadków, ale ja kocham ten zawód, dał mi on wiele satysfakcji i wolę raczej mówić o tym, ile zyskałem i ile zawdzięczam poświęceniu się sztuce tańca.

Pozwoli Pan, że zakończę nasz wywiad Pana wypowiedzią: „Sceny baletowo-muzyczne, powinny być jak kolekcja muzeum narodowego, gdzie w różnych salach eksponowane są najcenniejsze dzieła od klasyki aż po twórców awangardowych, dla różnych wysmakowanych gustów i oczekiwań publiczności” – wypada tylko podpisać się pod taką wizją dyrektora Polskiego Baletu Narodowego Krzysztofa Pastora. To była duża przyjemność rozmawiać z Panem o sztuce tańca.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■



FOT. © LUKASZ MURGABIA / TWON

■ KRZYSZTOF PASTOR

– dyrektor Polskiego Baletu Narodowego i w latach 2011–2020 dyrektor artystyczny baletu Litewskiego Narodowego Teatru Opery i Baletu. Urodził się i kształcił jako

tancerz w Gdańsku. Był solistą Polskiego Teatru Tańca Conrada Drzewieckiego, Teatru Wielkiego w Łodzi i Baletu Lyońskiego. W 1985 roku związał się z Holenderskim Baletem Narodowym (Het Nationale Ballet) i rozpoczął tam także pracę choreograficzną. Po zakończeniu kariery scenicznej, w latach 1997–1999 był choreografem Washington Ballet, a potem kontynuował swoją twórczość w Amsterdamie, gdzie w latach 2003–2017 roku zajmował pozycję choreografa-rezydenta Holenderskiego Baletu Narodowego. Tam powstała większość jego oryginalnych baletów autorskich. Zrealizował ponad 70 różnych choreografii, także z zespołami Australii (The Australian Ballet, West Australian Ballet), Belgii, Czech, Hongkongu, Izraela, Kanady, Litwy, Łotwy, Niemiec, Nowej Zelandii, Polski, Szwecji (Królewski Balet Szwedzki), Turcji, Węgier, Wielkiej Brytanii (Scottish Ballet), Włoch i USA (Washington Ballet i Joffrey Ballet).

W 2009 roku przyjął zaproszenie dyrektora Waldemara Dąbrowskiego, by objąć dyrekcję baletu Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, który uzyskał wkrótce autonomię artystyczną i został podniesiony do rangi Polskiego Baletu Narodowego. Pod jego dyrekcją zespół rozpoczął nowy okres dynamicznego rozwoju, wzmacniając swój skład artystyczny oraz wzbogacając repertuar o światowe arcydzieła choreograficzne i nowe prace polskich twórców. Zrealizował na scenie warszawskiej kilka swoich wcześniejszych baletów: *Tristana*, *Kurta Weilla*, *In Light and Shadow*, *Moving Rooms*, *Romeo i Julię*, *Burzę*, *Bohero* i *Do Not Go Gentle...* a także nowe choreografie: *I przejdą deszcze...*, *Adagio&Scherzo*, *Casanovę w Warszawie*, oryginalną wersję *Jeziora łabędziego* i *Koncert f-moll* do muzyki Chopina.

Laureat nagród choreograficznych Międzynarodowego Konkursu Baletowego w Helsinkach i holenderskiej Fundacji Dansersfonds '79, nagród specjalnych polskiego Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Związku Artystów Scen Polskich oraz ZAiKS-u. Odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Honorową Złotą Gwiazdą Ministerstwa Kultury Republiki Litewskiej. W 2017 roku otrzymał tytuł „Wybitnego Polaka” od Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”. ■

[illegible][illegible]

MAPA LUDOBÓJSTWA ORMIAN

Diagramy kołowe przedstawiają proporcje Ormian w Imperium Osmańskim w 1914 roku. Nie uwzględniono tu Ormian mieszkających w Stanach i innych prowincjach włoskich.

Kolor czerwy w diagramach odpowiada liczbie Ormian, którzy zgibnę w procesie wygładzenia regionalnego w ramach reformy państwa i ludnościowej w 1917 roku. Niezależnie od uwzględnienia Ormian, którzy uciekli się ucieczce, około 100 000 osób zginęło w procesie wygładzenia.

Kolor czerwony w diagramach Ormian, którzy uciekli z Imperium Osmańskiego, jest przedstawieniem proporcji, w tym koloru i liczby proporcji do mieszkańców danego w roku 1914.

Oznaczenia o kolorze zielonym przedstawiają kraj (tzw. „stwierdzenia propagandowe”, wypracowane dla Ormian w 1917 roku).

Historyczna Zachodnia Armenia

Łączna liczba Ormian ujęta w diagramach 1 032 614

82% 843 985 Ormianie deportowani i zginieli w 1917 r.

9% 97 247 Ormianie, którzy nie uciekli z Imperium Osmańskiego

9% 94 388 Ormianie deportowani i zginieli w 1917 r. uciekli w krajach powojennych

Mejor उपयोगिता में प्रदानित दस्तावेज़ Ormian, którzy pozostały przy życiu w Imperium Osmańskim po lipcu 1917 roku, pochodzący z raportu Talata Paşa. Dane te odwołują się do proporcji ludnościowej Talata i przedstawiają na podstawie szacunków archiwistów Imperium Osmańskiego (Akselund, Tolat Paşa's Report on Armenian Genocide, Instytut Konstantynopola, Londyn 2013).

Wielki udział zabójczych dyspozycji Talata Paşa, znanymi w tym celu nie uwzględnienie osmańskich kurdów i protestantów. W ostatnim szacunku populacji, co wskazuje na ich szacunki populacji w 1917 roku, co wskazuje na szacunki populacji Ormian w Imperium Osmańskim w 1914 roku, szacunki szacunku do ok. 1 400 000, w szacunku w 1917 roku do ok. 2 200 000. Według tych szacunków populacja Ormian w 1914 roku wynosiła ok. 2 100 000 osób, a liczba zaginionych znacznie przekroczyła milion.

Zabójstwa i przetrzymywanie nie zostały po przywróceniu w 1917 roku przez Talata Paşa białej nad szóstym stopniem osmańskim.

Copyright 2014, 2015

Synowie Araratu

„Mało nas,
ale jesteśmy Ormianami...”

Parujr Sewak



FOT. © MAKALU / PIXABAY

■ MEDARD AXENTOWICZ

Sięgnijmy do Biblii. Księgi świętej przez księdza Jakuba Wujka na język polski przełożonej. Oto opis potopu w fazie końcowej, gdy Bóg zgładził „wszystko stworzenie, które było na ziemi, od człowieka aż do bydłęcia” (Gen. 7,23). Ocalała tylko arka Noego z załogą i zwierztostanem. Wody zaczęły wtedy opadać: „I odpoczął korab miesiąca siódmego, dwudziestego i siódmego dnia miesiąca na Górach armeńskich” (Gen. 8,4).

Ormianie jeszcze dokładniej lokalizują miejsce lądowania arki. Zatrzymała się na Araracie, górze o dwu szczytach (5 156 i 3 914 m n.p.m.), dawno wygasłym wulkanie. Nazwa Ararat pochodzi najprawdopodobniej od państwa Urartu, powstałego tu w starożytności nad biblijnym Araksem, w górnym biegu tej rzeki. Ormianie tę bazaltową górę zowią Masis. Poniżej Araratu, w Ararackiej Dolinie, był ongiś raj. Tutaj ludzie w to wierzą. Na własne uszy słuchałem ich opowieści, szukając utraconego miejsca wiecznej szczęśliwości.

Święta góra Ormian

Jeśli Ararat wyłoni się spoza mgieł i chmur, to wygląda jak olbrzym, zadumany myśliciel. Świadek dziejów, dramatów narodu ormiańskiego. Wedle legendy kształt Araratu miał miecz ognisty, którym anioł wypędzał Adama i Ewę z raju. Niemal u jego stóp, a więc w miejscu biblijnego ogrodu wiecznej szczęśliwości, pokalanego grzechem przez naszych prarodziców, leży Eczmiadzyn, stolica religijna Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego. W muzeum katedralnym można obejrzeć kawałek skamieniałego drewna z arki Noego. To zdobycz Jakuba z Mycbinu, świętego Ormian. Wiedziony ciekawością odbywał około 330 roku wspi-

naczkowe wyprawy na Ararat. Niestety, wpół drogi zasypiał i... budził się za każdym razem u podnóża góry. Pan Bóg w końcu się nad nim ulitował i w czasie snu anioł położył mu pod głowę cząsteczkę relikwii.

Gdy ktoś nie dowierza ormiańskim opowieściom o arce Noego i jej wylądowaniu na Araracie, to wątpliwości rozwiewa Marco Polo. Sławny podróżnik określa też historyczną przynależność państwową góry: „I to wam jeszcze powiem, że w centrum tej Wielkiej Armenii stała Arka Noego na wysokiej górze. I góra ta, bardzo wysoka, kształtu sześcianu, zwie się dlatego Górą Arki Noego”.

Ararat to święta góra Ormian. Dziś leży w granicach Turcji. Ale duch Araratu żyje w narodzie ormiańskim. Ormianie wiedzą, że góry nie klęczą na kolanach.

*Nie wystawiamy się na pokaz światu...
Ale czas wreszcie byśmy się uznali
Za prawowitych synów Araratu,
O który potop na wezbranej fali
Noego arkę otarł o świtanie...*

To fragment wiersza *Niewiele nas*, ale jesteśmy Ormianami, tragicznie zmarłego w nie dość wyjaśnionych okolicznościach poety Parujra Sewaka (1924-1971). Wiersz tłumaczył Bohdan Gębarski, orientalista.

Hajastan

Noe mówił po ormiańsku. Gdy wyjrzał z Arki, krzyknął: „*Jerewan gal!*”. Znaczy to tyle, że ziemia się ukazała. Stąd nazwa dzisiejszej stolicy Armenii – Jerewan (orm. widać, *gal* – pojawiła się); stara polska wersja Erywań.

Wnukiem Noego, jak podają legendy, był Hajek, protoplasta Ormian. Armenia nosi tedy nazwę Hajastan. Jej mieszkańcy to Hajowie. W Republice Armenii żyje trzy miliony Ormian. Rozsianych po świecie są dwa miliony.

Nazwa Armenia w formie Arminija (Żujuuuuu!) występuje w VI wieku przed naszą erą w staroperskich napisach klinowych. Od trzech stuleci wcześniej istnieje już państwo Urartu. Z jego historią wiąże się geneza Armenii, prapoczątek narodu. Ormianie to nazwa staropolska, przyjęta od czasu ich kolonizacji za panowania króla Kazimierza Wielkiego.

Język ormiański należy wprawdzie do rodziny indoeuropejskiej, ale stanowi odrębną gałąź. Jest niepodobny do żadnego innego, istnieje przypuszczenie, że był bliski frygijskiemu. Budzi on szczególną ciekawość naukowców, gdyż zawiera zapożyczenia ze starożytnych języków irańskich, których dziś nie ma. Stąd jest swego rodzaju skarbnicą. W siedmiotomowym Słowniku etymologicznym języka ormiańskiego Aczariana, zawierającym 10 772 słowa, tylko 909 wymienia się jako indoeuropejskie rodzime, 4 016 ma stwierdzone zapożyczenia z różnych języków. Ponad 5 tys. pozostałych wyrazów jest pochodzenia azjanickiego, a znaczna ich część urartyjskiego.

Tak dowodzi językoznawca prof. Andrzej Pisowicz, znany iranista i armenista Uniwersytetu Jagiellońskiego, autor pracy *Gramatyka ormiańska (Grabar – Aszcharabar)* (Kraków 2001), współautor *Małego słownika ormiańsko-polskiego i polsko-ormiańskiego* (Kraków 2006). Obie wyszły nakładem Księgarni Akademickiej.

Dzieje Armenii są nie do pozazdroszczenia. Powodem tego stało się jej położenie. Kraj obejmował górzyste tereny Wyżyny Armeńskiej między Azją Mniejszą i Iranem oraz Nizinę Kurańską na południe od Kaukazu i Mezopotamią. Znalazł się między wielkimi potęgami jak Persja czy Rzym.

Ciąg dalszy na s. 26 ►

► Ciąg dalszy ze s. 25

Doszło do rozbicia państwa na Armenię Wielką i Małą, także do miast państwów, jak Edessa. Potem pojawili się inni wrogowie usiłujący zlikwidować Armenię i wypęcić ludność. Okresy suwerennej Armenii trwały krótko. Co było powodem tej wrogości zagrażającej państwu i narodowi? Odmienność kulturowa, a z czasem religijna Armenii.

Wiara i Kościół

Armenia była pierwszym krajem w świecie, który przyjął religię chrześcijańską jako państwową. Stało się to za panowania króla Tirydatesa, wedle tradycji w 301 roku. Organizatorem Kościoła był Grzegorz Oświeciciel, uznany przez Ormian za świętego. To on nawrócił króla Tirydatesa. Od jego imienia Kościół ormiański nazywa się też Kościołem Gregoriańskim. Wpływy nowej religii pojawiały się znacznie wcześniej. Mówią o tym wzmianki historyczne i legendy. Także apokryfy. Oto jeden z nich, niezwykle:

„Król Abgar, władca Edessy, z powodu trądu zwany Czarnym, słysząc, że lud Izraela sarka przeciwko Chrystusowi, napisał list do Niego z zaproszeniem: «Mam niewielkie, lecz piękne miasto – starczyłoby dla nas obu». Chrystus podziękował mu za propozycję i przeprosił, że ma do spełnienia misję Boga, swego Ojca, ale uczniowie, których mu przesyła szerzyć będą prawdziwą wiarę, a z trądu go uzdrowi. I tak potoczyła się historia: wiara chrześcijańska zaczęła się szerzyć w Armenii. Pogaństwo jednak nie ustępowało dobrowolnie. Stąd tak wielu świętych Ormian, zamordowanych podczas wprowadzania nowej religii”.

Gdy w ciągu wieków zabrakło państwa, wówczas jego rolę pełnił Ormiański Kościół Apostolski. Skupiał naród wokół siebie. I ten najbliższy Eczmiadzynu, stolicy Kościoła, jak i rozsiany po świecie, zazwyczaj tworzący kolonie. Spoiwem stała się wiara chrześcijańska, język i kultura.

Księgi jak dzieci

Ważną rolę w dziejach Armenii pełniła literatura. Kluczową rolę odegrał u jej początków mnich, syn chłopca, podróżnik, sekretarz królewski Mesrop Masztoc. Miał on cudowny sen i Boska ręka nakreśliła w jego pamięci kształt trzydziestu sześciu liter ormiańskiego alfabetu. Powstanie pisma ormiańskiego nastąpiło około 406 roku. Data owa otwiera nową erę w dziejach narodu. Następuje bujny rozkwit literatury ojczystej. Jej myślą przewodnią stają się pierwsze słowa napisane w języku ormiańskim: „Pojąć mądrość i radę, zgłębić prawdę rozumu”.



Św. Grzegorz Oświeciciel FOT. © DICK OSSEMAN / CC BY-SA 4.0

Kiedy wydawało się, że Rzym i Persja wchłoną po rozbiorach w 387 roku małą Armenię, naród zdobył się na heroiczną obronę. Najskuteczniejszą broń przeciwko polityce asymilacji stosowanej przez wroga mocarstwa stanowi właśnie literatura. Masztoc, który kładł podstawy jej rozwoju, w uznaniu zasług uznany zostanie świętym ormiańskim. Trafi do panteonów bohaterów narodowych. Jego imię nosić będzie Matenadaran, księżnica rękopisów w Erywaniu. Skarbiec kryje największe w świecie zasoby źródeł związanych z historią i literaturą Armenii. Księgi były dla Ormian tym, czym są dzieci. Jeśli ktoś nie miał potomstwa, to zamawiał dzieło u kopistów, a następnie komuś je darowywał, co oznaczało, że odchowane dziecko wypuszczał w świat.

Awetik Isahatian (1875-1957), wybitny poeta ukazujący ucisk swego narodu pod panowaniem sultanatu i carskiego reżimu, oddawał też cześć należną twórcom pierwszych ksiąg. W wierszu *Nasi historycy i nasi pieśniarze* tak ich sławił:

W ponurym mroku głuchych murów klasztornych cel, odosobnieni,

Bez snu, po nocach, przy kagankach, ciężarem bólu przytłoczeni,

Bez przerwy wodą zapijając spleśniały chleb – dziejopisarze

Na zwojach kart pożółkłych, suchych zapisywali bieg wydarzeń:

Najazdy krwawych hord i klęskę w tej wojnie, która narzuciła,

Zagładę kraju ojczystego i zemstę zawziętego wroga,

I Hajastanu los okrutny oplakiwali – i wierzyli,

Że niebo wreszcie ich usłyszysz, że modły muszą dojść do Boga

(tłum. Włodzimierz Boruński).

Książka, począwszy od przekładów *Biblii*, towarzyszyła narodowi ormiańskiemu. Otaczał ją kult. Jeśli po bitwach przyszło grzebać poległych, to w zwalach trupów szukano najpierw książek, aby je ocalić. Dziś można powiedzieć, że Ormianie należą do najbardziej czytanych narodów w świecie.

Ostoja wartości

„Żonę poznaje się u kołyski” – głosi stare przysłowie ormiańskie. Polegało to na tym, że zwykle kumowie z chwilą urodzin dziewczynki rozglądali się nad znalezieniem dla niej przyszłego partnera. Mawiano o zaręczynach przy piersi. Swaci nie mieli bynajmniej na myśli pogwałcenia uczuć przyszłych kandydatów do związku małżeńskiego. Liczyła się miłość. Młodzi mieli wolną rękę, ale brali też pod uwagę próbę skojarzenia ich przez kumów, z pewnością im życzliwych i dobrze życzących. Po co były te zabiegi, do czego zmierzały? Jedno pewne: do założenia dobrej rodziny. Czym ona jest dla najbliższej grupy społecznej i dla narodu? Na pewno najważniejszą komórką rodzaju ludzkiego. Tak traktował małżeństwo i rodzinę Kościół. To była podstawa istnienia i rozwoju narodu. Ostoja najważniejszych wartości w ludzkim życiu.

Przez długie wieki rodzina w Armenii miała charakter wielopokoleniowy. Pozwalało to łączyć siły i doświadczenia dziadków i rodziców. Dzieci rosły i wychowywały się w atmosferze wspólnych celów i dążeń ich najbliższych.

Rola dziadka w tradycyjnej rodzinie ormiańskiej była uprzywilejowana. Dawała mu pierwsze miejsce wynikające z racji życiowego doświadczenia. Starość darzona szacunkiem, stąd tak ważna jego pozycja.

Matka stale przebywała w domu. Pracowała ciągle dla dobra rodziny. Uczyla dzieci mowy, języka ormiańskiego. Dbła o córki, aby wyrosły z nich dobre matki. Uczyli się wszystkich domowych czynności. Matka, jeśli coś polecała dzieciom, mówiła to tylko raz. Bez sprzeciwu zawsze ją słuchały.

Tradycyjny model rodziny zachwiał w znacznym stopniu nowe prądy w cywilizacji światowej. Objęły także naród ormiański. Ciężka sytuacja polityczna i gospodarcza Republiki Armenii, wojna o Górski Karabach, asymilacja emigrantów sprawiły, że naród ormiański przechodzi jeden z najtrudniejszych okresów w swych dziejach.

Ormianie polscy

Ormiańska Polska (Warszawa 2018) to tytuł niezwyklej książki autorstwa profesorów Krzysztofa Stopki i Andrzeja A. Zięby, badaczy z krakowskiego ośrodka armenistycznego. Album, z bogactwem ikonografii, jest kolejną pozycją z serii ukazującej dzieje Ormian polskich, jak też ich znaczenie w życiu i kulturze Rzeczypospolitej. Dzięki patronującej Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich oraz Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne. W *Ormiańskiej Polsce* przewijają się dwa wątki: mitologiczny i historyczny. Dają przez to obiektywny obraz, ale też odsłaniają kulisy wydarzeń. Rys znamieny: przybysze byli bardzo sprytni, obrotni, wszędobylscy.

Tworzyli między sobą sieć kontaktów i informacji. Wiadomo było od razu, że wybrali Polskę jako swoją drugą ojczyznę. Nawiązali kontakty z królami, politykami, władzami miejskimi. Dogadywali się. Umieeli robić interesy. W przeciwnieństwie do Żydów, którzy stawiali na duży zysk, oni liczyli na duży obrót. Tym wygrywali z konkurencją. Znaczna ich część osiadła na roli. Potrafili dobrze gospodarować i stale powiększali swoje majątki ziemskie. Błyskawicznie nauczyli się języka polskiego. Opanowali swoimi wpływami wszystkie regiony Polski. Uznawali polską rację stanu.

Geneza diaspory ormiańskiej w Polsce sięga czasów króla Kazimierza Wielkiego. Koncepcje wiążące ją z panowaniem książąt ruskich pochodzą ze źródeł późnych i niewiarygodnych. Pierwsze przywileje dla Ormian we Lwowie wystawiał dopiero król Kazimierz (1356, 1367). W okresie jego panowania pojawili się też pierwsi biskupi ormiańscy potwierdzeni źródłowo (1354, 1359, 1361, 1367, 1369) i wzniesione zostały pierwsze ormiańskie budowle sakralne (1362, 1363).

Jako małemu chłopcu pokazywał mi Ojciec ulicę Ormiańską w Zamościu. Z jej zaułków tchnęła jakaś nieokreślona egzotyka. Frontony kamieniczek zadziwiała mnie orientálním zdobnictwem. W młodości nielegalnie oglądałem wnętrza Katedry Ormiańskiej we Lwowie. Po aresztowaniu przez Sowietów duchownych nią zarządzających, świątynię zamieniono na magazyn obrazów. Świadcetwo barbarzyństwa przerażało. Gdy patrzyłem na sceny religijne pędzla Jana Henryka Rosena, szczególnie na „Ukrzyżowanie”, to odniosłem nieodparte wrażenie, że Chrystus znowu został przygwożdżony do krzyża.

Orient

Ormianie, którzy osiedlali się w Polsce od XIV do XVIII wieku, pochodzili przeważnie z Krymu, jak też z innych obszarów zajętych przez Tatarów nad Morzem Czarnym. Zajmowali się głównie handlem. Jest takie powiedzenie: „Tam, gdzie Ormianin przejdzie, to Żyd nie ma czego szukać”. Opanowali szlak handlowy od Wschodu po Śląsk. Na sprowadzaniu towarów orientalnych dorabiali się często ogromnych majątków. Zasłynęli jako świetni złotnicy, malarze, tkacze wyrabiający dywany i pasy. Częstym ich zajęciem było garbarstwo. Zmonopolizowali wyrób safianu. Miewali duże gospodarstwa rolne. Zatrudniali się w wojsku polskim. Znawcy języków wschodnich służyli z pomocą poselstwom i przedsięwzięciom dyplomatycznym.

W dawnej Polsce znaleźli Ormianie swoją drugą ojczyznę. Szybko następowała ich polonizacja. Okazywali się patriotami.

Jako żołnierze odznaczeni się często bohaterstwem. W każdej dziedzinie życia potrafili się wybić. Popatrzmy na nazwiska ludzi kultury, literatury i sztuki. Nie zawsze płynęła w ich żyłach czysta krew ormiańska, często po kądzieli, czasem po drugim lub trzecim pokoleniu. Juliusz Słowacki był po ojcu i matce pochodzenia ormiańskiego. Korzenie ormiańskie miał Zbigniew Herbert. Ormiańska krew płynęła w Krzysztofie Pendereckim, sławnym kompozytorze, jak też w filmowcu reżyserze Jerzym Kawalerowiczu, z aktorów w Zbigniewie Cybulskim.

Dzieło księdza Grzegorza Piramowicza

Jednym z czołowych działaczy Komisji Edukacji Narodowej, pierwszego w Europie ministerstwa oświaty, był ksiądz Grzegorz Piramowicz (1735-1801). Pochodził z ormiańskiej rodziny mieszczańsko-kupieckiej we Lwowie. Spośród jedenaściorga rodzeństwa był najstarszy. Bardzo wcześnie oddany został do kolegium jezuickiego we Lwowie, gdzie dał się poznać z wielkiej pracowitości i talentów.

Mimo sprzeciwu rodziców wstąpił do zakonu jezuitów. Otrzymał bardzo wszechstronne wykształcenie, pogłębione w Rzymie. Tam go zastała kasata zakonu. Związał się wówczas z Ignacym Potockim, sekretarzem Komisji Edukacji Narodowej, obejmując prebendę w Kurowie koło Puław. Od 1775 roku członek Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych, współtwórca Ustaw Komisji Edukacji Narodowej. Księdzu Piramowiczowi głównie zawdzięcza oświata reformę szkolnictwa podstawowego, objęcie nim dzieci miasteczek i wsi. Zamiast pamięciowego wkuwania materiału wprowadził metodę rozumową. Służyły temu nowego typu podręczniki. Nauka odbywała się w języku polskim. Dużą wagę w wychowaniu młodzieży przykładano do zajęć z zakresu kultury fizycznej.

Młodzież kształcono w duchu patriotycznym. Chodziło o wychowanie człowieka, któremu w życiu będzie dobrze, jak też danej społeczności z nim. Piramowicz uprawiał także poezję, nieco przyciężką. Drukował głównie w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych”. Spolszczył bajki *Fedra Augustowego wyzwolenica*. Każda ma na początku podany morał. Oto przykład: *Pies przez rzekę z mięsem płynący*. „Kto cudzego pragnie, sprawiedliwie traci swoje.

Pies, płynąc przez rzekę i niosąc w paszczy mięsiwo, ujrzał w przezroczystej wodzie swój obraz, a mniemając, iż inszy pies niesie drugi podobny łup, chciał go wydrzeć; ale zawiodła jego chuć żarłoczna. Albowiem i to mięso, które trzymał, z paszczki wypuścił, i owego, co tak chciwie żądał, dostać nie mógł”.

Ludobójstwo

24 sierpnia 1939 roku w Obersalzbergu, na krótko przed napaścią na Polskę, Hitler przemawiał do generałów Wehrmachtu. Padły wtedy z jego ust straszliwe słowa: „Zabijajcie bez litości kobiety, starców i dzieci, liczy się okrucieństwo. Kto dziś pamięta rzeź Ormian”. Tak miała wyglądać wojna w jego rozumieniu.

A jednak rzeź Ormian w latach 1915-1917 coraz więcej państw uznaje za ludobójstwo. Władze tureckie wciąż temu przeczą. Tłumaczą, że w tamtych latach Wielkiej Wojny doszło tylko do przesiedleń Ormian, gdyż opowiedzieli się za Rosją walczącą po stronie Ententy. Turcja była po stronie państw centralnych. Nie wolno jednak pominąć tego, że już w latach 1895-1896 i w 1909 doszło do masowych straceń ludności ormiańskiej. Zawadą dla władz stało się poczucie narodowe Ormian, domaganie się przez nich praw obywatelskich.

Ciąg dalszy na s. 28 ►



Posąg Mesropa Masztoca przed gmachem Instytutu Matenadaran w Erywaniu

FOT. © MARCIN KONSEK / CC BY-SA 4.0

► Ciąg dalszy ze s. 27

O prześladowaniach i tępieniu Ormian pisali w dwudziestoleciu międzywojennym Stefan Żeromski i Zofia Nałkowska. Wielkie reperkusje miało dopiero wystąpienie w latach PRL-u publicyści i tłumacza Bohdana Aleksandra Gębarskiego (1905-1978). Jego rodzina mieszkała w Petersburgu, z którego wrócił do Polski w 1924 roku. Po skończeniu orientalistyki na Uniwersytecie Warszawskim pracował w prasie katolickiej i narodowej. Brał udział w Powstaniu Warszawskim, a po jego upadku trafił do obozu jenieckiego w Niemczech. W początkach Polski Ludowej nie uniknął więzienia. Jego wielką pasją stała się historia i literatura Armenii. Zgłębiał dzieje tego narodu, coraz bardziej go rozumiał i kochał.

Miałem szczęście w mej młodości poznać Pana Gębarskiego. Ledwie zjawiałem się w mieszkaniu Państwa Gębarskich i zasiadałem przy stole, częstowano mnie herbatą. Stół był pełen książek, zwykle różnorodnych. Drążyłem temat: skąd się wzięło tak Wielkie Zło, niespotykane dotychczas w dziejach ludzkości. Wiadomo, że ludzie ze sobą wojowali, toczyli krwawe bitwy. Zmieniały się terytoria państw. Co jakiś czas konflikty rozstrzygały różne gremia, nastawał pokój – krótszy lub dłuższy. Jak to się stało, że tamto myślenie odstawiono do lamusa i wymordowano jedną trzecią narodu ormiańskiego?

Gębarski zgłębiał ten temat. Swoją uwagę kierował na młodych Turków, którzy na początku XX wieku studiowali na uniwersytetach francuskich i niemieckich. Przejęli oni obyczaje zachodnich Europejczyków. Objawiało się to w noszeniu garniturów, a nie tradycyjnych ubiorów. Nie nosili bród i wąsów, włosy mieli krótko przyszyte. Odwiedzali restauracje i kawiarnie, flirtowali z kobietami. Z wydarzeń europejskich najbardziej interesowała ich Wielka Rewolucja Francuska. Nie brali pod



Chaczkar na pomniku nagrobnym Bohdana Gębarskiego FOT. © MONIKA AGOPSOWICZ / SKARBNIKA.ORMIANIE.PL

uwagę liczby ofiar, jakie za sobą pociągnęła. Najważniejszy był jej rezultat, zmiotła stary porządek we wszystkich dziedzinach życia. Wyciągnęli z niej wniosek, że liczą się tylko radykalne rozstrzygnięcia. Dostrzegali zmierzch Sułtanatu, należało przejąć władzę i zbudować świat od początku.

Na terytorium Turcji zamieszkiwały różne narody: Ormianie, Grecy, Żydzi i inne mniejszości etniczne. Pytanie: jakim prawem? Nasuwał się prosty wniosek, trzeba się ich pozbyć. Zapomniano o jednym, że tamte narody żyły na tych terenach z dawien dawna, a Turcy zawojowali je o wiele później. Zwolennicy radykalnych metod mieli pewne wzorce, bowiem już w XIX stuleciu przystąpiono do niszczenia Ormian. Powód był jeden – domagali się praw obywatelskich. Chcieli wyznawać swoją chrześcijańską religię, płacić normalne a nie dwukrotnie większe podatki, czuć się bezpiecznie. I wojna światowa stworzyła realne możliwości usu-

nięcia Ormian z Turcji. Brali oni stronę Rosji, która przyłączyła się do Ententy. Turcja była w przeciwnym obozie Państw Centralnych, jej głównym sojusznikiem stały się Niemcy. Wielka inwestycja, czyli kolej Berlin – Bagdad otwierała drogę do władania koloniami w Azji. Równocześnie uchylała Turcji drzwi na zachód Europy. W cieniu tych wielkich zamierzeń wymordowano w latach 1915-1917 około miliona Ormian. Inne źródła podają liczbę półtora miliona, sami Ormianie szacują ofiary na dwa miliony. Polski prawnik, żydowskiego pochodzenia Rafał Lemkin, pisząc o rzezi Ormian, zwracał się do Ligi Narodów w 1933 roku, używając po raz pierwszy w świecie terminu ludobójstwo. Nikt nie aprobował jego stanowiska, wyjechał do Ameryki i zmarł w zapomnieniu a przecież przestrzegał świat przed groźbą kolejnych zbrodni na wielką skalę.

Wnikliwe studia Bohdana Gębarskiego zmierzały, jak sądziłem, do napisania dzieła o tragedii Ormian. Na pewno chodziło mu o to, aby pamięć o tym ludobójstwie nie została zatarta. Aby świat dokonał oceny zbrodni, której Turcy się wypierali. Pytanie: kto w polskich realiach lat sześćdziesiątych ośmieliłby się wydać taką publikację? Cenzura obawiała się przedstawiania wielkich totalitaryzmów. Związek Radziecki do nich należał. Odgrzewanie więc sprawy ormiańskiej nie było władzom na rękę. Doświadczony dziennikarz, jakim był Gębarski, widział tylko jedną szansę, druku eseju w jakimś czasopiśmie. Najważniejsze, żeby taka rzecz się ukazała. Dalej można było ją przetłumaczyć na kilka języków i upowszechniać. Istotnie tak się stało.

Esej *List do starego tureckiego znajomego* ujrzał światło dzienne 26 listopada 1961 roku, na łamach PAX-owskiego tygodnika „Kierunki”. Środowisko dziennikarskie pokpiwało sobie z cenzorów, sam esej zaś wzbudził ogromne zainteresowanie. Raz, że był świetnie napisany, dwa odwoływał się do starej formy publicystycznej, jaką był list. Miał charakter bardzo osobisty, co podnosiło jego rangę artystyczną i moralną. Apelował do sumień intelektualistów tureckich, liczbę ofiar szacował na trzy i pół miliona, wliczając w to także nienarodzone dzieci. Został szybko, przetłumaczony na ormiański przez Marię Grocholską, repatriantkę z Erywanii. Pojawiło się tłumaczenie na angielski, które obiegło świat. Produkowano samizdaty. Naród ormiański stawał z klęzek.

Grób Bohdana Gębarskiego znajduje się na Cmentarzu Bródnowskim. Widnieje tam chaczkar, krzyż ormiański ufundowany przez katolika Wazgena I z Eczmiadzynu. Geworg Emin, wybitny poeta ormiański dziękował Gębarskiemu mu za jego *List* w imieniu rodaków z całego świata.

MEDARD AXENTOWICZ ■



Pomnik Ludobójstwa Ormian FOT. © WWW.ITINARI.COM

Kreatywność sprzed tysiący lat

Ġgantija na wyspie Gozo

FOT. © GUSTAV SVENSSON / CC BY-SA 3.0

■ WOJCIECH GOLJAT



Poznając historię ludzkich cywilizacji można odnieść wrażenie, że inteligencja, kreatywność i chęć innowacji ludzi żyjących setki czy tysiące lat temu wcale nie były mniejsze niż ludzi żyjących w XXI wieku. Otaczają nas tysiące przedmiotów, urządzeń czy rozwiązań, które mają ułatwić nam życie. Niektóre zostały wynalezione w okresie ostatnich kilku czy kilkunastu lat, inne sto czy dwieście lat temu. Są i takie znane ludziom od tysięcy lat.

Stworzone kiedyś prototypy udoskonalano i rozwijano; niektóre rozwiązania zastępowano innymi. Ciekawość świata, chęć poprawiania sobie warunków życia i innowacyjność towarzyszyły ludzkości od zawsze. Spoglądając na efekty ludzkiej aktywności sprzed tysiący lat należy chyba z uznaniem spojrzeć na kreatywność ludzi z odległych epok.

Człowiek pierwotny

Znaleziska archeologiczne wskazują, że już 2-3 mln lat temu przedstawiciele hominidów (praludzi) zaczęli wytwarzać prymitywne narzędzia kamienne. Dzisiejszy stan badań wskazuje, że już 1,8 mln lat temu rozpoczęła się wielka migracja hominidów z Afryki do Azji i Europy.

Z badań genetycznych wynika, że dopiero około 100 tys. lat temu *homo sapiens* (człowiek współczesny) wywędrował w większych grupach ze wschodniej Afryki rozprzestrzeniając się z czasem na wszystkie kontynenty. Ten ruch migracyjny i dalszy rozwój demograficzny na nowych terenach nazwany został „pożegnaniem z Afryką”. Ówczesny człowiek nazwany został człowiekiem kromanińskim. Antropologicznie jest on uważany za identycznego z człowiekiem współczesnym. Druga teoria, będąca mo-

dyfikacją teorii „pożegnania z Afryką”, to tzw. hipoteza multiregionalna. Podkreśla ona, że była to już kolejna fala emigracyjna i starsze grupy hominidów w kilku falach zasiedliły już wcześniej (dziesiątki i setki tys. lat wcześniej) Azję i Europę.

Jednak te starsze grupy uległy osłabieniu demograficznemu prawdopodobnie wskutek dwóch wybuchów superwulkanów (Toba na Sumatrze 70 tys. lat temu i Pola Flegrejskie we Włoszech 45 tys. lat temu), zmian klimatycznych, chorób i problemów z pozyskiwaniem żywności. Stąd też ich miejsce mógł zająć dynamiczny człowiek kromaniński i to właśnie on stopniowo wyparł wcześniejsze ludy, częściowo się z nimi krzyżując co potwierdzają badania genetyczne i dostrzegane odmienności antropologiczne Aborygenów, Papuasów czy japońskich Ajnów.

Badania genetyczne wykazują, że Papuai z Nowej Gwinei mają 6-8 proc. genów człowieka denisowiańskiego (który zasiedlał część Azji kilkadziesiąt tysięcy lat temu) natomiast Europejczycy 2-4 proc. genów jako pozostałość po neandertalskich przodkach. Nawet niebieskie, szare czy zielone oczy znacznej części mieszkańców północnej Europy uważa się za pozostałość krzyżowa-

nia się człowieka kromanińskiego z człowiekiem neandertalskim, który wcześniej przez kilkadziesiąt tysięcy lat dominował na cieplejszych obszarach Europy i części Azji.

Rewolucja neolityczna

Opanowanie rolnictwa przez *homo sapiens* było olbrzymim osiągnięciem. Po „pożegnaniu z Afryką” był to chyba najważniejszy kamień milowy w rozwoju ludzkości.

Szacuje się, że około 30 tys. lat temu rodzaj ludzki osiągnął liczbę około miliona przedstawicieli żyjących i działających w niewielkich grupach. Grupy te zdobywały żywność trudniąc się zbieractwem i łowiectwem. Dopiero około 12 tys. lat temu rozpoczęła się tzw. rewolucja neolityczna, której głównym elementem było stopniowe opanowanie (trwające co najmniej kilkanaście, a prawdopodobnie kilkadziesiąt pokoleń) przez człowieka uprawy ziemi i hodowli. Dopiero kultury rolnicze, zmiany społeczne i powstające cywilizacje umożliwiły dalszą ekspansję demograficzną człowieka.

Pierwsze społeczeństwa rolnicze powstawały na obszarach żyznych ziem i w dobrych warunkach klimatycznych.

Ciąg dalszy na s. 30 ►

Malowidło z jaskini w Lascaux

FOT. © ARCHEOLOGIE.CULTURE.FR/LASCAUX



► Ciąg dalszy ze s. 29

Nie przypadkiem na obszarze Mezopotamii i Egiptu powstały pierwsze cywilizacje i pierwsze organizmy państwowe. Niezależnie kultury rolnicze powstały na obszarach dzisiejszego Meksyku i Peru oraz Indii i południowych Chin.

Rolnictwo zapewniało znaczne ilości pożywienia, wymagało jednak wypracowania organizacji pracy, a więc i pewnych środków przymusu. W efekcie prowadziło to do powstawania państw. Z kolei opanowanie rolnictwa i dostatek żywności spowodowały eksplozję demograficzną. Szacuje się, że o ile liczba ludności w ciągu 20 tys. lat pomiędzy 30000 a 10000 rokiem p.n.Chr. wzrosła pięciokrotnie z około 1 do 5 mln, to w okresie następnych 10 tys. lat (czyli około 350 pokoleń) nastąpił wzrost pięćdziesięciokrotny do około 250 mln ludzi żyjących w czasach Chrystusa.

Około 6 tys. lat temu człowiek podjął pierwsze próby wykorzystania metali rozpoczynając na Bliskim Wschodzie epokę brązu (stopu miedzi z cyną), natomiast około 3,5 tys. lat temu opanowano technologie pozyskiwania żelaza z często występujących rud żelaza (wcześniej znano żelazo pozyskiwane z meteorytów lecz było ono trudno dostępne). Produkcja metalowych narzędzi i broni okazała się istotnym elementem dalszego rozwoju cywilizacji.

Rolnictwo

Badania archeologiczne potwierdzają ślady uprawy roślin na niewielką skalę przez ludzi żyjących już ponad 20 tys. lat temu. Jednak dopiero korzystne zmiany klimatyczne kilkanaście tysięcy lat temu, pozwoliły niektórym grupom ludzi podjąć innowacyjną działalność jaką było planowe sianie i zbieranie plonów roślin, które dotychczas rosły dziko.

Efekty były na tyle zachęcające, że stopniowo coraz większy wysiłek opłacało się wkładać w pozyskiwanie żywności poprzez uprawy, ograniczając wysiłek wkładany w działalność zbieracką i łowiecką. Zapoczątkowało to rozwój rolnictwa na terenach Mezopotamii, Egiptu, Syrii i Palestyny już



FOT. © MARIUSZ MATUSZEWSKI / PKABAY

około 10000 roku p.n.Chr. Za pierwszą uprawę na większą skalę uważa się pszenicę; wkrótce opanowano też uprawę jęczmienia, grochu, soczewicy, wyki, ciecierzycy i lnu – z czasem rozszerzając gamę upraw o proso, orkisz, żyto, rzepę, cebulę i czosnek.

W ciągu następnych kilku tysięcy lat rolnictwo pojawiło się na terenie Iraku, Indii czy południowych Chin. Otwartym pozostaje pytanie na ile był to import z Bliskiego Wschodu, a na ile niezależna innowacyjność ludzi zamieszkujących dany obszar. Natomiast na kontynencie amerykańskim niezależnie działalność rolniczą rozpoczęto około 5000 roku p.n.Chr.

Równoległe z uprawą roślin rozwijała się hodowla; ludzie udomowili niektóre gatunki zwierząt żyjących wcześniej w stanie dzikim. Jeszcze w czasach gospodarki zbieracko – łowieckiej ludzie udomowili psa. Potem około 9000 roku p.n.Chr. udomowione zostały kozy i owce, a około 7000 roku p.n.Chr. bydło i świnie. Konia udomowiono na stepach centralnej Azji około 3500 roku p.n.Chr., lecz dopiero 1500 lat później rozpowszechnił się on na Bliskim Wschodzie i w Egipcie.

Jednak upłynęło kilka tysięcy lat zanim stwierdzono, że spulchnianie gleby motyką jest zbyt mało wydajne – co najmniej od 3500 roku p.n.Chr. zaczęto używać radła, a z czasem sochy pozwalającej na dużo lepsze przygotowanie gleby. Do ścinania kłosów zbóż używano sierpów (najpierw kamiennych, później z brązu, a później żelaznych).

Istotną kwestią okazało się nawadnianie ziemi. Już około 4000 roku p.n.Chr. w Mezopotamii zaczęto budować systemy kanałów irygacyjnych, tam, zapór i przepustów. Niewiele później w Egipcie, wykorzystującym coroczne wylewy Nilu, również tworzone sieci kanałów i zapór. Potrafią nawadniać też pola położone nieco wyżej poprzez zastosowanie żurawi czy kół wodnych z czerpakami przenoszącymi wodę na wyższy poziom.

Wynalazków związanych z rolnictwem było oczywiście więcej. Już samo zjawisko dynamicznego przyrostu demograficznego pokazuje, że opanowanie rolnictwa zmniejszyło ryzyko głodu i przyniosło ówczesnym ludziom wymierne korzyści.

Rozwój cywilizacji konsekwencją rozwoju rolnictwa

Rewolucja neolityczna spowodowała dynamiczne zmiany życia społecznego. Mimo, że zasadniczo pod pojęciem rewolucja rozumiemy gwałtowne zmiany trwające kilka miesięcy czy kilka lat to tzw. rewolucja neolityczna rozłożyła się na kilkanaście stuleci i kilkadziesiąt pokoleń. Lecz dopiero porównawszy to z faktem, że wcześniejsze pokolenia przez dziesiątki tysięcy lat nie zmieniały swego trybu życia, uznamy te zmiany za dynamiczne trwające „tylko” nieco ponad tysiąc lat.

Rozwój rolnictwa doprowadził do osiadłego trybu życia, zapewnienia większych zasobów żywności i w konsekwencji do

Wąwóz Olduvai (Oldupai) położony w północno-zachodniej Tanzanii. W wąwozie znajduje się jedno z najstarych stanowisk archeologicznych i antropologicznych. Warstwy geologiczne wąwozu zawierają ślady obecności człowieka i innych gatunków człowiekowatych datowane na 2,6-1,7 mln lat. FOT. © MIKE KRUGER, 2011 / CC BY-SA 4.0



dynamicznego przyrostu liczby ludności. Konsekwencją tego była konieczność migracji nadwyżki ludności i opanowywanie nowych obszarów, które można by było przekształcać rolniczo. Rolnictwo pozwoliło wytwarzać nadwyżki i rolnik mógł część swoich plonów zamieniać na inne dobra. Efektem była specjalizacja pracy – niektórzy porzucali zajęcia rolnicze i zajmowali się inną działalnością: rzemiosłem, handlem czy transportem. Powstawały nowe zawody: garncarza, tkacza, budowniczego, kowala, kupca, marynarza... Powstawały duże osiedla, a z czasem miasta. Następował wzrost zamożności i poprawa warunków życia.

Niestety, jednak nie do końca. Zamożność i nadwyżki wytwarzane przez społeczności rolnicze stawały się przedmiotem pożądania ludzi i społeczności, które takich nadwyżek nie potrafiły wypracować. Zamożne społeczności rolnicze były często napadane, rabowane, pozbawiane majątku, a nierzadko i życia czy wolności. Stąd też jednostki najbardziej energiczne i zdeterminowane (i z reguły najbardziej bezwzględne), często nadużywając argumentu organizowania samoobrony, narzucały swoją hegemonię pozostałym członkom społeczności przejmując część wytworzonych nadwyżek w zamian za ochronę (nieraz pod groźbą represji). Powstawała hierarchia społeczna, system podległości i uzależnień, tworzył się system klasowy. Konflikty zbrojne poniekąd legitymizowały tego typu podziały i prawo dominacji elit nad większością społeczeństwa. Powstawały organizmy państwowe, początkowo jako niewielkie księstwa, natomiast z czasem jako potężne państwa (Egipt, Asyria, Babilonia).

Jednak tym pierwszym i głównym impulsem do tworzenia zorganizowanych społeczności i państw było właśnie opanowanie rolnictwa, produkcja nadwyżek żywności (lub innych dóbr) i konieczność organizacji życia społecznego (m.in. prac irygacyjnych).

Dwa aspekty życia ówczesnych państw wczesnej starożytności szczególnie wpłynęły na dalszy rozwój wynalazczości i kreatywności. Były to potrzeby natury militarnej i potrzeby związane z budownictwem (świątyń, pałaców, grobowców). Zastosowanie brązu, a potem żelaza znacząco wpłynęło na tworzenie uzbrojenia. Dążono do uzyskania przewagi technicznej nad słabiej uzbrojonym przeciwnikiem. Z czasem technologia produkcji żelaznej broni uległa udoskonaleniu; zaczęto stosować stal, opanowano procesy nawęglania i hartowania, udoskonalono proces kucia. Doświadczenia w produkcji wyrobów żelaznych przenoszone były również na sferę produkcji narzędzi



Sztandar z Ur – strona pokojowa, 2900-2334 p.n.Chr. FOT. © BRITISH MUSEUM



Tomb of Nakht, prace rolnicze, XV w. p.n.Chr.

FOT. © DOMENA PUBLICZNA

gospodarczych (siekiery, młoty, noże, dłuta, a nawet piły) czy rolniczych (sierpy, motyki, żelazne radlice do sochy).

Rozwój rydwanów bojowych wymusił znaczne modyfikacje koła, używanego w pojazdach poprzez zastosowanie szprych i uczynienie kół dużo lżejszymi – podobnie udoskonalone koło zaczęło stosować również w transporcie towarów. Przewaga, jaką uzyskiwały wojska wyposażone w rydwany, doprowadziła do ich rozpowszechnienia w świecie starożytnym i w efekcie również do intensywnej hodowli koni. Natomiast

rzadko, pomimo znajomości produkcji siodeł, używano wówczas kawalerii, której czasy miały nadejść dopiero znacznie później: po zastosowaniu strzemięcia – nie znanego jeszcze w starożytności.

W budownictwie oprócz kamienia zaczęto powszechnie stosować suszoną cegłę produkowaną z mułu lub z gliny. Powstawały potężne (najczęściej kamienne) budowle pałacowe czy sakralne – w części zachowane do dziś. Egipcjanie w połowie III tysiąclecia p.n.Chr. zbudowali kilkadziesiąt imponujących królewskich piramid. Największa z nich, piramida Cheopsa, przez 3700 lat była najwyższą konstrukcją budowlaną stworzoną przez człowieka. Kreatywność i talent organizacyjny ówczesnych budowniczych zadziwiają do dziś – znamy efekty ich pracy (w części podziwiane do dziś) lecz nie znamy dokładnie metod i technologii stosowanych przy budowie piramid. Tym bardziej, że kołowrót czy krążek linowy wymyślono dopiero piętnaście wieków później.

W powyższym artykule jedynie w części mogłem przekazać refleksje i swój podziw dla kreatywności i innowacyjności ludzi sto i więcej pokoleń temu. Przykładów geniuszu ludzkiego możemy znaleźć jeszcze wiele: pismo, alfabet, sztuka, matematyka, medycyna itd. itd. Ale o tym innym razem...

WOJCIECH GOLJAT ■



FOT. © LUDIA CRAVEIRO



„Niepewnie czują się najlepsi,
gdy najgorsi, pełni są namiętnej mocy

Yeates

FOT. © STEFAN KELLER / PIXABAY

„Nowe szaty cesarza”... Ja wiem swoje

■ JAKUB PAŃKÓW



Od jakiegoś czasu, czuję się szantażowany – odmienianym na wszystkie sposoby – terminem „naukowy”. Naukowcy więc coś udowodnili w „sposób naukowy” albo do czegoś doszli „metodami naukowymi”.

Przy okazji takiej argumentacji, połączonej z bezkrytycznym przekonaniem o słuszności wygłaszanych teorii, niemal automatycznie pojawia się w mojej głowie istotny fragment rozmowy pomiędzy Jurgenem Stropem a Kazimierzem Moczarskim, zawarty w książce *Rozmowy z katem*. Strop bez jakiegokolwiek żenady przekonuje Moczarskiego, że „przecież nasi (niemieccy) naukowcy udowodnili, iż Żydzi nie są w pełni ludźmi”. Według Stropa kwestia była całkowicie prosta, jasna i bezdyskusyjna, bo nauka niemiecka jest równie solidna i skuteczna jak inżynieria.

Na nic się tu zda przekonywanie, że „tamci” naukowcy kolaborowali albo byli zastraszeni. Otóż nie. To byli ludzie z naukowymi tytułami najlepszych niemieckich uczelni tamtego czasu. Wśród samych SS-manów byli ludzie z tytułami profesorskimi, a nie kto inny jak „anioł śmierci” czyli Josef Mengele oprócz dyplomu lekarza był również z wykształcenia filozofem. Oni po prostu służyli tamtemu systemowi najlepiej jak potrafili, zgodnie z ideologicznymi wytycznymi. Po zakończeniu wojny, nikt nie burzył tych uczelni ani nie odbierał tytułów naukowych. Zniknęły co prawda z gmachów swastyki i zrezygnowano z promowania rasistowskich teorii, jednak w sensie kontynuowania „naukowej” tradycji tych przybytków, w kwestii sukcesji, nic się nie zmieniło.

Podobnie jest dzisiaj. Nauka instytucjonalna jest zawsze na usługach „władzy” – czyli Państwa oraz sponsorujących ją podmiotów. Tak było w Sowieckiej Rosji, gdzie niszczone i łamano ludzi w imię „materializmu naukowego” (podkreślimy słowo „naukowego”), i tak jest dzisiaj w Europie, gdzie obowiązuje kurs na całkowitą laicyzację, kolektywizm i bezmyślny, narcystyczny „indywidualizm”. Niezależni naukowcy – nie baczący na naciski z góry i środowiskowe układy – to zawsze zdecydowana mniejszość, a być może wymierający gatunek (?).

Przy okazji dyskusji na różne istotne tematy dowiaduję się, że oceny natury moralnej czy etycznej z założenia są „nienaukowe”, ponieważ wartościują. Ludzie uwikłani w ten rodzaj „wiary” zapominają, że ich społeczne czy kulturowe dociekania są wyłącznie spekulacjami, a materiał „dowodowy” opiera się na statystykach, gdzie dowodzenie w rozumieniu „ściśle naukowym” jest praktycznie żadne. Zachłystują się „naukowością”, ale bez rozumienia szerszych konsekwencji tego pojęcia. Na poziomach tak podstawowych jak fizyka molekularna czy mechanika kwantowa, mówi się dziś otwarcie, że nastawienie mentalne badacza (naukowca) może mieć bezpośredni wpływ na przebieg eksperymentu. A wszystko dotyczy bardzo prostych zależności pomiędzy częstkami. Jak więc można być tak jednoznacznie pewnym swoich racji w odniesieniu do tak skomplikowanych układów jak całe społeczeństwa czy nawet relacje pomiędzy konkretnymi ludźmi?

Można zapytać: czy istnieje jakaś obiektywna wiedza o świecie i człowieku? Wiedza „jak żyć” na pewno istnieje, natomiast odnośnienie do naszych postaw i wyborów terminów „naukowy” czy „nienaukowy” jest z założenia fałszywe – jest tragifarsą. Mogę przy okazji zapytać, czy to, że matka kocha swoje dziecko to kwestia „wiary” czy „fakt naukowy”? Jak dla mnie takie dociekania obnażają absurdalność myślenia

ludzi, którzy sami zapędzili się w „kozi róg” pseudonaukowym dogmatyzowaniem pojęć, które same z siebie przynależą ontologii, czyli metafizyce. To, że wiemy, iż coś istnieje, jest dobre lub złe, że działa, wcale nie oznacza, iż możemy to „naukowo” udowodnić, a przynajmniej w takim sensie jak chcą to pojmować ludzie szafujący terminem „naukowy”. Jest cała gama doświadczeń i przeżyć, które na zawsze pozostaną kwestią wyłącznie naszych przekonań.

Nie wszystko co się świeci jest złotem, jak też nie wszystko co nazywamy – na wyrost – „nauką” nią jest. Śmieszne jest to, że od czasów Pitagorasa rozważania na temat teorii matematycznych najeżone są nierozwiązywalnymi dylematami, a psychologia, mająca niewiele ponad sto lat serwuje nam „pewniki” na temat naszej seksualności. Zwłaszcza, że w klasycznym rozumieniu to matematyka ma narzędzia do dostarczania „twardych dowodów” a nie socjologia czy psychologia. Często, to, co wielu nazywa dzisiaj „nauką”, to nic innego jak wojująca, agresywna laicka ideologia polana pseudohumanistycznym sosem.

Dla jednych ludzi „nauką” (prawdą) będą więc słowa Jezusa, dla innych Buddy, dla jeszcze innych „gender studies”. Ponieważ na najbardziej podstawowym poziomie egzystencjalnym, człowiek jest samotny, a jedyne co posiada – na pewno – to Prawdę o sobie i o Świecie. Ta „wiedza” jest wypadkową naszego bezpośredniego doświadczenia – w całej jego rozciągłości (od pierwszego kontaktu z matką, pierwszego potknięcia, poprzez lekcję polskiego, ulubiony film a na śmierci bliskiej osoby kończąc), a jego interpretacją, która zawiera się w dynamizmie naszej świadomości, lub szczegółowiej mówiąc: samoświadomości. Wszystko, co mamy, to siebie oraz przeżyte doświadczenia. Nikt z zewnątrz nie może nam dostarczyć „dowodów naukowych” że jest inaczej niż czujemy. Ponieważ „wiara” w rozumieniu potocznym nie jest tym samym co „wiara” w rozumieniu ontologicznym, w odniesieniu do takich pojęć jak Prawda czy Piękno.

Każdy grający na giełdzie stara się wierzyć, że się wzbogaci. Natomiast Chryścijanin, mówiąc, że wierzy w Boga – jeżeli jest prawdziwym chrześcijaninem – to rozumie przez to, że Bóg jest obiektywną, „namacalną” prawdą, jest faktem, jest realnością. Słowo Bóg staje się granicą możliwości poznawczych w rozumieniu empirycznym. Ponieważ za tym słowem jest już tylko „doświadczenie wiary”.

Ludzie bez „doświadczenia wiary”, żądający od osób „wierzących” – „naukowych

dowodów” na istnienia Boga, muszą sobie zdać sprawę, że takie dowody nie mogą istnieć, ponieważ nawet krzesło, którego istnienia jesteśmy tak pewni, jest również tylko konstruktem naszego umysłu. A na poziomie subatomowym jest bardziej późni niż „krzesłem”, a w zasadzie pulsacją kwantową. Zadaniem nauki nie jest udowadnianie, że coś istnieje bądź nie istnieje, ale raczej zgodność dowodów na przyjętą tezę. Podobnie jest zresztą w drugą stronę, dla ateistów „brak Boga” jest formą granicy ontologicznej, a dla agnostyka ciągłym pytaniem o tę granicę. I tu dochodzimy niejako do punktu zwrotnego, a mianowicie relacji pomiędzy naszymi doświadczeniami a pojęciami je opisującymi; tak naprawdę do całej sumy znaczeń, która jest istotą wzajemnej komunikacji. Jeżeli mamy wspólne doświadczenia egzystencjalne i zgadzamy się, co do pojęć, to możemy budować wspólnotę, możemy określać wspólne wartości i cele. Dla osób wierzących Bóg jest sumą ontologiczną i kropka. Prawdziwy problem mają „naukowcy”, ponieważ teoria opisana niematematycznie jest bajką, natomiast bajka w opisie matematycznym nazywa się teorią (G. Hooft, 1983).

W obecnym więc czasie, w rozumieniu potocznym, „naukowe” znaczy dla mnie tyle co „spekulacyjne” czy „umowne”, „względne” czy też „relatywne”. Mogę oczywiście – i lubię – rozmawiać o „nauce”, natomiast nie interesuje mnie „polowanie na czarownice” urządzone przez ludzi, którzy dali wiarę innym ludziom, tylko dlatego, że tamci przeczytali to w jakichś książkach. Teoria „big bang” jest równie dla mnie ciekawa czy frapująca jak hinduskie mity o powstaniu świata – i równie „naukowa”. Posiadam swoje doświadczenia i związaną z nimi wiedzę. Odpowiadam sam przed sobą z wyborów natury filozoficznej czy moralnej. Wiem, że płeć – jak i wynikające z niej rodzicielstwo – jest całkowicie uwarunkowana i określona przez naturę, natomiast zachowania, obyczaje seksualne determinuje kultura. Na nic się tu zdaje bredzenie, że płeć jest wytworem kultury, bo co prawda umówiliśmy się (w ramach kształtowania pojęć), że pies to pies a koń to koń, i można by dywagować, że mogliśmy się umówić odwrotnie – to znaczy, że pies to koń a koń to pies, ale nie ma to najmniejszego znaczenia wobec faktu, że ogień parzy, woda jest mokra, oddychamy powietrzem a kamień rzucony w górę spada. To, co wynika z natury rzeczy jest stałe, relatywne są nasze opinie na temat „rzeczy”. Tylko mężczyzna z kobietą może mieć dziecko – zgodnie z prawem

naturalnym, natomiast dywagowanie na temat jak kto czuje się ze swoją płciowością jest domeną odczuć, subiektywnych rozstrząsań.

Możemy manipulować pojęciami, ale nie ma to żadnego wpływu na „naturę rzeczy”, na fakty. Na nic zda się tutaj obarczanie „kultury” jako sprawcy „opresji” i podpieranie się „naukowymi” badaniami i teoriami, będącymi tak naprawdę wiarą w pewną ideologię. Taką samą „opresją” wobec „jednostki” jest śmierć, starość, choroba czy prawo ciążenia. Często podaje się tu naiwny argument emocjonalny, iż ludzie nie akceptujący swojej płci biologicznej (istnieje ponoć bardzo dużo tych płci do wyboru), a także przypisanej jej opresyjnej roli społecznej, są na granicy takiej rozpacz, iż są gotowi odebrać sobie życie. Dlatego przychodzi im z pomocą medycyna. Jestem w stanie wyobrazić sobie akurat setki sytuacji – bardziej lub mniej łatwych do zobiektywizowania – w których człowiek znajduje się na „dnie rozpacz”, gotowy targnąć się na swoje lub czyjeś życie. Skoro ludziom nieakceptującym swojej cielesności przychodzi z pomocą państwo, nauka, medycyna, to zatem ludziom nieakceptującym swoje sytuacji materialnej czy życiowej również powinno się pomagać z całą mocą. Dla przykładu, człowiek, który jest dogłębnie sfrustrowany tym, że jest nie dość bogaty również powinien otrzymać jakiś subwencje od Państwa, podobnie jak ktoś kogo frustruje jego praca czy wzrost...

Do czego zmierzam. Cała „ideologia gender”, wraz z jej rzekomo – a raczej pseudo – naukowym zapleczem, backgroundem jest formą dystopii, która sama w sobie jest zanegowaniem realności bytu. Ktoś, kto twierdzi, że podstawowym problemem ograniczającym jego „jestestwo” jest presja bycia „kobietą” lub „mężczyzną”, równie dobrze może postulować, że ogranicza go prawo ciążenia lub śmierć. Obydwie te rzeczy wynikają z prawa naturalnego, podobnie jak płeć. Chyba, że śmieć jest również wytworem „kultury”, tylko nie zostało to „naukowo” udowodnione (?). Skoro więc są ludzie, którzy twierdzą, że płeć nie istnieje, i można ją sobie wybrać, lub w ogóle zanegować, to może najwyższy czas, aby zanegować śmierć jako ograniczający nas, opresyjny element natury... i wybrać nieśmiertelność. Niestety dzisiaj wyznawcy „gender studies” mogą wybierać tylko pomiędzy zdrowym rozsądkiem a szaleństwem. Jaka jest „naukowa” definicja zdrowego rozsądku? Niestety nie pomogę...

JAKUB PAŃKÓW ■

Cyprian Kamil (Ksawery Gerard Walenty) Norwid herbu Topór (1821-1883) – myśliciel i wszechstronny twórca, poeta, prozaik, dramatopisarz, eseista, a równocześnie rysownik, malarz, rzeźbiarz. Jedna z najoryginalniejszych postaci polskiej kultury. Uznawany za najwybitniejszego spadkobiercę romantyzmu, ale i jego namiętnego krytyka. W poniższym tekście o Patronie roku 2021 prof. Kazimierz Świegocki trawestuje zdanie francuskiego muzyka Camille'a Saint-Saënsa twierdząc, że Norwid to geniusz, który „przypadkowo” najpełniej utrwalił się dla potomnych w poezji...

Norwid i my, czyli o wielkości prawdy i marności czasów

■ KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI



Dzieło myśli Norwida można porównać do rozbitego lustra. Nie stanowi ono jednolitej, systematycznej, w ścisłych pojęciach i klarownych wywodach zbudowanej całości. Jest właśnie rozbite na drobne kawałki.

Jak każdy, choćby najmniejszy, odłamek lustra odbija tak samo wiernie, choć w mniejszym nieco zakresie, rzeczywistość jak cała jego tafla, tak i każdy utwór Norwida, choćby najmniejszy, choćby to był jakiś drobny liryk, fraszka, a czasem jedno tylko zdanie, odbija w sobie w pewnym sensie całość jego myśli. Każde bowiem zdanie u niego odsyła do innych zdań, każde słowo uzasadnia się i wspiera innym słowem, każda myśl wiedzie nas do innych jego myśli. Wszystkie więc razem nie są prostą sumą monadycznych elementów, ale całością. Każde z nich zaś osobno wzięte, choć pełnego i klarownego sensu nabiera dopiero w konfrontacji z ową całością, to już samo w sobie nosi jej piętno i jest jakby całością w pomniejszeniu.

„Wszyscy norwidolodzy wiedzą jednak, że analiza jednego utworu czy podjęcie jednego zagadnienia prowadzą do całościowego spojrzenia na tę twórczość” (A. Merdas, *Ocalony wieniec*, Warszawa 1995, s. 10). Weźmy dla przykładu słynne zdanie z *Promethidiona*: „Cóż wiesz o pięknie?... Kształtem jest Miłości” (III, 437). Brzmi jak efektowny aforizm. Ale przecież nie o typowo aforystyczny efekt zaskoczenia odległymi skojarzeniami słownych znaczeń tu idzie.

Podobnie też w innym miejscu tegoż *Promethidiona*, gdzie czytamy, że „piękno na to jest, by zachwycalo do pracy – praca, by się zmartwychwstało” (III, 440). W *Fortepianie Szopena* piękno zostało określone jako „Miłości profil”. We wszystkich tych



FOT. © JÓZEF LOSKOCZYŃSKI

i tym podobnych przypadkach mówi się o nim w kontekście rozważań historiozoficznych i eschatologicznych. I oto widzimy, jak jedno proste zdanie poety wiedzie nas w gąszcz słów-symboli i słów-pojęć oraz w złożone z nich coraz to komplikujące się konstrukcje myślowe. Norwid każdym niemal zdaniem i każdym słowem wprowadza nas w skomplikowany świat myśli łączących się ściśle w całościowy kształt chrześcijańskiego światopoglądu.

Może się wydawać przy lekturze jego dzieła, że był on przeciwko wszystkiemu, co niosła współczesna mu epoka, w której uduchowiony romantyzm stanowił tylko słabą przeciwwagę tego, co tworzyło jej zasadniczą treść. Była to bowiem epoka rodzącego się gwałtownie przemysłu, nowoczesnej techniki i wynikających z niej konsekwencji społecznych i moralnych (por. Z. Stefanowska, *Pisarz wieku kupieckiego i przemysłowego*, w: *Tań, Strona romantyków. Studia o Norwidzie*, Lublin 1993, s. 5-53). Nazywał ją ironicznie epoką pieniądza i interesu, to

znów dramatycznie epoką, w której jest więcej „Rozłamań – niżli Dokończeń”, więcej „Roztrząsań – niżeli Zamknięć” i więcej „Śmierci niżeli Zgonów” (II, 148).

Ale nie przestawał na negacji i lirycznych skargach. Za wszystkimi jego słowami krytyki, za słynną ironią, za uniesieniami w stylu nieledwie proroków Starego Testamentu kryło się „Wielkie Serio” – wiara w świat wartości mocno ugruntowanych na klasycznej tradycji chrześcijańskiej.

Prawda jest, tylko się pali

Pod popiołami białymi, co leżą,

Jako Westalek chór z śnieżną odzieżą
(III, 454).

Prawda więc wymaga współpracy człowieka. Trzeba odgarnąć pokrywające ją popioły, aby dosięgnąć jej życiodajnego ognia. Prawda nie tylko istnieje, ale i wzywa nas do siebie. Poeta, jak rzymskie Westalki, strzeże jej czystości, jak kapłan i prorok przekazuje jej treść. Poeta jest pokornym sługą prawdy, którą widzi dobrze i wyraźnie, choć całe życie ją zdobywa. Wiara w prawdę skłoniła Norwida do wyznaczenia poezji roli służebnej wobec niej. Postulat taki zawarł w słynnym, niekiedy jednak mylnie rozumianym zdaniu: „Odpowiednie dać rzeczy słowo!”. Mylnie, bowiem „rzecz” nie oznacza tu rzeczy zmysłowej, lecz prawdę po prostu.

Nie był filozofem w ścisłym znaczeniu tego pojęcia, lecz myślicielem, mędrcelem. Nie w oryginalności myśli, ani nawet nie jedynie w nadanej im niezwyklej formie poetyckiej szukać trzeba jej wyjątkowości, lecz przede wszystkim – w bezkompromisowym dążeniu do prawdy, w integralnym zaangażowaniu w nią całej swej osobowości. Nigdy nie uważał swych myśli za oryginalne w takim sensie tego słowa, jaki jest mu dzisiaj przypisywany. Nie pragnął niczego rewolucjonizować – pragnął tylko wypełniać. „Oryginalność – mówił – jest to sumienność w obliczu źródeł”.

Źródłem wszystkich źródeł, a więc i całego życia jest Prawda. Kto zmienia Prawdę, zabija życie. Kto ustanawia nową prawdę, nie jest człowiekiem oryginalnym, lecz jedynie kłamcą. Bo Prawdy nie można zmienić. Prawda może zmienić nas. Jest jedna i niezmienna. Nie ma więc innych prawd prócz tej Jednej. Zmieniać ją, to tyle, co od niej odchodzić. A odejść od niej można tylko w błąd. Prawdy przeto należy słuchać. Nie tylko ją „usłyszeć”, ale i „usłuchać” jej trzeba. I to tak, aby nami zawładnęła całkowicie, aby nas przemieniła i usynowiła niejako.

Poezja była tylko jednym głosem w szerokiej polifonii tego dzieła, na które w połowie składało się życie poety. Są wielcy przez to, co zostawili wielkiego w swych uprzedmiotowionych dziełach. I są wielcy dzięki swojemu życiu, jak np. uwielbiany przez Norwida Sokrates, który życiem swoim utkał wielki poemat i wielki zarazem dowód prawdy, tak że umierając „nie umarł, skończył tylko dowodzenie” (*Niewola*, III, 377). Norwid łączył w sobie oba typy wielkości.

Jeśli można zasadnie wątpić w wielką sztukę pozbawioną wielkich pasji i racji metafizycznych i moralnych, to poezja Norwida ze swoim szlachetnym patosem religijno-moralnym byłaby słuszności tego wątpienia dowodem nie wprost. Bez tych pasji, bez tych racji sztuka może być co najwyżej doskonała formalnie lub jakoś interesująca, jak „interesująca” bywa często sztuka nam współczesna. Ale u źródeł sztuki prawdziwie wielkiej leżeć musi doświadczenie wielkiej prawdy, wielkich spraw historycznych, kosmicznych, religijnych, filozoficznych i ludzkich po prostu.

Doświadczenie prawdy nie oznacza bynajmniej wejścia w stan jej posiadania tak, jak się posiada rzeczy, bogactwa materialne, a nawet wiedzę rozumianą jako zbiór informacji o świecie i ludziach. Raczej oznacza ono poczucie wezwania, aby iść za jej głosem. Doświadczamy jej nie umysłem jedynie, lecz „sercem”, czyli „cało człowieczeństwem”, całą głębią swojego istnienia.

Dopiero takie egzystencjalne doświadczenie prawdy rodzi mądrość. Jednak mądrości tej nie ma bez wielkiej osobowości twórcy. Dlatego mówimy tutaj, że w przypadku Norwida poezja była tylko połową jego dzieła, a może jeszcze mniej. Powiedział kiedyś bardzo pięknie o Ignacym Janie Paderewskim francuski kompozytor Saint-Saëns, że jest to „geniusz, który przypadkowo gra także na fortepianie”. Trawestując to powiedzenie, moglibyśmy rzec o Norwidzie, że był to geniusz, który „przypadkowo” najpełniej utrwalił się dla potomności w poezji.

Niezbyt wiele pozostało nam świadectw innych ludzi o nim, ale i te, które są (zob. *Rozmowy 1841-1883*, w: C. Norwid, *Pisma wszystkie*, XI, 445-501), nie mogą rościć wątpliwości, że jego osobowość była niezwykła. Taki jej obraz zresztą wyłania się niezbitie z listów i pism zawierających wyraźne treści autobiograficzne. Trafnie zrozumiał i określił to Henryk Bergson: „Był on [tzn. Norwid – przyp. KŚ] w dwojaki sposób artystą. Z jednej strony przyciągał do siebie, podobny pod tym względem do nowoczesnych mistyków, [...] z drugiej zaś dążył do działania, a w konsekwencji do twórczenia” („Poezja” 1971, nr 9, s. 22). Na czym w gruncie rzeczy polegała wielkość jego osobowości? – Na upartym niestrudzonej dążeniu do życia zgodnego z Prawdą i z prawami,



które z niej wynikają, a których treść odnajdywał zarówno w Biblii i w nauce Kościoła, jak i u pisarzy i bohaterów niechrześcijańskich, głównie greckich, oraz we własnym sumieniu. Był wiernym synem Kościoła i tradycji chrześcijańskiej sięgającej aż do czasów pierwszych teofanii biblijnych.

On, wielki patriota polski, wskazuje pierwszą swoją ojczyznę nie nad Wisłą, lecz nad Eufratem i w Rzymie:

*Kto mi powiada, że moja ojczyzna:
Pola, zieloność, okopy,
Chaty i kwiaty, i siola – niech wyzna,
Że to jej stopy.*
[...]

*Ojczyzna moja nie stąd wstawa czołem,
Ja ciałem zza Eufratu,
A duchem sponad Chaosu się wziąłem:
Czynsz płacę światu.
Naród mię żaden nie zbawił, ni stworzył,
Wieczność pamiętam przed wiekiem;
Klucz Dawidowy usta mi otworzył,
Rzym nazwał człkiem*
(*Moja ojczyzna* I, 336).

Nie ma w tej postawie cienia niekonsekwencji, wprost przeciwnie, jest jakaś wielka konsekwencja człowieka oddanego Prawdzie. Jest w tym nadzwyczaj przenikliwe widzenie właściwego porządku i hierarchii rzeczywistości: widzenie tego, co „czasowe”, w perspektywie „wiecznego”, tego co przyrodzone w świetle nadprzyrodzonego,

co przemijalne wobec nieprzemijalnego, co ludzkie w odniesieniu do boskiego.

Trafnie i pięknie ujmując to Mieczysław Inglot: „Czytanie Norwida to schodzenie do głębi – po stopniach historii ku promieniowi absolutu” (*Duch i literatura. O symbolice wypowiedzi poetyckiej w twórczości Norwida*, w: Tenże, *Wyobrażenia poetycka Norwida*, Warszawa 1988, s. 47). Dlatego czytamy u niego, że oprócz „słowa” jest i „życie Słowa”, że prócz ojczyzny ziemskiej jest ojczyzna nadziemską; że prócz rozmaitych królestw z tego świata jest wyższe od nich Królestwo nie-z-tego-swiata. Dlatego jego patriotyzm nie miał w sobie nic z tego przywiązania do swojego narodu, które wynika jedynie z przypadku urodzenia się w nim i przyswojenia jego historycznych form życia, akceptacji wszystkiego, co się wiąże z dziedzictwem jego przeszłości. Był to patriotyzm „dodatni”. Jego miarą miało być angażowanie się w taką pracę nad narodem i dla narodu, która by naród zawiadła do prawdy.

Podobnie jego wierność Kościołowi nie była wyrazem spontanicznego posłuszeństwa ziemskiej instytucji, lecz zrodziła się z głębokiego przeświadczenia, że Kościół jest namiestnikiem Chrystusa, czyli Prawdy na ziemi. Jeśli mówi, że trzeba filozofię „uchrześcić”, to nie ma na myśli jakiegось jej ureligijnienia czy steologizowania, lecz podporządkowanie jej Prawdzie, od której w jego czasach odeszła. Chrześcijaństwo bowiem Norwid pojmował nie jako określony historyczny typ kultury, lecz jako synonim Prawdy. Dlatego poganin Sokrates lub muzułmanin Emir Abd el Kader z Damaszku byli bardziej chrześcijanami niż wielu formalnych chrześcijan ze współczesnej mu Europy. Jeśli bycie chrześcijaninem oznacza uczestnictwo w Prawdzie, to ani Sokrates w pewnym sensie nie był poganinem, choć składał ofiary pogańskim bóstwom, ani Abd el Kader muzułmaninem, choć wielbił Proroka. Prawda nie zależy od wzorów kulturowych, lecz je nieskończenie przekracza. To one z Niej powinny czerpać duchowy pokarm, aby coś znaczyć, mieć jakąś wartość. Prawda jest imieniem Boga, jest Nim Samym. A skoro tak, to kto wierzy w Prawdę i do niej dąży, ten do Boga dąży, a Bóg może go wybrać niezależnie od tego, jaką wyznaje religię. Przeto nie ma nic dziwnego, że w poetyckim uniesieniu Norwid nazywa muzułmanina „puklerzem Bożym”. Ten bowiem, biorąc w obronę chrześcijan mordowanych przez swych współwyznawców, spełnił czyn zgodny z nakazem Prawdy, czyli Boga.

Ciąg dalszy na s. 36 ►

► Ciąg dalszy ze s. 35

Jego chrzest dokonał się w spełnieniu „chrześcijańskiego” uczynku, czyli uczynku z Prawdy i dla Prawdy. I nie woda była jego symbolicznym znakiem, lecz „łzy sieroty, łzy kaleki”:

*Więc hold, Emirze, przyjm daleki,
Któryś jak puklerz Boży jest;
Niech łzy sieroty, łzy kaleki,
Zabłysz Tobie, jakby chrzest.
[...]*

*A jeśli w łzach gnębionych ludzi,
A jeśli w dziewic krwi niewinnej,
A jeśli w dziecku, co się budzi,
Ten sam jest Bóg – nie żaden inny –
To – namiot Twój niech będzie szerszy
Niż Dawidowych cedrów las;
Bo, z Królów-Magów trzech,
Tyś pierwszy,
Co konia swego dosiadł w czas!*

(Do Emira Abd el Kadera w Damaszku, I, 326).

Osobowość Norwida-człowieka, jak i Norwida-poety krystalizowała się w wielkim porywie do Prawdy, dlatego w jego poezji jest coś sakralnie wielkiego jak w starych hymnach religijnych i prorocत्वach. Nawet osławiona ciemność jego mowy nie tyle wynika ze stylistycznej odrębności – choć i z tej także – lecz jakże często z przyrodzonej ludzkiemu słowu bezradności wobec rzeczy najważniejszych dla człowieka. Siłą jego osobowości zarówno ludzkiej, jak i artystycznej zasadzała się na wierności Prawdzie i prawom

z niej wynikającym. Bez tej wierności nie ma i nie może być prawdziwie wartościowej sztuki, poezji. Dziś, gdy czytamy dzieła wielkich twórców

przeszłości, ogarnia nas niejednokrotnie uczucie zazdrości. Zazdrościmy im tej niewzruszonej wiary w to, co głosili, do czego nawoływali. Nawet „rozdartemu” Pascalowi można zazdrościć jego filozoficznego smutku. Poza tymi „nieskończonymi przestrzeniami” bowiem, które go przerażały, kryło się jednak jakieś niewzruszone dno wszechświata, jakaś opoka bytu i człowieka. Zazdrościć można i Norwidowi – choć życie jego upłynęło pod „gwiazdą rozpaczną” (*Trzy strofy*), przecież wypełnione było wiarą w niewzruszony i ostateczny ład i sens wszechświata. A jeśli przyjąć, że prawdziwie wielka poezja i w ogóle sztuka rodzi się na gruncie świata zintegrowanego, z wielkiej wiary w jego ład i sens albo z wielkiej nadziei na nadejście takiego ładu – to poetycko-myślicielskie dzieło Norwida słuszność tego założenia potwierdza w całej rozciągłości.

Norwid był poetą „całości słowa i litery” (niejednokrotnie dowodził – pozornie wbrew intencjom św. Pawła [2 Kor 3,6] – ważności „litery” w sztuce i we wszelkiej ludzkiej twórczości). Jeśli przyjąć, że „litera” jest poezja w swej warstwie językowo-formalnej, a więc czysto zewnętrznej, to „duchem” jej jest ten pierwiastek, który ożywia, nadaje ruch i kierunek ludzkiej osobowości poety, osobowości nie mieszczącej się we własnych granicach, szukającej zewnętrznych form dla swego wewnętrznego bogactwa, więc jak gdyby wylewającej swój nadmiar do form poetyckich. Poezja taka zatem karmi się, rzecz można, duchowym nadmiarem osobowości swego twórcy.

Nie jest więc tylko wyrazem jego umiejętności, raczej wyrazem umiłowania prawdy i pragnienia, aby jej nieustannie dawać świadectwo. Rodzi ją więc konieczność, a nie przypadek i czyste upodobanie do pisania. Prawda bowiem nie może zależeć od przypadku, do istoty jej należy konieczność. Wielką poezję i sztukę rodzić może tylko duch zintegrowanego, scalonego przez nią świata i scalonej, zintegrowanej przez nią osobowości artysty. Takim światem był świat, który

Norwid miał przed oczami swej duszy, taką osobowością była jego osobowość. I tego może mu zazdrościć każdy współczesny człowiek i współczesny poeta.

Norwid był ostatnim, być może, w Europie poetyckim maksy-

malistą. Dziś nie jest już możliwa poezja o tak rozległych horyzontach problemowych, biorąca na siebie istotną część odpowiedzialności za losy świata, ponieważ dziś zabrakło nam tej niewzruszonej wiary w prawdę i nie bardzo już wiemy, gdzie jej szukać. Jeśli człowiek sam nie ma pewności i wiary, to jakżeby mógł takiej wiary udzielać innym i jakżeby miał odwagę wznosić wielkie budowle na niepewnych fundamentach.

Stoimy wobec świata i siebie samych bezradni, i widzimy jak na naszych oczach umiera poezja, obojętnie dla świata. Czasem złościmy się, my poeci, że nikt nas nie słucha. Chcielibyśmy zrzucić z siebie odpowiedzialność za los poezji i obarczyć nią kogokolwiek i cokolwiek – czytelnika, że nie wykazuje dobrej woli, szkołę, że nie umie uczyć, telewizję, że otepia myśl i wyobraźnię, całą wreszcie współczesną cywilizację, że jest z natury swej antypoetycka. Takie myślenie nie jest całkiem pozbawione racji. W istocie bowiem świat współczesny wydaje się głuchy na głos poezji tak, jak i głuchy się wydaje być na głos Boga. Ale i sama poezja współczesna zatraciła to, co zawsze było siłą przyciągającą do poezji dawnej – piękno i prawdę, i związane z nimi dobro.

Norwid mówił, że Mickiewicz uważał, iż z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie: poezja i dobroć. Obaj wielcy poeci widzieli więc poezję w ścisłym związku z dobrem. Obie zaś te rzeczy (tzn. poezję i dobro) jako rzeczy ostateczne. Świat jednak, który gubi Boga, traci zarazem prawdę i dobro, a straciwszy dobro, utracić musi też z konieczności poezję. Właściwe źródła naszej niemocy twórczej tkwią w nas. Oczywiście tkwią w nas o tyle, o ile my tkwimy w pustych przestrzeniach tego świata, w którym to, co zmienne i nietrwałe z natury swej, zajęło miejsce niewzruszonego, w którym zamiast prawdy, rządzi prawdopodobieństwo. Świat to bez dogmatu. Świat – strumień świadomości i nieświadomości, w którym rozplywa się logos rzeczywistości. Rzeka płynąca na raz we wszystkich kierunkach, czyli bezkierunkowa.

Zdezintegrowany świat nie może rodzić wielkiej sztuki. Chory świat jak chore drzewo rodzi chore owoce. Jest to choroba szczególnego rodzaju. Bezbolesna. Raczej usypianie niż cierpienie. W tym otepiającym i usypiającym nas świecie zapomnieliśmy o rzeczy najważniejszej. O pytaniu, które Piłat zadał Jezusowi z Nazaretu: „Cóż jest prawda?”. Zapomnieliśmy także o tym, że Jezus mu wtedy nie odpowiedział słowem. Czyżby nie wiedział? A może tym milczeniem zaprosił nas do współpracy – On, który był Prawdą i Drogą, i Życiem? (J 14,6). A coż by na to odpowiedział Norwid? „Prawda jestże

Pomnik autorstwa prof. Gustawa Zemły przed Collegium Norwidianum KUL

myślą? – nie – i dlatego to Piłatowi pytającemu: Cóż jest prawda? – zapytany tak nie odpowiedział, że aż się bardzo zdziwił pytający...”, „Gdyby prawda była samą myślą tylko, już byśmy dawno zatrzymali się na stanowisku oświaty babilońskiej...” (VIII, 279). „Prawda jest, tylko się pali” (III, 454). Można tu dodać, że prawdziwi poeci, jak Feniks z popiołów, odrodzą się z jej płomieni.

Lecz pytanie Piłata, choć on sam umył ręce, nie wygasło bynajmniej, ale raczej wzmogło się w naszych czasach. Podejmują je w sztuce na nowo już nie wielcy artyści-prorocy jak Norwid, lecz genialni i do głębi smutni, wręcz tragiczni blaznowie i kpiarze jak Witkacy. On, jako jeden z pierwszych i jeden z największych w swoim gatunku, artystów sięgnął po groteskę nie po to, aby światu pokazać język albo przywołać go do porządku, od którego świat odstąpił, lecz aby świat metafizycznie pogrzyźć do dna. Jego groteska – z założenia – nie ma w sobie nic z upominania świata, że wszedł na niewłaściwą drogę, jak to jeszcze miało miejsce np. u Goyi czy Gogola. Nie ma bowiem teraz już jednej drogi. Wszystkie drogi są właściwe, czyli żadna nie jest właściwa. Skoro nie ma drogi właściwej, to jak można jeszcze świat upominać, nawracać, mówić mu cokolwiek na serio? Wszystko jest prawdą, więc nic nie jest prawdą. Pozostaje tylko rozpaczliwa Tajemnica Istnienia. Sztuka, jeśli ma dziś jeszcze do odegrania jakąś szczególną i chlubną zarazem rolę w życiu człowieka, to tę jedną: budzić poczucie tajemnicy istnienia i kształcić metafizyczny słuch wyczulony na głos tej tajemnicy. Jeśli ma czegoś uczyć, to tylko umiejętności patrzenia prosto w oczy oślepiającej Tajemnicy Istnienia.

Ale nie miejmy złudzeń, tu nie chodzi o tę tajemnicę, o której mówią wszystkie wielkie religie, podkreślając jej boski, nadprzyrodzony charakter z jednej strony, a z drugiej – wskazując na naturalną ograniczoność bytu człowieka co do możliwości poznawczego jej przyswojenia. Nie jest to bowiem tajemnica implikująca wiarę, ani ta, na którą, jak na ziemię obiecaną i zbawczą, otwarta jest nasza nadzieja. Prawdę mówiąc, nie jest to wcale tajemnica w pełnym, głębokim tego słowa znaczeniu, gdyż ta zawsze, tak czy inaczej, wskazuje na Boga, kierując do Niego tych, którzy trwają w polu promieniowania jej zbawczego światła. To właśnie o niej często mówił Norwid, gdy dowodził zasadności swego ciemnego stylu i przekonania, że właśnie taki styl, a nie jasny, lepiej wprowadza nas w dziedzinę prawdy. Tajemnica, o której mówi Witkacy (i nie on jeden z twórców kultury XX wieku!), jest monumentalnym Absurdem. Żyć w zgodzie z Absurdem, do

czego wzywa ateistyczna i agnostyczna kultura XX wieku, to doprawdy zadanie ponadludzkie. A wątpić można, czy podobaliby mu nawet półbogowie. Bo skoro taki np. Prometeusz nie mógł znieść widoku ludzi nie znających dobrodziejstwa ognia ani rzemiosł ułatwiających życie materialne, to czy zniósłby widok człowieka – istoty samotnej i kruchej, dla której metafizycznym oparciem byłby tylko niszczący wszystko czas i bezrozumna, obojętna na wszystko materia rozproszona w nieskończonej pustyni wszechświata? Człowiek doprawdy nie jest zdolny do symbiozy z absurdem, bowiem każde jego z nim zetknięcie powoduje unicestwienie nadziei, zaś bez nadziei życie ludzkie jest nie tylko pozbawione wartości, ale wręcz niemożliwe.

Epoka, w której rządził świadomością człowieka duch czystej tragedii ufundowanej na koncepcji czy wizji fatum, minęła z chwilą zwycięstwa chrześcijaństwa nad kulturą pogańską. Chrześcijańska epoka, zapoczątkowana – mówiąc słowami Norwida – „zwycięstwem Prawdy na Golgocie” i napełniająca eschatologiczną treścią ludzką nadzieję, czyli ta epoka, która zmiotła ducha tragedii, dzisiaj – jak to wyraźnie widzimy – ustąpiła miejsca czasom, którymi rządzi duch groteski zrodzonej z metafizycznej pustyni absurdu.

Mawia się, że groteska jest współczesną formą tragedii, ale nie jest przecież tragedią. Fatum, przeznaczenie, na pojęciu którego budowana była architektura antycznej tragedii, nie miało w swej treści bynajmniej nic z absurdu. Heraklit nazywał je nawet rozumem, który rządzi światem. Niewiele inaczej w istocie pojmował je materialista Demokryt. W antycznych czasach wprowadzie mitologiczni bogowie pozwalali sobie niekiedy na wtrącanie ludzi w sytuacje graniczące z absurdem, czyniąc z nich igraszkę w swoich rękach, ale najczęściej wszystkie nieszczęścia pochodziły z nieprzestrzegania przez człowieka wyznaczonych mu metafizyczno-moralnych miar i granic. Przyczyną jego zguby była z reguły własna nierozumna wyniosłość i pycha (*hybris*), wyrażana w równaniu się z bogami i nieprzestrzeganiu przepisanych mu praw. Ostatecznie jednak i ludzie, i bogowie podlegali niezgłębionemu przeznaczeniu, które ustalało miary, wzory i granice dla nich i dla świata. Czymkolwiek więc było owo bezosobowe i bezwzględne, bo nie znające miłości ani litości, fatum, zawsze bliższe było Tajemnicy niż Absurdowi. Nie są więc nasze czasy powrotem do świadomości przedchrześcijańskiej, pogańskiej, tak jak nie są epoką z ducha chrześcijańska. Mamy oto czasy Absurdu, w których sztuką rządzi niemal niepodzielnie Groteska.

Ale jak długo będziemy beznadziejnie trwać w osłupiającym blasku takiej tajemnicy istnienia, której na imię Absurd, z wykrzywionymi groteską twarzami i jak te „panny żałobne” z podniosłego rapsodu Norwida szukać drogi, „choć przed wiekami zrobiona”, i błąkać się w wielkim oczekiwaniu na coś, co dokonało się już dawno temu, a o czym myśmy tylko jak ślepcy i głusi zapomnieli? „Prawda jest – mówił Poeta – jeno się pali...”. Może więc szło mu o to, aby od jej płomienia zajęły się dusze i serca?, abyśmy płonęli nią jak święty Paweł i jak „wygnaniec Jan-Ewangelista”, który „śpiewał z wrzącego kotła: Alleluja!” (I, 294). Może tak należy rozumieć testament Norwida?

Wyszlismy od Norwida, a doszlismy do Witkacego. Nie jest to przypadek. Wielcy artyści spotykają się ze sobą niekiedy tak jak wysokie szczyty górskie na podobnej wysokości, lecz przedzielone przepaścią. Każdy jest przede wszystkim sobą, niepodzielny. Ale każdy zawiera w sobie też, jeśli nie całą epokę, to przynajmniej jej istotną część i odzwierciedla w swoim dziele problemy, które stanowią o jej specyficznym charakterze na tle dzieł innych epok.

Norwid – szczyt polskiej literatury i kultury XIX wieku, poeta o najgłębszej samowiedzy filozoficznej, lepiej od innych rozumiejący istotę czasów, w których żył, Witkacy – szczyt XX wieku, rozumiejący swój czas nie gorzej niż Norwid. To, co jeden przeczuwał i przed czym proroczo i symbolicznie przestrzegał, wskazując światu drogę odwrotu od przepaści, drugi ogłosił jako stan niemal faktyczny, jako rzecz, która nam zawałnęła i która nas nieodwołalnie pochłania. Rzecz ta ma mdły smak absurdu, biorący się z porażenia istnieniem, z którego, jak z pożywnego owocu, opadła ochronna łupina istoty. Między tymi biegunami myśli i sposobami odczuwania siebie i świata zawarły się nasze możliwości wyborów filozoficznych, moralnych i estetycznych. Czy usłuchamy głosu ewangelicznego Norwida, który woła do nas z głębi mrocznego heksametru, abyśmy nie zbaczali z drogi, co „przed wiekami zrobiona”, czy też opuścimy tę drogę i szukać będziemy innego, nowego sposobu, aby przesadzić owe „czeluście [...] czarne, co czyha za drogą”, nie bacząc na to, iż powiedziane jest, że prawda jest jedna i droga jedna, i jeden żywot (J 14, 6). W każdym razie, wydaje się, że nadszedł już i trwa czas tej wielkiej, być może, ostatecznej próby, po której okaże się:

Czy popiół tylko zostanie i zamęt,

Co idzie w przepaść z burzą?

– czy zostanie

Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie!

(IV, 458-459).

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI ■

Tu są Niemcy

Część 1

FOT. © DIDGEMAN / PIXABAY

■ AGNIESZKA KARAŚ



” *Zło dobrem zwyciężaj*

(Biblia, Rz 12,21)

Zło odsuwań dobrem

(Koran, Sura 13,22)

W małej salce przedsiębiorstwa telekomunikacji dorośli Niemcy uczą się języka polskiego. Polskiego uczą się z reguły mili ludzie – dziwacy. Konrad z Zagłębia Ruhry. Kiedy miał pięćdziesiąt lat dowiedział się, że jego ojciec był Polakiem. Odnalazł w Polsce rodzinę ojca, zaczął się uczyć języka polskiego. Niemieckie nazwisko ojczyma zmienił na polskie nazwisko ojca. Musiał przedłożyć urzędowi stanu cywilnego zaświadczenie, że jest zdrowy na umyśle. No bo kto, mieszkając w Niemczech, zmienia niemieckie nazwisko na trudne do wymówienia nazwisko polskie? Konrad popisuje się powiedzonkami, których nauczyła go rodzina w Polsce, ale na naukę gramatyki nie ma ochoty. Za to jego żona – Niemka z Hamburga – uczy się najlepiej z całej grupy.

Hans, inżynier z Hamburga, rocznik 1940. Konkuruje z żoną Konrada o pozycję najlepszego ucznia. Jako mały chłopiec spędził kilka miesięcy w Zakopanem. Podczas drugiej wojny światowej Hitler prowadził akcję wysyłania dzieci niemieckich w tak zwane

bezpieczne miejsca. Hansa wysłano do Zakopanego. Od tego czasu szukał kontaktu z językiem, który ogarnął go jako czterolatka w górskim krajobrazie okupowanej Polski. Już jako emerytowany inżynier opracował coś w rodzaju gramatycznego drzewa genealogicznego pełnego odnośników i strzałek. Wykres dotyczył odmiany części mowy w języku polskim. Korzystając z wykresu, Hans potrafi tworzyć skomplikowane polskie zdania na przykład: „Jeździłem na rowerze po wysuszonej trawie”.

Manfred, fanatyk gramatyki. Nie lubi mówić po polsku, ale uwielbia mówić po niemiecku o regułach gramatyki języka polskiego. Autor legendarnych tabel do nauki polskiego. Najwspanialsze tabele powstały w ciągu dwu tygodni, gdy Manfred siedział w domu ze złamaną nogą. Opracował wtedy uproszczoną regułę na naukę odmiany rzeczownika „pani”.

Niemcy ożenieni z Polkami i Niemkami, które wyszły za mąż za Polaków, siedzą na kursie języka polskiego w salce przedsiębiorstwa telekomunikacji. Odpowiednio do przekroju społeczeństwa zachodnich Niemiec siedzą na kursie również imigranci.

Baja, córka uciekiniera z Kambodży i Marokanki francuskiego pochodzenia. Wyszła za mąż za Niemca, którego matka pochodzi z Mazur. W latach dziewięćdziesiątych teściowa Baji odkupiła od państwa polskiego gospodarstwo, które do 1948 roku należało do jej rodziny. Założyła mały pensjonat i hodowlę owiec starej, mazurskiej rasy. W prowadzeniu gospodarstwa

pomagają jej syn i synowa. Dlatego Baja uczy się języka polskiego.

Konrad z polskim nazwiskiem zżyma się, czytając prospekt reklamowy pensjonatu na Mazurach.

– Co za Allenstein, jakie Ostpreussen, to się teraz inaczej nazywa, powiedz to teściowej – mówi Konrad do Baji.

Baja zawsze rozluźnia uczniów, bo jest śmiała w mówieniu. Wymyśla nowe słowa, nie stosuje zasad gramatyki, ale mówi po polsku. Wielu starszych Niemców nie otworzy ust, zanim nie złoży perfekcyjnie słowa do słowa, co opóźnia naukę mówienia. W ramach językowej rozgrzewki Baja często opowiada o gospodarstwie na Mazurach.

– Wilk, owca, szyja, pić, jeść. Śnieg, kolor biały, kolor czerwony, koniec – opowiada Baja dramatyczną historię napadniętej przez wilka owcy.

10 grudnia 2012 roku Baja stoi zdyszana na progu salki w przedsiębiorstwie telekomunikacji. Spóźniła się ponad czterdzieści minut.

– Przepraszam, metro, bomba – zaczyna usprawiedliwienie.

– Nie szkodzi, proszę siadać – zbywa uczennicę Bogusia, bo chce przerobić narzędnik: „Piszę długopisem. Jestem Niemcem”.

– Bomba bomba – duka Baja z zaróżowionymi od biegu policzkami.

Bogusia przytakuje z grzeczności. Nauczyła się dyplomatycznych reakcji na polskojęzyczne opowieści początkujących

uczniów. Godzinę później dowiaduje się z radia, co chciała po polsku opowiedzieć Baha. Na dworcu głównym w Bonn islamisci podłożyli bombę. Bomba nie wybuchła. (Potem śledztwo wykazało, że, bombę podłożył Niemiec, który przeszedł na islam. Po długim procesie sąd skazał zamachowca na dożywotnią karę więzienia).

– Nie martwcie się o nas – powtarzała do tej pory rodzinie w Polsce Bogusia. – Bonn to taka dziura. Kto by tam bomby podkładał? A poza tym najciemniej jest pod latarnią. Tyłu mieszka w Bonn salafitów. Przecież islamisci nie będą zabijać salafitów, nie będą też zabijać własnych matek i dzieci. Salafizm to muzułmański radykalny ruch religijny i polityczny postulujący odrodzenie islamu przez powrót do jego pierwotnych źródeł.

– Wierzmy, a może ludzimy się, że u nas, w dzielnicy migrantów, nic złego się nie stanie, bo nasi sąsiedzi muzułmanie kochają życie, podobnie jak my – pisze Bogusia w liście do koleżanki z Polski. – Na co dzień obserwujemy ich rodzinność, szacunek wobec starszych, miłość do dzieci. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że to nie o tych ludzi chodzi, nie o tę większość muzułmanów, która godzi nakazy Koranu z warunkami życia w demokratycznym świecie. Większość muzułmanów naprawdę kocha życie. Chodzi o fanatyków, o ludzi, którzy nie widzą dla siebie perspektyw. Ci nie mają skrupułów wobec nikogo.

– Trzeba przyjmować uchodźców. Nas też przyjęto po zakończeniu drugiej wojny światowej – powtarza matka Arnolda, rocznik 1929. – Przyjęły nas małe, zbombardowane Niemcy – rozczula się matka Arnolda, aż jej syn wpada w słowo:

– Jeszcze powiedz, że „niewinne” Niemcy.

Wielu Niemców stawia znak równości między migracją po 1945 roku, kiedy niemieccy uciekinierzy z okupowanych uprzednio przez Niemców części Europy, czekali na przyjęcie na teren, wyzwolonej przez aliantów Rzeszy Niemieckiej, i uchodźcami z lat 2015-2017 przybywającymi z targanych wojną domową i terrorem Państwa Islamskiego krajów arabskich i afrykańskich. Wielu uciekinierów niemieckich doczekało się po 1945 roku chłodnego przyjęcia przez rodaków, dlatego tym bardziej czują się w obowiązku przyjąć życzliwie obecną falę uchodźców.

– Powinniśmy przyjmować uchodźców, nawet jeśli w grupie tysiąca ludzi szukających schronienia przed terrorem Państwa Islamskiego znajdzie się kilku islamistów – mówi matka Arnolda. – W każdym społeczeństwie jest jakiś odsetek kryminalistów i fanatyków. Ter-

roryzm nie jest fenomenem islamskim. Pamiętacie RAF? – matce Arnolda zbiera się na wspomnienia.

Ojciec Arnolda był generałem Bundeswehry, potencjalnym wrogiem terrorystów z Rote Armee Fraktion. W latach siedemdziesiątych chodził na sobotnie zakupy do miasta z pistoletem ukrytym w wewnętrznej kieszeni kurtki. Jego dzieci wiedziały, że jeżeli terroryści porwali by ojca, to rząd RFN nie wykupiłby go i nie wymienił na innego więźnia, by nie okazywać terrorystom słabości. Podczas kryzysu uchodźczego lat 2015-2017 matka Arnolda kilkakrotnie występuje na nabożeństwach Kościoła ewangelickiego z prelekacją: Dlaczego my chrześcijanie powinniśmy pomagać ludziom szukającym schronienia przed terrorem i wojną? Opowiada o tym, jak nieżyczliwie odnosili się do niej – Niemki z Łotwy – Niemcy z Rzeszy, a później z terenów RFN.

– Po co ci studia, przecież jesteś dzieckiem uciekinierów. I tak nic z ciebie nie będzie – powiedziała nastoletniej matce Arnolda kobieta wynajmująca uciekinierom z Rygi pokój w Tybindze.

– Nie trzeba prac pościeli, którą daje się uchodźcom, bo oni i tak jej nie będą prać! – powiedziała kilkadziesiąt lat później do matki Arnolda sąsiadka przy stole jadalni w ekskluzywnym sanatorium na południu Niemiec.

– Będą prac pościel, będą! – skoczyła w obronie uchodźców matka Arnolda, i zaniosła do kontenera na stare ubrania, pachnącą świeżością bieliznę. – Każdy lubi spać w czystej pościeli, tylko nie każdy ma pralkę.

– Trzeba pomagać – mówi Antek po powrocie ze szkoły. Tak ich tego uczą, tak im to wpajają nauczyciele podstawówki w dzielnicy migrantów. O partii „Pro NRW” (Pro Nadrenia Północna-Westfalia), która rozwiesza na latarniach plakaty z propagandowymi, rasistowskimi

fotografiami przedstawiającymi ciemnoskórych mężczyzn za kratkami więzienia, wychowawczyni w klasie Antka mówi: „To ugrupowanie nie chce, żeby w Bonn mieszkali ludzie z innych krajów i ich dzieci”. A dzieci z innych krajów to koledzy z klasy. Dzieci z miejskiej podstawówki w dzielnicy migrantów nie są podatne na rasistowskie slogany.

– Tam będą mieszkać uchodźcy! – Leo pokazuje na budynek byłego urzędu związkowego na południu Bonn. – Tam, gdzie wisi szyld welcome. Dlaczego to wszystko ogrodzone jest siatką? – zastanawia się Leo. – Może dlatego, żeby chronić tych ludzi? Chronić przed PEGIDĄ – kombinuje Leo. Szkolny rozrabiaka Leo zna nazwę PEGIDA i wie, że na jej demonstracje w Dreźnie, obok ludzi z transparentami „Jesteśmy zwykłymi obywatelami”, przychodzą też neonaziści. Patriotische Europäer gegen die Islamisierung des Abendlandes, po polsku: Patriotyczni Europejczycy przeciw Islamizacji Zachodu to ugrupowanie wrogie islamowi i cudzoziemcom.

W latach 2015-2016 symboliczne stryczki pojawiają się na ulicach niemieckich miast przy okazji demonstracji PEGIDY. Na jednej z demonstracji „przeciw islamizacji Europy” demonstranci niosą atrapę szubienicy obok zdjęcia kanclerz Angeli Merkel. „Merkel, uważaj!” – głosi napis na plakacie.

– Angela Merkel nikogo nie zapraszała – Arnold broni kanclerz Niemiec, chociaż sam nigdy nie glosuje na jej partię. – Ludzi uciekających przed wojną nie trzeba zapraszać. Ich nie da się zatrzymać. Oni zrobią wszystko, by się ratować. Sprzedadzą dom, by zapłacić pośrednikom za karkołomną przeprawę pontonem. Jeśli zamknie się przejścia graniczne, przejdą lasami. Będą w takiej desperacji, że wyślą przez pustynię i morze swoje dzieci.

Ciąg dalszy na s. 40 ▶



W styczniu 2016 roku, w ramach obchodów Międzynarodowego Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, przemawia w niemieckim Bundestagu żydowska pisarka Ruth Klüger, była więźniarka hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Klüger, urodzona i wychowana w Wiedniu, obecnie mieszkająca w USA, mówi, że dzisiejsze Niemcy to zupełnie inne społeczeństwo niż siedemdziesiąt lat temu. Pochwała otwarcie granic dla uchodźców przez rząd Niemiec w 2015 roku. Arnolda krzepią słowa żydowskiej pisarki. Również przez wzgląd na odpowiedzialność za wywołanie i skutki drugiej wojny światowej wielu dzisiejszych Niemców chce pokazać światu, że są solidarni wobec ludzi szukających schronienia przed terrorem i wojną.

Twój Bóg to Żyd

Twój samochód to Japoniec

pizza włoska

zupka chińska

szampan francuski

demokracja grecka

kawa brazylijska

urlop turecki

cyfry arabskie

alfabet łaciński

a twój sąsiad jest „tylko” migrantem...

Taki wiersz napisano na murach zespołu szkół w dzielnicy migrantów. Od połowy lat pięćdziesiątych XX wieku migranci należą do dnia codziennego zachodnich Niemiec. Jako pierwsi przybyli do RFN gasterbeiterzy z Włoch. Od 1960 roku zaczęli przybywać gasterbeiterzy z Grecji i Hiszpanii, od 1961 roku – z Turcji, następnie z Maroka, Portugalii, Tunezji i Jugosławii, stając się współtwórcami niemieckiego cudu gospodarczego.

Pod koniec 2017 roku Niemcy odnotowały rekordową liczbę mieszkańców: ponad 82 miliony ludzi. Liczba ta zawierała ponad 18 milionów osób z „tłem migracyjnym” (Personen mit Migrationshintergrund). Tak określa się osobę, która albo sama nie ma obywatelstwa niemieckiego, albo której jedno lub dwoje rodziców w chwili urodzenia nie miało niemieckiego obywatelstwa. Znaczy to, że niemal co piąty mieszkaniec Niemiec miał pod koniec 2017 roku cudzoziemskie korzenie.

W latach 2015-2016, w trakcie kryzysu uchodźczego przybyło do Niemiec około miliona osób spoza Europy: głównie z Syrii, Iraku, Iranu, Afganistanu, Erytrei, Turcji, Nigerii, Somalii i Federacji Rosyjskiej. Część, przybyłych w trakcie kryzysu uchodźczego osób, głównie z krajów bałkańskich i krajów Afryki Północnej, deportowano do kraju pochodzenia lub do pierwszego bezpiecznego kraju, do którego przybysze uprzednio zawitali.



Migranci polskiego pochodzenia są, po osobach tureckiego pochodzenia, drugą co do wielkości grupą migrantów w Niemczech. Szacuje się, że ponad dwa miliony mieszkańców Niemiec to osoby deklarujące przynależność do polskiego dziedzictwa kulturowego. Większość migrantów polskiego pochodzenia mieszka w Nadrenii Północnej-Westfalii, kraju związkowym, na terenie którego leży Zagłębie Ruhry, w którego kopalniach od stuleci pracowali Polacy. Znaczna grupa Polaków przyjechała do Niemiec po 2011 roku, gdy te otwały dla obywateli polskich rynek pracy. Obecnie Polacy, osoby legitymujące się wyłącznie polskim paszportem, stanowią największą grupę cudzoziemców z innych krajów Unii Europejskiej, mieszkających na terenie Niemiec; pod koniec 2017 roku było ich w Niemczech 783 tysiące.

Mimo długoletniej praktyki we współżyciu Niemców na zachodzie kraju z ludźmi z innych kręgów kulturowych, bycie migrantem w Niemczech pozostaje wyzwaniem. Wyzwaniem pozostaje choćby utrzymanie języka ojczystego u dzieci:

– Zachęcam do zapisania dziecka na język polski – Bogusia chrypnie, dzwoniąc do polskojęzycznych znajomych z dzielnicy. – Zajęcia będą odbywać się w klubie dzielnicowym, w czwartki po południu.

– Dwadzieścia minut mam iść z dzieckiem piechotą? To za daleko!

– Kolin ma w czwartki piłkę nożną.

– Kevin ma w czwartki dżudo.

– Niech się Kajtuś najpierw nauczy czytać po niemiecku, a dopiero potem po polsku – mówi do słuchawki kobieta, która do niedawna pracowała w Polsce jako nauczyciel matematyki.

Bogusia zaprzestaje agitacji przez telefon i wiesza w dzielnicy migrantów cztery ogłoszenia z Koziółkiem Matołkiem. W ciągu kilku dni zaprzyjaźniona matka Turczynka i zaprzyjaźniona matka Rosjanka meldują Bogusi: „Na twój kurs przyjdą Janka, Jonasz, Ania i Johanna”.

Jedna z uczennic mówi po polsku, jakby urodziła i wychowała się w Warszawie,

dwójka dzieci pamięta jedynie krótkie zdania, jakimi matki mówiły do nich we wczesnym dzieciństwie. Chłopiec o skórze koloru kawy z mlekiem uczy się na kursie słów, jakie zna ze słyszenia z rozmów matki z polskimi koleżankami. Z dumą opowiada nauczycielom w podstawówce, że uczy się polskiego. To pierwszy uczeń Bogusi, który jest dumny z tego, że chodzi na lekcje polskiego. Jedna z uczennic przybiega na zajęcia do Bogusi prosto z lekcji języka arabskiego. Ojciec dziewczynki pochodzi z Tunezji.

– Byliśmy w Polsce, umarła babcia mamy. Mówiłam po polsku! Już trochę umiem – cieszy się dziewczynka.

Mózg dzieci szybko przypomina sobie słowa, słyszane we wczesnym dzieciństwie. Słowa kojarzone z miłymi sytuacjami łatwo wracają do użycia.

– Hulajnoga, dobra droga – Bogusia pantomimicznie pokazuje wyrazy dnia codziennego, których uczą się dzieci w dzielnicy migrantów.

– Kolor zielony? Kolor czerwony? – woła Bogusia, a dzieci gnają przez trawnik, żeby dotknąć liścia albo kwiatka.

– Co wy tu robicie? – pytają uczniów przed klubem osiedlowym koledzy z klasy.

– Uczymy się polskiego – odpowiada Jonasz.

Czasem jakiś niemiecki kolega dołącza do zabaw ruchowych w języku polskim.

Liczne klasy nauczania języka polskiego są tylko na zajęciach w Polskiej Misji Katolickiej. Polska Misja Katolicka to jedyna, widoczna w życiu codziennym na zachodzie Niemiec organizacja polonijna. Od 1988 roku wynajmuje kościół i salę katechetyczną od niemieckojęzycznej parafii św. Jana Baptysty i Piotra w centrum Bonn. Podobnie jak inne obcojęzyczne misje, utrzymywana jest przez lokalne biskupstwo, wchodząc w skład Kościoła katolickiego w Niemczech, na który wszyscy katolicy, w tym migranci, płacą podatki.

– Dziewczyny, przedefilujcie pod oknami proboszcza niemieckojęzycznej parafii! Śmiało! – zachęca Bogusia uczennice przed próbą jasełek.

Defilowanie ze skrzydłami aniołów ma odwrócić uwagę niemieckojęzycznego proboszcza od faktu, że oprócz katechezy, polskojęzyczni parafianie prowadzą też naukę pisania i czytania w języku polskim. Za organizowanie popołudniowych zajęć z języka polskiego odpowiedzialne jest wprowadzić niemieckie szkolnictwo, jednak wiele obcojęzycznych misji również prowadzi zajęcia z języka dzieci migrantów i każdy punkt nauczania jest potrzebny.

– Oooo, ile aniołków – cieszy się proboszcz niemieckojęzycznej parafii.

Od trzech lat prosi biskupa Kolonii, żeby ten poszukał dla polskojęzycznej parafii innego lokum. Rada duszpasterska niemieckojęzycznych gospodarzy twierdzi, że ich parafia ma za mało miejsca. W niedzielę ledwo setka ludzi przychodzi na Msze święte w języku niemieckim. Na Mszę w języku polskim przychodzi sześciuset, ośmiuset ludzi. Wielu z reklamówkami pełnymi zakupów, bo pod kościół podjeżdża samochód, w którym można kupić „krakowską”, biały ser i ogórki kiszzone. Polskojęzyczni wierni wypełniają w niedzielę główną i dwie boczne nawy ogromnego, neogotyckiego kościoła. Dla wielu nie starcza ławek. Z tyłu kościoła klęczą robotnicy sezonowi. Na przodzie siedzą przesiedleńcy i trochę emigracji solidarnościowej, w środkowych ławkach – personel domów opieki, sprzątaczkę, położne, garstka ludzi akredytowanych przy międzynarodowych przedsiębiorstwach, studenci, młodzież, dzieci, kilku muzyków, nauczycieli i lekarzy. To jedyna parafia w ponad trzysetnym Bonn, w której odprawiane są Msze święte w języku polskim.

Dzieciaki biegają i gaworzą, pani w pierwszej ławce śpiewa tak głośno, aż się na nią oglądają ministranci. Tu każdy każdego zna, obserwuje się, jak z maluchów robią się ministrantki w butach na wysokich obcasach i ministranci z włosami wystrzyżonymi w szlaczek. Polskojęzyczna wspólnota jest jak namiastka rodziny w Polsce.

W czwartki i piątki, kiedy jest katecheza w języku polskim, tłumy dzieciaków biegają po dziedzińcu kościoła, wspinają się na balustrady schodów, piszczą i rzucają opakowania po słodyczach na ziemię. Pracownikom wszechniczy katolickiej, wynajmującej polskojęzycznym katolikom pomieszczenia, kupione w ostatnich latach od niemieckiego Kościoła, brakuje miejsc parkingowych, bo Polacy dwa razy w tygodniu przyjeżdżają do kościoła, i jeszcze dodatkowo w adwent i wielki post, i na rekolekcje, i zawsze postawią samochód nie tam, gdzie trzeba.

Kierownik niemieckojęzycznego chóru chciałby w spokoju studiować partytury utworów sakralnych, powiesił wysmakowany graficznie afisz reklamujący serię koncertów w kościołach, a tu mu ktoś na afiszu wyryl: „Tomek = sex”. Przecież wiadomo, że to polskie słowa. Kierownik chóru przynosi ten plakat Bogusi.

Proboszcz niemieckojęzycznej parafii dwoi się i troi, żeby stworzyć przeciwwagę dla tłumu wiernych, jaki przychodzi na polskojęzyczne msze w centrum miasta: „Mężczyźni wieczorną porą w mieście?” – zachęca plakat w języku niemieckim do odwiedzenia salki parafialnej. Może przyjdzie kilka osób na pogadankę?

W niedzielę, czwartek i piątek dziesiątki polskojęzycznych dzieci i tak będą jeździć hulajnogą po korytarzu, a ich rodzice postawią samochód nie tam, gdzie trzeba.

– Chcesz na język polski, czy tylko na katechezę w języku polskim? – pyta Bogusia dziewczynkę, którą rodzice przywieźli do Polskiej Misji Katolickiej w centrum miasta z oddalonej o kilkanaście kilometrów miejscowości.

– Chcę, i na katechezę, i na język polski – mówi uradowana dziewczynka.

– Katecheza ci wystarczy! Niemieckiego masz się teraz uczyć. Polski umiesz! – mówi do córki ojciec, i wyjaśnia Bogusi – my dopiero od miesiąca jesteśmy w Niemczech.

Jeden jedyny raz wolno jest przyjść Kasi na zajęcia z języka polskiego. W Lublinie dziewczyna chodziła do gimnazjum, w Bonn posłano ją do szkoły głównej (Hauptschule), czyli szkoły o najniższym poziomie nauczania, bo w Nadrenii Północnej-Westfalii szkoły główne prowadzą kursy języka niemieckiego jako obcego. Piątkowa uczennica z Lublina ma więc wrażenie, że oprócz matmy niczego nie umie. Na jedynej lekcji polskiego, w jakiej pozwolili jej w Bonn uczestniczyć rodzice, dowartościowała się. Jako pierwsza podnosiła rękę, znając odpowiedzi na zadawane przez Bogusię pytania. Na szczęście w szkole głównej ma dużo koleżanek z Polski. One również chodziły do gimnazjum, zanim ich rodzice zdecydowali się na wyjazd za granicę.

CDN.

AGNIESZKA KARAŚ ■

Bonn, kościół parafialny św. Jana Chrzciciela i św. Piotra

FOT. © TOL046 / BY CC-SA 4.0



Zderzenie dwóch cywilizacji

„Nie ma umiarkowanego islamu,
islam jest islamem.

Recep Tayyip Erdogan
prezydent Turcji

■ MIROSŁAW PRANDOTA



Lato 1969. Jestem w Baku na międzynarodowym obozie sportowym, zorganizowanym dla krajów Europy Wschodniej. „Temat wiodący”: sześciobój atletyczny. Mamy ćwiczyć pod kątem tej dyscypliny, a na koniec odbędą się zawody.

Póki co, jedziemy eleganckim autokarem na zwiedzanie miasta. Kierownikiem jest delegat z Moskwy, a przewodnikiem miejscowy Azer. Panuje upał, więc każdy nosi krótkie spodenki i kolorowe koszulki. Kierownik zapewnia, że wprawdzie Azerbejdżan to republika islamska, ale władza radziecka wprowadziła tu „nowoczesność”, więc mamy czuć się jak w Europie.

No i dobrze. Wierzmy na słowo, jednak Azer spogląda na nas z niewyraźną miną.

Autokar zatrzymuje się w miejscu, gdzie rozciąga się ogród pełen egzotycznych drzew, a w głębi widnieje wspaniała budowla. Azer opowiada, co to jest, a tymczasem ktoś z tyłu krzyknął do kierowcy, aby otworzył drzwi.

Drzwi stały się otworem, kilku zawodników wybiegło z aparatami. Nagle, nie wiadomo skąd, zbiegli się ludzie, otoczyli naszych i zaczynają ich bić, pokrzykując w nieznanym języku. Wyskakujemy na zewnątrz wszyscy, zanoszą się na lokalną bitwę nie wiadomo o co.

Przez rozgorączkowany tłum przedziera się nasz przewodnik. Coś tam tłumaczy największym awanturnikom, tamci niechętnie rezygnują z awantury, którą już rozpoczęli. Wracamy do autokaru otoczonego już tłumem ze wszystkich stron. Ludzie wyrażają nam pięściami. Z trudem ruszamy dalej. O co poszło?

Otóż o kolorowe, zbyt krótkie spodnie i koszulki w kwiaty. Taki strój w centrum

miasta obraża społeczność azerską, tutejsi mieszkańcy poczuli się upokorzeni i zlekceważeni. Kilku z nas doznało niegroźnych obrażeń. Radziecka „nowoczesność” nie zdała się na nic.

Miejscowy obyczaj liczy się ponad wszystko, a społeczeństwo dba o przestrzeganie reguł obowiązujących w ich kraju.

Obrażanie narodu

Lato 2007. W ośrodku turystycznym na wyspie Kish w Zatoce Perskiej odbywają się międzynarodowe zawody strongmanów. W przerwie między konkurencjami niektórzy kibice próbują podejść do zawodników, aby zrobić sobie z nimi zdjęcie.

W pewnym momencie do Norwega Arilda Haugena podchodzą z aparatem dwie dziewczyny, oczywiście przepisowo zakapturzone. Arild uśmiechnął się i rozłożył ramiona, a obie dziewczyny wskoczyły mu na ręce. Mężczyzna podniósł obydwie w górę, ktoś pstryknął fotkę.

Błyskawicznie interweniuje policja. Zawody zostają przerwane, zawodnicy są proszeni o przejście do hotelu, gdzie szef policji oświadcza, że zawodnik norweski mocno obraził naród irański, a pozostali zawodnicy mu w tym nie przeszkodzili, więc też są winni. Haugena zmuszono do napisania przeprosin całego narodu irańskiego za znieważenie irańskich kobiet.

Na nic zdały się wyjaśnienia Mariusza Pudzianowskiego, który wystąpił tam w roli negocjatora. Szybko okazało się ponadto, że Norweg, przyznając na piśmie swój błąd, nie wiedział, że to oznacza przyznanie się do zbrodni, czego efektem może być areszt.

Na razie zawody zostały przesunięte o dwa dni, a policja udała się na naradę. W tej sytuacji Pudzianowski zarządził ucieczkę. Udało się odjechać na lotnisko zanim policjanci skończyli naradę oraz obowiązkowe modły; akurat nastał odpowiedni moment.

Nie wiadomo, co by się stało, gdyby strongmani czekali na „wyrok”, ale wszyscy mieli okazję odczuć, jak państwo islamskie potrafi przeciwstawić się łamaniu obyczajów przez cudzoziemców.

Droga strona medalu

Rok 2015, Niemcy. Kanclerz Angela Merkel zaprasza uchodźców z Bliskiego Wschodu do Europy mówiąc „damy radę”. Niestety, pani kanclerz nie pyta Europy o zdanie, więc przez wszystkie granice wlewa się strumień modnie ubranych i uzbrojonych w nowoczesne telefony młodych mężczyzn, którym towarzyszy 12 proc. kobiet i kilka procent dzieci. Co najmniej połowa z nich nie ma żadnych dokumentów, ale w atmosferze powszechnego entuzjazmu gospodarze nie zwracają na to specjalnej uwagi, a młode Niemki stoją z kwiatami na granicy i rzucają się na szyję przybyłym. Panuje atmosfera serdecznej gotowości do obdarowania gości wszystkim, co pozwoli im zapomnieć o okrucieństwach wojny w ich krajach.

Młodzi ludzie dostają wodę, kanapki, owoce, słodczyce i... wyrzucają to wszystko przez okna wagonów, którymi jadą do lepszego świata. Oczekują znacznie więcej, skarżą się dziennikarzom, że „ciocia” Angela obiecała każdemu mieszkanie, mercedesa i wysoki zasiłek, słowa nie dotrzymała, przynajmniej nie w każdym wypadku, a wobec tego część zawiedzionych opuszcza Niemcy i kieruje się na Skandynawię, gdzie hojność władz okazuje się bardziej „widowiskowa”.

Wszyscy litują się nad biednymi uciekinierami, wyrażają gotowość udzielenia im wsparcia na tyle, na ile tylko mogą. Czyli znowu za mało.

Misja zdobywania

Epatujący naiwnym humanitaryzmem Europejczycy nazywają swoich drogich

FOT. © STEFAN SAREN

gości pieśczośliwie „uchodźcami”. Nie starają się nawet przyjąć do wiadomości, że uchodźcy z prawdziwego zdarzenia kończą swoją ucieczkę do wolności w Jordani, Libanie, Turcji, na wyspach greckich, natomiast osobnicy ubrani w eleganckie dżinsy i modne kurtki to w rzeczywistości koneserzy niebagatelnych zasiłków, poszukiwacze wygodnego życia oraz – a może przede wszystkim – „misjonarze” nastawieni na propagowanie własnej kultury w krajach zamieszkiwanych dotąd przez niewiernych, czyli zacofanych obywateli podłej białej rasy.

Największym osiągnięciem „dyplomatycznym” migrujących do Europy muzułmanów było wpojenie Europejczykom przekonania, że każdy, kto nie pomaga migrantom albo wręcz krytykuje migrantów za ich agresję to rasista, ksenofob, a nawet faszysta. Europejscy politycy, dziennikarze, działacze społeczni kupili to bez reszty.

Prawda wygląda odwrotnie. Każdy wyznawca Allacha uważa się za kogoś wyższego i lepszego niż wyznawca innej wiary, a już chrześcijanin to dla Araba ktoś, kogo można oszukać na każdym kroku, bo nie grzeszy rozumem, poza tym jest bluźniercą, którego należy poddać indoktrynacji religijnej, aby w końcu uwierzył, że jedynym prawdziwym sposobem na życie doczesne oraz wieczne jest szariat. Biała kobieta to istota godna co najwyżej kopniaka, a już na pewno zbiorowego gwałtu jako aktu poniżenia za samo bycie białą kobietą.

Jak poluje się na jeleni

Miałem przyjemność ćwiczyć w siłowni z dwoma Turkami, którzy akurat studiowali na Politechnice Warszawskiej. Któregoś dnia zapytałem ich naiwnie, jak bardzo kultura arabska jest zbliżona do kultury tureckiej. Obrazili się tak bardzo za samo pytanie, że przez kilkanaście dni nie odzywali się do mnie ani słowem, ale później pokazali amatorski film nagrany gdzieś w Niemczech „zza krzaka” na dziedzińcu biura dla cudzoziemców. Stała tam długa kolejka młodych facetów, kilka kobiet i kilkoro dzieci. Chodziło o zarejestrowanie się, aby otrzymać zasiłek. Zobaczyłem coś, co przypominało film z epoki kina niemego.

Każdy młody mężczyzna wchodził do biura z kobietą i dzieckiem, następnie w trójkę wracali, a wtedy następny mężczyzna z tym samym dzieckiem i tą samą „żoną” wchodził do środka po stosowne zasiłki. I tak w kółko. Dzieciom zmieniano tylko kurtki albo czapki, kobiety zakładały inne kaptury na głowy, a urzędnicy rejestrowali, rejestrowali, rejestrowali...

No cóż? Arabowie wiedzieli, że Europejczycy z północy nie potrafią rozróżnić jednego arabskiego dzidziusia od drugie-

go, tak samo kobiety, więc wykorzystywali urzędników jak tylko mogli. Dwa lata później przeczytałem gdzieś informację, że w Niemczech znikło z rejestrów 30 tys. dzieci i że wszyscy zastanawiają się, co się z tymi dziećmi stało. No i jak wyprowadzić Araba z przekonania, że biała rasa jest jednak mniej inteligentna niż oni?

„Murzyn” to brzmi dumnie!

W świadomości powszechnej utrwalił się pogląd głoszący, że rasizm to wredne narzędzie białego człowieka, a to nieprawda. Już w roku 1805, gdy czarni mieszkańcy wywalczyli sobie niepodległość na Haiti, szybko ogłosili rasistowską konstytucję, z której powiewało hasłem: „*Haiti for Negros*”. Ci sami Negros nadali tytuł „Białego Murzyna” dwustu żołnierzom napoleońskim z Polski, którzy przeszli na ich stronę podczas francuskiej pacyfikacji wyspy. (Teraz słowo „Murzyn” jest niepoprawne politycznie, tak więc gdy babcia upiecze nam smacznego murzynka na święta, zalecam nazywanie tegoż ciasta „afroamerykaninem”). Innym białym osadnikom zabroniono wtedy posiadania majątku w kraju, ponadto byli oni traktowani jako obywatele drugiej kategorii.

Dziś dla odmiany, gdy ktokolwiek poddaje krytyce bandyckie wyczyny migrantów muzułmańskich w Europie, natychmiast otrzymuje ksywę „rasista” albo „ksenofob”, co na przykład w krajach skandynawskich jest równoważne z powszechnym ostracyzmem. Człowiek, któremu przyklepiono taką etykietkę, może utracić pracę, a nawet wolność. Gdy członek partii Szwedzcy Demokraci, Michael Hess, oświadczył publicznie, że „utrzymuje się mocny związek między plagą gwałtów w Szwecji a liczbą migrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej”, został oskarżony o „oczernianie grup etnicznych” i skazany na 2 lata więzienia plus grzywna, „na początek” w zawieszeniu. Hess powołał się na statystyki według których w roku 1975 zgłoszono 421 gwałtów, a w 2014 już 6 620 gwałtów. Sąd uzasadnił wyrok w ten sposób, że fakty nie mają znaczenia, liczy się sam fakt oczerniania.

Taka fundamentalna postawa Europejczyków zamykających oczy na przestępstwa arabskich awanturników to typowy sposób udawania, że nic złego się nie dzieje byleby w odpowiednim momencie... zamknąć te oczy.

Reportaż nie taki jak trzeba

Przypomina mi się zabawny przykład z własnego podwórka. Otóż we wrześniu 2019 roku w „klubokawiarni” zarządzanej przez znanego reportażystę Mariusza Szczygła miała się odbyć prezentacja odrodzonego po latach „Ekspresu Reporte-

rów”. Pech chciał, że wydawca i znakomity przedstawiciel najlepszej polskiej szkoły reportażu w jednej osobie, Aleksander Rowiński, zamieścił mój reportaż o ekscesach uchodźców... w pierwszym numerze serii!

Okazało się to nie do strawienia dla redaktora Szczygła, *notabene* wykładowcy akademickiego w przedmiocie reportażu. Poinformował red. Rowińskiego, że wprawdzie nie obawia się tematów „niepoprawnych politycznie”, ale mój tekst był na tyle niepoprawny, że nie można było inaczej, jak tylko odwołać prezentację. Powołał się przy tym na autorkę reporterskiej książki o Szwecji, Katarzynę Tubylewicz, która „potrafi pisać bardzo szczerze o tym, co chciał napisać p. Prandota”. Niestety, zapomniiał dodać, że wspomniana autorka była przez kilka lat dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie, czyli instytucji kontrolowanej przez rząd szwedzki, a zatem musiała, pisząc o Szwecji, liczyć się z tym, co wypada napisać.

Jakby i tego było za mało, pan Szczygiel zrobił mi reklamę w „Gazecie Wyborczej”, podkreślając mój rasizm i ksenofobię, bo napisałem coś, o czym nie wolno głośno mówić ani po cichu pisać. Już tylko na marginesie dodam, że jako były sportowiec utrzymuję od lat „rasistowskie” kontakty ze sportowcami o skórze czarnej, śniadej oraz żółtej, ale tylko dlatego, że żaden z nich nie jest gwałcicielem, bandytą, podpalaczem samochodów, dżihadystą ani „odlotowym” szahidem. Natomiast w reportażach używam takich sformułowań, jakie uznaję za słuszne, podpierając się (zgodnie z regulami obowiązującymi reportażystę) faktami, które uzasadniają takie stanowisko. Na szczęście nie jestem Michałem Hessem i grozi mi co najwyżej etykieta rasisty, ale póki co, nie ma mowy o dwóch latach w zawieszeniu lub bez.

Na fali kiepskiego entuzjazmu

Europejczycy popełnili kilka podstawowych błędów (pomijam infantylne zaproszenie pani kanclerz Niemiec: damy radę, zmieścimy wszystkich!). Po pierwsze, „zmieszczono” za dużą liczbę obcych kulturowo młodych mężczyzn na jeden raz. Po drugie, nie zidentyfikowano tych ludzi, przyjmowano każdego „jak leci”. Po trzecie, nie uprzedzono ich o regułach obowiązujących w kraju przyjmującym oraz o możliwości deportacji osób łamiących te reguły.

Kolejny błąd to przysłowiowe zamykanie pod dywan wszystkich przejawów bandytyzmu zapożyczonego z krajów będących wówczas w stanie wojny i lansowanego teraz w Europie. W myśl pokracznej poprawności politycznej nie wolno (do dziś!) podawać kraju pochodzenia przestępcy.

Ciąg dalszy na s. 44 ▶

Jeżeli mieszkający w Niemczech dżihadysta z Syrii zadłgał nożem Niemca, to pisze się i mówi, że zbrodni dokonał Niemiec. A przecież logika podpowiada, że jeżeli chce się zapobiegać przestępstwom, to społeczeństwo musi wiedzieć, kto i dlaczego ich dokonuje, aby odpowiednio się chronić.

Milczenie to głupota sprzyjająca eskalacji przestępczości i faktycznie tak to wygląda. A z drugiej strony – milczenie jest rodzajem hipokryzji przykrywającej wstyd, jaki po cichu odczuwają nieodpowiedzialni politycy za swoją postawę leżenia plackiem przed postępującą inwazją islamu na Europę.

Tęsknota za multi-kulti

Ukoronowaniem frajerstwa stało się nastawienie sądów do pobłażliwego traktowania lawiny przestępczości, jaką przydzwigali ze sobą młodzi muzułmanie. Ogromna liczba gwałtów jest nieustannie kwestionowana najpierw przez polityków, później przez usłużnych publicystów, a na końcu przez sędziów, którzy domagają się niezliczonej ilości dowodów, aby w końcu skazać arabskiego gwałciiciela na miesiąc pracy społecznej za czyn, który młoda dziewczyna będzie ciężko przeżywać do końca życia. Faktem, który zakrawa na żart, jest wcale nierzadkie uzasadnienie wyroku w taki oto sposób: „Napastnicy nie rozumieli, o co broniącej się dziewczynie chodzi, bo nie znali języka szwedzkiego”.

A rezultat jest nad wyraz zrozumiały. W roku 1975 szwedzki parlament postanowił zamienić homogeniczną Szwecję w kraj wieloetniczny. W nawiązaniu do nauki Karola Marksa, miała to być kraina szczęścia, a stała się marksistowskim reżimem. Po latach okazało się, że był to największy niewypał w historii Europy. Zbrodnie skończyły o 300 proc., gwałty – prawie o 1500 proc. Nie wolno o tym głośno mówić, obywatele mają obowiązek radować się, że przynoszą ulgę ludziom potrzebującym pomocy. W kraju wytworzyła się atmosfera hipokryzji wprost trudnej do zrozumienia. Dorośli boją się wyrażać głośno nawet przy dzieciach swojego prawdziwego stosunku do muzułmanów. Szwedzka pisarka, Maria Benet, autorka książki o współczesnej historii swojego kraju twierdzi, że prywatne odczucia na temat muzułmanów nie mogą być głoszone publicznie, bo jest to spacer po polu minowym. Obowiązuje robienie dobrej miny do złej gry.

Tymczasem Szwedzka Krajowa Rada ds. Zapobiegania Przestępczości już w 1996 roku wydała raport, że przybysze z Afryki Północnej gwałcą 23 razy częściej niż rodowici Szwedzi. W latach późniejszych już nie opublikowano żadnego raportu

na ten temat, prawdopodobnie z obawy o wywołanie skandalu, a nawet rewolucji, za to policja ujawnia działanie somalijskich gangów, zajmujących się gwałceniem młodych Szwedek i zmuszaniem ich do prostytucji. Malmö, gdzie 25 proc. mieszkańców stanowią muzułmanie, stało się symbolem miasta z horroru.

Kwiatek do kożucha

Ideologią hołubioną przez muzułmanów jest szariat – zero tolerancji dla innych religii, dla wolności słowa, wyznania, wolności mediów, wolności myślenia itp. Hasło przewodnie: zabijać niewiernych!

Ktoś w demokratycznej Europie Zachodniej wpadł na pomysł, że taką społeczność da się zintegrować ze społecznością europejską wychowaną na tradycyjnym przykazaniu „miłuj bliźniego swego jak siebie samego”. Gdy ludzie inteligentni nazwali tę inicjatywę totalnym odlotem, otrzymali ksywy islamo-fobów, rasistów i ksenofobów.

Stało się. Islam przywędrował masowo do Europy Zachodniej i zastał jej przywódców zgiętych w pół, uległych, czapkujących, słodziaków gotowych oddać własne dusze za jeden łaskawy uśmiech islamu.

Ten masowy najazd muzułmańskich zdobywców coraz bardziej kojarzy się z lenińskim modelem zdobywania Europy przez bolszewików. Tamtym się nie udało, bo używali broni palnej, co wywołało podobny kontratak. „Bolszewicy” z Bliskiego Wschodu, którzy jeszcze do niedawna obcinali seryjnie głowy wziętym do niewoli jeńcom, robią to skuteczniej – aby przekonać do siebie Europę, biorą Europejczyków na litość, a gangi rosną w siłę, nikt nie wie, skąd mają broń i jak ukrócić ich działalność.

A tak podsumowuje tę naiwność dr Majid Rafizadeh – amerykański wykładowca z irańskim rodowodem na Harvard University: „Dla mnie, człowieka, który dorastał w fundamentalistycznych krajach muzułmańskich, szerzenie się na Zachodzie apologetów prawa szariatu jest, najłagodniej mówiąc, intrygujące. Wielu spośród tych apologetów nie ma jednak bezpośredniego doświadczenia rzeczywistego życia w tej części świata, ani tego, jak czuje się ofiara codziennego radykalnego islamu. Bolesne jest to, że chociaż wielu spośród tych apologetów nigdy nie żyło pod islamskimi rządami, często działają tak, jakby to znali osobiście”.

Pokojowy *anschluss*

Islam nie uśmiecha się. Przybył po swoje, na swoje i do rządzenia, bo – jak twierdzą wyznawcy tej ideologii, zwanej dowcipnie religią – tam, gdzie stanęła noga muzułmanki, powstaje nowe terytorium islamskie. Jak to wygląda w praktyce, wiedzą najlepiej

mieszkańcy Niemiec, Belgii, Francji i Skandynawii, gdzie raz za razem organizuje się marsze protestacyjne przeciwko napadom, gwałtom i wszelkim innym zagrożeniom wyłaniającym się z każdego kąta naznaczonego tą islamską nogą.

Reakcja rządzących jest zawsze taka sama: poczekajmy, oni się zintegrują i w końcu staną się takimi jak my. Inaczej mówiąc – człowieku, zbij termometr – nie będzie gorączki!

Niestety, nowe pokolenie, już urodzone w jednej z nowych ojczyzn jest bardziej radykalne i agresywne niż tamto, które pojawiło się po raz pierwszy. Co gorsza, Europa Zachodnia w ciągu 75 lat po wojnie odcięła się od swoich chrześcijańskich korzeni, pozostawiając pustkę w sferze wyższych wartości duchowych. W tę pustkę wchodzi miękko islam i rozpiera się w niej z całym szariackim rozmachem. Zaszczepia swoje zwyczaje, tworząc „niezależne” szariackie sądy, policję obyczajową i nieskończoną pogardę dla płaszczącej się uniesienie „białej konkurencji”.

Od debaty do debaty

W Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka 3 mln muzułmanów, z czego większość nie uznaje prawa brytyjskiego, od lat debatowano nad możliwością oficjalnego wprowadzenia szariatu. Sprawa oparła się o Trybunał w Strasbourgu, w styczniu 2019 roku przyjęto jednak rezolucję uznającą szariat za sprzeczny z wymogami demokracji i „nie do pogodzenia ze standardami praw człowieka”. Trudno powiedzieć, jakie to będzie miało znaczenie praktyczne, bo wyznawcy islamu są najszybciej rosnącą grupą wyznaniową, a liczba chrześcijan stale maleje.

We Francji połowa młodych muzułmanów wyraża przekonanie, że świeckość państwa powinna dostosować się do prawa religijnego. W Hiszpanii, na 17 rejonów autonomicznych, w 13 obowiązują lekcje religii islamskiej...

We Francji od roku 2000 zburzono 33 kościoły, na ich miejsca buduje się meczety. Jest ich już 2,5 tys. W Niemczech – 3 tys. meczetów. W Polsce – 5 meczetów! I tego się trzymajmy.

Co dalej? Czas pokaże.

Wybuch frustracji i... inne wybuchy

A wszystko zaczęło się od momentu, gdy Amerykanie, ufni w siłę swojej naiwnej argumentacji postanowili „zdemokratyzować” Bliski Wschód (oczywiście wyłączając Arabię Saudyjską z uwagi na swój odwieczny szacunek dla złota). Oczywiście nikt nie wątpi, że rejon obficie zaopatrzony w ropę naftową stał się najmocniejszym bodźcem napędzającym amerykańską wyobraźnię do granic nieprzyzwoitości.

Konsekwencją tej nieprzyzwoitości stały się zrujnowane kraje i *exodus* do Europy.

W krótkim czasie po przybyciu gości okazuje się, że większość nie nadaje się do pracy w wysoko wyspecjalizowanych nowoczesnych fabrykach. W Niemczech obliczono, że tylko 23 proc. młodych przybyszów znajduje dla siebie pracę. Taka sytuacja demoralizuje. Ludzie ci szybko odkrywają, że w tym nowym kraju są nieprzydatni. Świadomość tego rodzi potężny ładunek frustracji, która w końcu skutkuje wybuchem (także dosłownie!) niekontrolowanych emocji, a fundamentalistyczni przewodnicy duchowi – imamowie podgrzewają agresję.

– To jest efekt dopuszczenia czy przyjęcia różnych imamów, którzy głosili nienawiść, niekontrolowanie całej fali emigrantów – oświadcza w roku 2019 ks. prof. Walde-
mar Cisło, przewodniczący polskiej sekcji organizacji charytatywnej Pomoc Kościołowi w Potrzebie. – Jeśli muzułmanie we Francji słyszą od Francuzów błaganie „nie zabijajcie nas”, to jest uznanie słabości własnego narodu.

W listopadzie 2020 ks. profesor odniósł się też do niedawnego ataku nożownika w Nicei, z powodu którego trzy osoby nie żyją, a kilka osób zostało rannych.

– To są ataki na ludzi wierzących, modlących się, obcinanie głów, jak ta osoba, która zaatakowała nożem. Tego do tej pory nie było. Tego typu informacje docierały do nas z Bliskiego Wschodu czy krajów afrykańskich. W Europie do tej pory z takim brutalizmem nie mieliśmy do czynienia, a teraz staje się on faktem.

Śloneczne przebłyśki głupoty

Dopiero we wrześniu 2020 roku premier Szwecji przyznał publicznie, że istnieje korelacja między liczbą imigrantów i wzrostem przestępczości zorganizowanej. „Jest to jasne jak słońce!” – powiedział emfaticznie.

Co prawda to prawda, tylko że słońce musiało świecić dobrych parę lat, aby jakiś promień zmusił premiera do zmrużenia oczu, mimo że regularnie otrzymywał komunikaty od własnej policji. Z tych komunikatów wynika na przykład, że liczba zamachów bombowych w Szwecji za rok 2018 wyniosła 162, w roku 2019 – 257, a w 2020 – 320. Wszystko to w ramach porachunków między imigranckimi gangami, w trakcie których giną przypadkowe osoby. Tak wygląda tam „integracja”. Postęp jednak nastąpił: media zaczęły o tym ostrożnie informować. Ot, chłopcy przyjechali do Szwecji i potraktowali ten gościnny kraj jako boisko do swoich rozgrywek.

W serwisie bredni spotyka się i takie rodzynki, że: Komisja Europejska na swojej stronie internetowej opublikowała przesłanie Fransa Timmermansa

do muzułmanów z okazji Nowego Roku islamskiego, w którym wyraża wobec nich wdzięczność za ukształtowanie Europy. Wiceprzewodniczący KE stwierdził, że islamieści detonują bomby w Europie, ponieważ są dyskryminowani.

Nie mam pojęcia, jakie ziola pali pan Timmermans z okazji Nowego Roku, ale to raczej chrześcijanom należy się wdzięczność za ukształtowanie Europy, o czym wiceprzewodniczący powinien wiedzieć, a nie wie.

Jakby i tego było mało, jeszcze raz przytaczam wypowiedź księdza prof. Waldemara Cisły. Tak skomentował we wrześniu 2019 hipokryzję zachodnich dygnitarzy w temacie „uchodźców”: „Frans Timmermans, kiedy w 2014 roku wypędzono 100 tys. chrześcijan z Równiny Niniwy, kiedy ci ludzie zostali sami, bez dachu nad głową, to wtedy Unia Europejska nawet się nie zająknęła, że dzieci i kobiety były sprzedawane na rynku w Mosulu po kilkanaście dolarów z kartkami na szyi; że małe pięcioletnie dziewczynki były sprzedawane do niewoli seksualnej”.

Przepaść nie do zasypiania

Islam nie jest reformowalny, bo być nie może. Nie da się połączyć ani wody z ogniem, ani sprytu z naiwnością w dobrej wierze, bo zawsze coś lub ktoś będzie górą. W przeciwieństwie do krajów zachodnich jesteśmy społeczeństwem jednorodnym narodowościowo i to jest nasz największy atut gwarantujący względny spokój. Każda próba naruszenia tej równowagi może okazać się iskrą, od której spłonie porządek społeczny.

Owszem, możemy odwiedzać się wzajemnie i składać deklaracje przyjaźni w ramach turystyki międzynarodowej czy handlu, ale nigdy nie utworzymy wspólnie społeczeństwa, bo przepaść kulturowa jest nie do zasypiania.

Norweska dziennikarka Hege Storhaug, autorka książki *Islam – jedenasta plaga*, będącej pokłosiem dwudziestoletnich badań nad islamem tak stawia sprawę: Czy

ktokolwiek kiedykolwiek słyszał o dialogu z nazistami? Dialog wymaga gotowości do zawierania kompromisów. Jak można szukać kompromisu z islamem?

Wśród naiwnego ludu popularyzuje się czasem tezę, z której ma wynikać, że hidżab jest w islamie symbolem kobiecego wyzwolenia. W tym samym czasie międzynarodowe służby ochrony praw człowieka donoszą, że kilkanaście młodych kobiet uwięziono w Iranie za demonstracyjne zdjęcie hidżabów i odkrycie włosów, bo postanowiły wyzwolić się od hidżabu. Brednie mające na celu wysławianie rzekomego komfortu dla islamskich kobiet, bo akurat dostały pozwolenie na prowadzenie samochodu są zresztą kolportowane dość regularnie. Nawet wycinanie na żywca lechtaczki u pięcioletnich dziewczynek to też podobno dobrodziejstwo na przyszłość (o ile ofiara przeżyje).

Te wszystkie opowieści o konieczności przyjęcia pewnej „kwoty uchodźców”, bo akurat spalili oni obóz Mora na wyspie Lesbos i nie mają gdzie mieszkać – są tymczasowym załatwianiem jakiegoś wycinka smutnej rzeczywistości, na co nawet premier Szwecji nie dał się nabrać, ugięły się dopiero Niemcy. Teraz wszyscy czekają na kolejny pożar na jakiejś greckiej wyspie, bo znowu trzeba będzie załatać cywilizacyjną lukę ad hoc. Scenariusza na pomoc długofalową nie ma i nie wiadomo, czy będzie.

*

Na początku artykułu podałem dwa przykłady ilustrujące przywiązanie islamu do tradycji oraz do wartości, jakie by one nie były. Na dalszych stronach ukazałem miałość, bylejałość i frajerstwo Europy Zachodniej, która sprzedaje się islamowi jak tani gadżet za psi grosz. Podbój Europy przez muzułmanów został zatrzymany dwukrotnie: raz w bitwie pod Poitiers w 732 roku i drugi raz w bitwie pod Wiedniem w 1683 roku. Ciekawe, gdzie rozegra się trzecia bitwa i kto ją wygra, bo pewności nie ma.

MIROSLAW PRANDOTA ■

Uchodźcy przed dworcem kolejowym Keleti w Budapeszcie, 2015 FOT. © MISTYSLAV CZERNOW / CC BY-SA 4.0



Miłość – Wolność – Precz z dyktaturą!

JOANNA
PASZKIEWICZ-JÄGERS



To się zdarzało w innych krajach ale nie tutaj!... Życzeniowe myślenie musiało jednak ulec naciskowi wydarzeń. Z końcem stycznia 2021 największe stacje telewizyjne okazały światu zaskakujące brutalnością zamieszki w holenderskich miastach. W Chinach dodano im ironiczny komentarz: „Czyż to nie wspaniałe... wolna i cywilizowana Europa?”.

Nieoczekiwany wybuch zbiorowej wściekłości wiązał się z „rocznicą” wprowadzenia pierwszego lockdownu oraz z ustanowieniem godziny policyjnej, tu kojarzonej z okresem hitlerowskiej okupacji. Ostrożnie zapowiedziana w listopadzie 2020 roku przez ministra zdrowia jako „niewykłuczona”, została poparta przez premiera i wprowadzona w dwa dni po całodiennej debacie parlamentarnej, 23 stycznia 2021. Obowiązywała do 28 kwietnia.

Zamieszki miały za przeciwników coś znacznie więcej niż lockdown i godzinę policyjną. Grupy nastolatków i młodych mężczyzn o przesłoniętych twarzach emanowały uogólnioną furią. Furią wynikającą z przeświadczenia, że system państwowy jest wyłącznie represyjny i przy tym nastawiony na ograniczanie osobistej wolności. Nowe rygory związane z godziną policyjną tylko to poczucie wyostrzyły.

Przez pięć dni miały miejsce wzniesienia pożarów, dewastowanie urzędów, burdy, włamania, demolowanie wnętrz, płądrowanie i grabież, ataki na osoby fizyczne – policjantów, niekiedy i na dziennikarzy. Atakowano czym popadnie, również kostkami wyrywającymi z bruku. Ruchliwe grupy napadały i na duże obiekty, jak dom towarowy, centralny dworzec, szpital. Próby wtargnięcia na teren szpitala spowodowały jego natychmiastowe zamknięcie i ustawienie straży; nadjeżdżające karetki kierowano do innych szpitali.

Sytuacja wymykała się spod kontroli mimo szybkiego blokowania dojazdów do ogarniętych zamieszkami miast (sieć komunikacji kolejowej jest tu bardzo gęsta). Policja nie była skuteczna w starciach z błyskawicznie przemieszczającymi się wśród zabudowy grupami; było natomiast



widoczne, że pojedynczych zatrzymanych traktuje z brutalnością.

Rozruchy objęły większość dużych miast (Rotterdam, Eindhoven, Amsterdam, Haga), ale najmocniej dotknęły Enschede. Zszokowany sytuacją w swoim mieście burmistrz, określił ją przed kamerami jako początek wojny domowej (z Enschede mam wciąż pamięci zagradzający ulicę wał usypany z rowerów). Głośne w kraju spalanie punktu testowania zakażeń wirusem komentowano jako „policzek wymierzony służbie zdrowia”. Bezpośrednią reakcją rządu była konsternacja.

Premier Mark Rutte zareagował szybko, ostro, jednoznacznie: to są czyny o charakterze przestępczym i tak właśnie będą przez rząd traktowane. Zatrzymani, kilkuset w skali kraju, mieli być sądzeni w trybie przyspieszonym.

Po pięciu, sześciu dniach gwałtowne ataki ustały. Atakujące grupy, określono (czy słusznie?) jako bezprogramowe, a tylko ogarnięte skierowaną przeciw policji chęcią niszczenia.

Siła tegorocznych rozruchów porównywalna być mogła tylko do siły wydarzeń sprzed lat ponad czterdziestu, z 30 kwiet-

nia 1980 roku, w którym amsterdamscy krakerzy (ang. *squatter*), w sposób skuteczny zaburzyli inaugurację królowej Beatrix. Mogę podzielić się wspomnieniami z okresu dwa lata późniejszego, kiedy to pamięć o Wielkiej Bitwie była wśród squatterów wciąż bardzo żywa.

Dzięki polskiej znajomej z instytutu historycznego, cieszącej się zaufaniem squatterów, zostałam im przedstawiona jako dziennikarz zza Żelaznej Kurtyny i w tej roli znalazłam się na chwilę w ich hermetycznym kręgu.

Moim przewodnikiem był J., student historii zajmujący pokój w mieszkaniu wspólnie wywalczonym w tzw. Czerwonej Dzielnicy (z wysokiego piętra oglądał szacowne postacie korzystające z usług prostytutek). To on zaproponował mi uczestnictwo w mającej się odbyć za kilka dni tzw. akcji. Tym razem chodziło o zajęcie usytuowanego w tej samej dzielnicy dawno opuszczonego klasztoru; squatterzy planowali przeznaczyć wnętrze na pracownię dla artystów.

Początkiem akcji była zbiórka uczestników w pokoju J., rano o szóstej, jeszcze w ciemnościach. Dzwonki do drzwi

rozbrzmiewały w sekundowych odstępach, pojawiały się ubrane na szaro lub czarno postacie, milczące, nie nawiązujące kontaktu, jakby nieobecne. Szybko doszliśmy do bramy muru okalającego klasztor. Uchyliła się, najpierw niedostrzegalnie, potem szerzej i osoby, które nocowały wewnątrz, przyjęły przyniesione przez nas przedmioty: siatkę pochodzącą z łóżka, stolik i krzesło – to co było potrzebne aby prawnie dom mógł zostać uznany za zamieszkały.

Wciąż czekaliśmy, aż pozwolono nam wejść. Obejrzelśmy klasztor („Jak ogrzać taką wielką przestrzeń?” – zastanawiał się J.), a potem w ogrodzie obie grupy w milczeniu piły na stojąco kawę przyszykowaną w termosach. Wychodząc, zobaczyliśmy przed bramą dwóch konnych policjantów. Ale nie wydarzyło się nic.

Przebieg tamtej akcji był przykładem świetnego wewnętrznego zorganizowania ruchu holenderskich squatterów (*kraakbeweging*). Popierany przez partię lewicową zamyka się latami 1975-1985. Ruch ten miał swoje apogeum właśnie 30 kwietnia 1980 roku, podczas historycznego przekazania następczyni tronu tytułu królewskiego. Ku zaskoczeniu policji squatterzy przedostali się na główny amsterdamski plac Dam, który około piętnastej zamienił się w pole bitwy. Dziesięcioletnie siły porządkowe usiłowały opanować chaos, ale do najbrutalniejszej konfrontacji między squatterami i żandarmerią doszło wcześniej, na Vondelstraat. Tam stały barykady, rozniesione następnie przez samochody pancerne. Pamiętam, że J. w imieniu squatterów wyraził dumę z tamtego dnia mówiąc: „Helikopter krążył nad miastem jeszcze trzy miesiące!”.

Towarzyszące pandemii kolejne miesiące 1. połowy roku 2021 dalekie są od jednoznaczności. Po fali gwałtownych zamieszek rozwinęły się formy „leniwego” oporu.

Od połowy stycznia co niedzielę na rozległym trawiastym placu Muzealnym (*Museumplein*) w Amsterdamie pojawiają się grupy demonstrantów; częściowo tych samych, nazywających siebie weteranami. Te demonstracje o prawicowym nastawieniu wyrażają i zmęczenie panepidemią i dezaprobatę wobec proponowanych przez władzę środków zaradczych. Szczególną niechęć wzbudza utrzymująca się godzina policyjna (z mandatem w wysokości 95 euro) oraz możliwość przyjmowania jednego tylko gościa dziennie.

Czy demonstracje te można uważać za sygnał narastającej ogólnej społecznej frustracji? Przekonania, że rząd premiera Rutte, sprawującego obecnie trzecią kadencję, źle prowadzi Holandię przez trzecią falę pandemii?

Ale u podłoża tych protestów tkwi też tradycyjne w Holandii umiłowanie swobody osobistej związane z poczuciem, że wolność ta jest od 2020 roku obywatelom Holandii krok po kroku odbierana.

„Miłość. Wolność. Precz z dyktaturą”, „Domagamy się zwrotu naszej wolności” – takie hasła widoczne były na demonstracji w Hadze z 14 marca 2021 roku.

Demonstracja ta była głośna ze względu na swój symptomatyczny dla obecnych demonstracji przebieg. Uzyskała zezwolenie, pod warunkiem, że liczba demonstrantów nie przekroczy dwustu. Było nieprawdopodobne, aby nie przekroczyła... kilka tysięcy, a zorganizowana była przez liczące 25 tys. zwolenników luźne ugrupowanie wzywające do oporu przeciw obecnemu rządowi („Nederland in Verzet, Weg met dit Kabinet”). Około szesnastej policja wezwała do rozejścia się, zatrzymano pociągi dojeżdżające do Hagi, drogi dojeżdżały autobusy, a żandarmeria wojskowa...

Lepiej nie mnożyć opisów coraz brutalniejszych sposobów rozpędzania demonstracji (z szarżami konnych oddziałów policji włącznie). Lepiej stawiać pytania, które podsumować można całościowym pytaniem: w jaką stronę zmierza Holandia? Jedno z pytań: dlaczego w kraju cieszącym się jednym z najwyższych poziomów wolności prasy, w 2020 roku nastąpił niemal potrójny wzrost gróźb i aktów przemocy wobec dziennikarzy?

Pytania zadają sobie korespondenci pracujący tu od lat i z poczuciem, że dobrze poznali Holandię... Dziennikarka niemiecka: „Niemcy nie mają idyllicznego obrazu Holandii, jednak byli zamieszkami zaskoczeni. Dlaczego w Niemczech niezadowolone płynie podziemnym nurtem, a w Holandii znajduje otwarty wyraz? Społeczne rozszerzanie się protestów to także coś co mnie zdumiewa”.

Dziennikarz belgijski I: „Godzina polityczna obowiązuje w Belgii, we Francji, ale tylko Holendrzy podnieśli otwarty bunt. Czy są bardziej niż inni Europejczycy nastawieni na osobistą wolność i nie lubią gdy rząd im dyktuje co mają robić?”.

Dziennikarz belgijski II: „Zamieszki były do przewidzenia, ale to co zwróciło moją uwagę to ich ekstremalna siła niszcząca i wyraźne skierowanie przeciwko policji. Zamieszki, które działy się w Brukseli miały inny wyraz...”.

Dziennikarz holenderski: „Wraz z nieoczekiwaniem długim, ponad rocznym doświadczeniem lockdownu, dochodzimy powoli do wniosku, że nie sprawdzamy się w narzuconych nam sztywnych regułach. Liczba zakażeń rośnie”.

Warto poczekać na społeczną i psychologiczną charakterystykę sprawców zamieszek, które objęły cały kraj. Wygłoszona bezpośrednio po nich jednozdaniowa refleksja psychologa społecznego brzmiała: „To ci, którzy czują się pozbawieni perspektyw życiowych”. **JOANNA PASZKIEWICZ-JÄGERS** ■



Interwencja policji podczas protestów na Malieveld w Hadze, 14 marca 2021 FOT. © WWW.SD.NL

Cywilizacja Zachodu na rozdrożach wartości

Od kilkudziesięciu lat znajdujemy się na zakręcie cywilizacyjnym, na rozdrożach wartości. Na diagnozę rewolucji kontrkulturowej '68 – siła, wektory, kadry – trzeba było długo czekać, w istocie do lat 90. Dopiero wtedy, jak w kalkomanii, zaczęły wyłaniać się tło, powiązania i konteksty. Kolejny, ostatni etap systemowej wojny z europejską filozofią państwa i prawa, porządkiem moralnym i społecznym, możemy zrekapitulować dość szybko, bo to jedynie dalszy ciąg tego, co stało się 40-50 lat temu, no i rozgrywa na naszych oczach.

ELŻBIETA

■ KRÓLIKOWSKA-AVIS



O ile wtedy najważniejszymi hasłami, które przewijały się przez wojenny front były anty-systemowość, pacyfizm, feminizm, prawa gejów i czarnej mniejszości (Black Panther Party), o tyle dziś, w kolejnej odsłonie, jedne wątki błędą, inne mutują, pojawiają się nowe. A więc żądania środowisk LGBT, które obejmują już nie 3 lecz 56 wariacji seksualnych. Nowe zjawisko *fuck cultura*, wszechobecne w brytyjskiej publicznej BBC oraz w polskiej TVN, *cancel culture* – światowy ruch próbujący przepisywać historię oraz unicestwić autorytety i dorobek cywilizacyjny czterech kontynentów czy „*revolutionary glamour*”. Ale uwaga: o ile kiedyś dominował marksizm w czystej XIX-wiecznej, „kapitałowej” formie, dziś zawartość terminu „lewicowość” zyskała nowy szlif. Jego inżynierowie dusz mają już nowy cel – nie jest to już kreowanie „nowego proletariatu, świadomego swoich praw”, lecz „wolnych atomów”, osobników bez tożsamości, labilnych, gotowych do zmian, nawet najbardziej dziwacznych i absurdalnych.

Pozostał rdzeń ideologiczny – neomarksizm, globalne ambicje oraz strategia i metody działania – rewolucji. Zatem terror, przekraczanie granic dopuszczalnych moralnością, prawem i obyczajami, rzeki krwi – są wpisane w DNA lewicy. Jeśli nie udaje im się przejąć władzy w sposób demokratyczny, zwykle sięgają po terror. Wystarczy spojrzeć na przykłady – sowiecka, meksykańska, hiszpańska wojna domowa, „chińska kulturalna”, „czerwoni khmerzy”, Angola, Mozambik... Już 250 lat temu w reakcji na wydarzenia za Kanalem La Manche, ojciec konserwatyzmu ewolucyjnego Edmund Burke w swoim dziele *Rozważania o rewolucji we Francji*, pisał:

„Rewolucja, to niedozwolone zerwanie ciągłości historycznej... Naród jest dziełem wielu generacji i żadna z nich nie ma prawa podejmować decyzji w imieniu pozostałych”. Twierdził także, że „potrzebna jest ciągłość struktur państwa, które ucieleśniają mądrość i doświadczenie pokoleń”. Pisał to, kiedy Francja spływała krwią swoich *les citoyens!* Konserwatyści stawiają na ewolucję, lewica na rewolucję. Przemoc, terror, zastraszanie, ucisk, represje, to jest jej logo, niejako znak firmowy.

Rewolucja Flower Power Generation miała swoich ideologów, przywódców, elity i... scenografię. Pierwsze skojarzenie – jak ilustracja piosenki California Dreaming. Kalifornia, komuna, długowłosi chłopcy w dżinsach, dziewczyny w powłóczystych sukniach z kwiatami we włosach, narkotyki, seks, dyskusje na bardzo wysokim poziomie abstrakcji, a gdzieś w tle piosenki Janis Joplin i Jima Morrisona. Ta sama kontrkulturowa rewolta przybrała inną postać we Francji – studenci, także z *middle class*, maszerujący ulicami Paryża z kostką brukową w rękę, protestujący przeciw nieruchawemu, etatystycznemu państwu i burżuazyjnej moralności (patrz: choćby filmy francuskiej *nouvelle vague*, nowej fali Godarda, Chabrola i Truffaut). W Wielkiej Brytanii – bardzo wyraźny akcent na wyzwolenie obyczajowe młodych spod wciąż ciasnego gorsetu wiktoriańskiej obyczajowości, formuły wychowywania dzieci i kształcenia młodzieży. Najwyraźniej „wajcha odbiła” w drugą stronę. Widać także odłam militancki, Frakcja Czerwonej Armii w Niemczech i Brigade Rosse we Włoszech. Zabójstwa, uprowadzenia, ataki na banki, posterunki i, pikantne, na koncert medialny Axel Springer „jako jeden z filarów kapitalistycznego systemu”. Widać doskonale, jak bardzo profil ideologiczny tego koncertu przesunął się w międzyczasie w lewo! Ciekawe, że najbardziej radykalne odłamy protestu

FPG pojawiły się w krajach, gdzie narodził się nazizm i faszyzm. Czy to coś znaczy, jeszcze nie wiemy. Nie wiemy także, dlaczego młodzież w Stanach Zjednoczonych, Francji czy Wielkiej Brytanii nie sięgnęła po kałasznikowy i koktajle Mołotowa, jak uczynili jej rówieśnicy z Niemiec czy Włoch.

Nie znamy do końca siatki zależności całej rewolty; ciekawa być może informacja o powiązaniach Frakcji Czerwonej Armii z międzynarodowym systemem czerwonego terroryzmu. Wsparcie finansowe służb specjalnych NRD, czyli Moskwy, oraz szkolenia w obozach w Jordanii i Gazie przez zaprawionych w akcjach terrorystycznych kolegów z Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Jak widać, pokolenie dzieci kwiatów w USA, Wielkiej Brytanii czy Niemczech nieco inaczej widziało swoje cele, ideały i potrzeby przystąpienia do radykalnych zmian. Toteż formy działania były różne, za to przekaz dokładnie ten sam.

Warto zwrócić uwagę na koincydencję dat. Rewolucja kontrkulturowa rozegrała się w 1968 roku na trzech kontynentach równocześnie, w Ameryce, przynajmniej trzech, czterech ośrodkach w Europie, i w Australii, głównie w Sydney. Wiadomo, za każdą z nich stoją siły, które ją finansują, dostarczają kadry, a po zwycięstwie biorą łupy. Kto wprowadził w ruch tę maszynę? Czy ruch Flower Power Generation był odgórnie sterowany, i gdzie było to źródło energii, sztab generalny, który powołał tę armię młodych ludzi do działania? A może wystarczyła luźna struktura, młodzież w tych czasach była już bardzo mobilna i płomień przemian szybko przemieszczał się z kontynentu na kontynent?

Tak czy inaczej idealizm młodzieży, brak doświadczenia i potrzeba buntu zostały wykorzystane przez lewicowych ideologów i proroków dla ich własnych celów. Udało im się nawet zamaskować podstawowe

paradoksy tego ruchu, w istocie wszystkich lewicowych szaleństw. Powołując się na pacyfizm, słynne hasło „*make love not war*”, wzywały do krwawych rozpraw, siejąc terror i strach. Paradoks drugi – w imię hasła „wolności, równości i braterstwa”, z którego Francuzi dotąd są tak dumni, kompletnie nie dostrzegali rozbratu między ideą a jej realizacją. Po prostu młodzi, w ferworze rewolucji, nie zadają pytań.

Oczywiście, ruch dzieci kwiatów, bez względu na odmianę, miał swoich ideologów i patronów. Krynica wiedzy, Alfą i Omegą, początkiem i końcem wszystkiego był oczywiście Karol Marks i jego *Kapitał*, choć bywało że podczas ulicznych manifestacji spotykało się banery z portretami Lenina. Założę się, że niewielu hipisów знаło treść tego potężnego woluminu, który był punktem odniesienia w dyskusjach politycznych, medialnych i akademickich, ale istniał raczej w przestrzeni symbolu, mitu. Oto kilka sloganów, którymi wówczas się posługiwano: „precz z kapitalizmem”, „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” i „sprawiedliwość dla mas pracujących”. Obawiam się, że w masowym obiegu był to cały przekaz.

Jednak rewolucja FPG miała swoich myślicieli, pedagogów i akademików. Guru amerykańskich uniwersytetów Ivy League, brytyjskich Ox-bridge, paryskiej Sorbony czy madryckiego Complutense. Pośród najważniejszych autorów ideologicznego pakietu dla rebelii '68 był niemiecki filozof – marksista, przedstawiciel szkoły frankfurckiej, ideolog Nowej Lewicy, Herbert Marcuse. Jego *Człowiek jednowymiarowy...* z 1964 roku, w którym krytykował „marksizm sowiecki” i polemizował z „marksizmem realnym”, cokolwiek by to miało znaczyć, zaproponował wybuchową w skutkach teorię, iż „robotnicy nie stanowią już dla zachodniego świata siły rewolucyjnej”. Pewnie nie jest przypadkiem, że rok później opublikował esej *Tolerancja represyjna*, która jest rozwinięciem poprzedniej myśli. Mówi zatem o „uzasadnionej dominacji niewielkiej, świadomej swoich celów i dobrze zorganizowanej mniejszości nad rozbitym, nie umiejącym bronić swojego systemu wartości społeczeństwem”. Jego książki podczas kontrrewolucji '68 były bardzo popularne, przedstawiały już bowiem rodzaj – jak nazywał to sam Marcuse – „marksizmu wolnościowego”, i bliżej mu było do „ucukrowanego marksizmu”, który potem stał się wygodnym alibi dla lewicowych kwietystów, których w latach 90. nazwano „lewicą kawiorową”. Oczywiście, wcale to nie znaczyło, że „lewica kawiorowa” straciła zęby i stała się mniej skuteczna w działaniu niż jej poprzednie formuły.

Dalej, bardzo ważny był filozof i teoretyk włoskiego komunizmu i autor *L'Ordine Nuovo* – tytułu nie trzeba tłumaczyć – Antonio Gramsci. A także niedoceniony w Europie, jeśli idzie o wpływ na przebieg całego procesu, filozof, lingwista i anarchista, twórca *After the Cataclysm...*, Noam Chomsky. Wykładowca kilku pokoleń amerykańskich studentów, który będąc już po tej „gorszej stronie siedemdziesiątki”, zaklinał się, że tylko lewicowa anarchia jest w stanie skutecznie obalić kapitalizm. Znajdujemy tu także Slavoję Žižka, Słoweńca, marksistowskiego filozofa, krytyka kultury i wykładowcę uniwersyteckiego, współautora, wraz z reżyserem Marthą Fienness, Perwersyjnego przewodnika po ideologiach, który mocno namieszał w głowach studentów Harwarda, Yale czy Oksfordu i Cambridge.

W latach 60. i 70. zasadniczą rolę, zwłaszcza jeśli idzie o indoktrynację kobiet, odegrały także liderki ruchu feministycznego i wykładowcy akademicki, Australijka Germaine Greer, autorka *The Female Eunuch*, Erica Jong i jej *Fear of Flying*, Amerykanka Kate Millet i *Sexual Politics*, Camilla Paglia, Fay Weldon i Andrea Dworkin, która w swoim dziele *Woman Hating* wykrzyczała swój protest przeciwko mężczyznom, opresyjnej rodzinie i patriarchacie. Interesujące, że już w latach 90. indywidualnie i grupowo odwoływały swoje wystąpienia z lat 60. i 70. Zwłaszcza na temat męskiej supremacji i „nowego niewolnictwa”, presji państwa i mediów na seks bez zobowiązań (patrz: artykuł w „Timesie” z 1998 roku pt. *Feminism? No, thanks, I am a modern woman*). Jednak karawana była już w drodze, kolejne generacje zindoktrynowanych kobiet pociągnęły ten wóz dalej i feminizm wtopił się w mainstream LGBT. Ostatnio Noam Chomsky zaprotestował przeciw cenzurze na platformach społecznościowych, ale znowu – zło się dokonało i on miał w tym procesie swój udział. Dziś mastodonty jak Chomsky, Greer czy Agnieszka Holland mogą się tylko łzawo skarżyć, że ich pomysły na reformę świata zostały wypaczone, a oni sami pozostawieni daleko za taborami.

A co w pakiecie? Cóż, idealizm rodzi się z naturalnego buntu przeciw niesprawiedliwości, ale jak bywa wykorzystywany, to już inna sprawa. Młodzi ludzie lat 60. i 70. chcieli zburzyć stary świat, jak niemal każda z kolejnych generacji. To ich guru sprawili, że zamiast studiować skrypty i uczyć się demokracji w kółkach naukowych, spędzali czas na ulicznych protestach przeciw kapitalizmowi i konsumpcyjnemu stylowi życia, które przemieniały się czasem w akty przemocy

i wandalizmu. Wciąż nie wiedzieli, czego chcą *post diluvium*. Ten świat miał być po prostu lepszy i sprawiedliwszy – i tylko ich duchowi przywódcy wiedzieli, że miał być lewicowo-liberalny; że ta rewolucja wcale nie jest „bezinteresowna”. Ofiarą miał być cały dotychczasowy, konserwatywny świat i jego mieszkańcy. Opowiadali więc o utopijnym społeczeństwie bezklasowym i zrównaniu praw obywateli do podziału dóbr i prawa jednostki do wolności i nieskrępowanej ekspresji. Młodzi wiedzieli wprawdzie, że idą na wojnę z państwem, tradycją i rodziną, ale wszystkie te dyskusje były na tak wysokim poziomie uogólnienia, że nie widać było stamtąd ani przemocy, ani ofiar. Sztukmistrze z uniwersytetów Ivy League i Ox-bridge głosili hasła pacyfizmu – bardzo korzystne dla wciąż zbrojącego się ZSRR, relatywizm, niszczący podstawowy duopol prawda – fałsz, permissywizm i hedonizm – pozbawianie woli i sumienia. Rozpoczęła się zonglerka wartościami i wyradzanie się demokracji w lewicową dyktaturę, przed którą przestrzegały political fictions jak huxleyowski Nowy Wspaniały świat czy orwellowski 1984, a znacznie wcześniej – Burke'owskie *Rozważania o rewolucji we Francji*.

Tymczasem lata płynęły, niemieccy terroryści z FCA popełniali w więzieniach masowe „samobójstwa”, hipisi z Kalifornii porzucili swoje komuny, paryscy studenci zeszli z barykad i wtopili się w establishment. Jedni i drudzy stanowią dziś nowe światowe elity władzy, że wskaże tylko na Hillary i Billa Clintonów, Teda Turnera, współzałożyciela CNN i jego byłą żonę, aktywistkę antywojenną Jane Fonde, reżysera i działacza politycznego Stevena Spielberga, byłego posła do Bundestagu Joschkę Fishera, mandarynów Unii Europejskiej Jean-Claude Junckera czy Guya Verhofstadta. Od tego czasu w wiek produkcyjny weszły dwa kolejne pokolenia – depozytariuszy nowych wartości. Oto okazało się, że rewolucja kontrkulturowa tak głęboko przeorała świadomość społeczną i struktury państwa, że już nic nie jest takie samo. Wieloletnie kontestowanie wartości, które stanowią bazę państwa, społeczeństwa i indywiduum – historia, tradycja, religia, szkoła, rodzina – doprowadziło do zachwiania się dotychczasowych modeli. Globalna lewica uznała konserwatyzm za zły spadek przeszłości i próbowała go wyrwać z korzeniami. Generacja FPG przeorała życie amerykańskiej i europejskiej demokracji tak gruntownie, że zmieniło się wszystko – od pakietu wartości, poprzez sposób uprawiania polityki do metod promocji sztuki.

Ciąg dalszy na s. 50 ►

► Ciąg dalszy ze s. 49

„Otwarty dialog”, „społeczeństwo otwarte”, „otwarty Kościół”, tyle, że otwarcie oznacza destrukcję i zniszczenie. Spójrzmy na zjawiska oboczne, a w istocie część tej *lefties' network*, lewicowej pajęczyny, która coraz ciśnień opłatywała ludzi, organizacje, instytucje. Laicyzacja społeczeństw, rugowanie tradycyjnych świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, kompromitacja duchownych poprzez nagłaśnianie przypadków pedofilii i sprzedawanie ich jako reguły raczej niż wyjątku. A hierarchowie anglikańscy i innych denominacji protestanckich nie ułatwiają wiernym życia. Ustupując pod naporem „nowoczesności”, wyświęcają księży-gejów na biskupów, kobiety na diakonów, a po każdym takim akcie tolerancji następuje kolejny rozłam we wspólnocie. Potężną rolę odegrały tu BBC, ze swoim kanałem BBC World News, CNN, CBS oraz wielkie europejskie i amerykańskie dzienniki. Mass media ochoczo wspierają ten proces, że przypomnę angielskie fabuły jak *Ksiądz Antonii Bird*, *Siostry magdalenki* Petera Mullana, *Liam* i *Tajemnica Filomeny* Stephena Frearsa. Doszło do tego, że już w 2010 roku tabloid „Daily Mail”, bodaj Stephen Glover, pisał: „atmosfera nagonki trwa, dziś już wstyd przyznać, że jest się chrześcijaninem”.

Dla Hollywood autorytetami są dziś nie John Wayne, Ronald Reagan czy choćby Arnold Schwarzenegger, ale agresywni demokraci George Clooney i Tom Hanks, Meryl Streep i Harrison Ford, Barbra Streisand i Leonardo DiCaprio. Na Wyspach Brytyjskich – Mike Leigh i Ken Loach, Emma Thompson i Rowan Atkinson, którzy nie ominą okazji, żeby popisać się nienawiścią do Donalda Trumpa, konserwatystów i chrześcijaństwa. Nowe platformy jak HBO i Netflix są równie politycznie agresywne i napędzane przez ideologię jak kino stacjonarne. Jako specjalista ds. brytyjskich ostentacyjnie nie oglądam serialu *The Crown*, filmów o młodych royalsach, czy o księżnej Dianie jak fabuła *Diana* z Naomi Watts, czy dokument *Diana: In Her Own Words*, antymonarchistyczne, manipulujące faktami i zakłamujące prawdę. W tzw. sektorze muzycznym, jeśli nie jest to techno, hip-hop czy gangsta rap, ton nadają nie idole – chrześcijanie, konserwatyści i działacze humanitarni jak Cliff Richard, lecz cyniczni i zdemoralizowani skandaliści jak Bob Geldof, Mick Jagger czy Bono, którzy nie wstydzą się wykorzystywać do własnej promocji nawet akcji charytatywnych jak „Africa First!”.

W ciągu ostatnich 25-30 lat zmieniła się ideologiczna mapa największych europej-

skich mediów. Stery państw, korporacji medialnych, organizacji pozarządowych przejęła generacja ex dzieci kwiatów, produkt indoktrynacji lewicowych myślicieli; wektor myślenia o państwie, rodzinie, społeczeństwie przesunął się w lewo. Przejmowanie mediów w Europie i Ameryce odbywało się w rozmaity sposób – zakładanie korporacji „bastionów postępu” jak Ted Turner i CNN, wykupywanie przez bogatsze grupy medialne jak Guardian Group – wyważoną do niedawna gazetę niedzielą, czytowaną jeszcze przez Jane Austen – „Observera”. Najczęściej jednak odbywało się to – jak francuski „Le Monde”, niemiecki „Die Welt” czy hiszpański „El Pais” – metodą *step-by-step*, dokonując wrogiego przejęcia i powoli zmieniając profil dziennika. BBC stała się bojówką postępu, a epidemia wirusa lewicowości nie ominęła także brytyjskiego „Timesa” i „Sunday Timesa” australijskiego magnata prasowego Ruperta Murdocha. Być może nie w tym samym stopniu co wyżej cytowane, jednak na oczach jednego pokolenia, pejzaż światopoglądowy wielkich mediów zmienił się – od pluralizmu do lewicowo-liberalnego monopolu.

Związki zawodowe w Wielkiej Brytanii, Francji, Włoszech czy Hiszpanii zawsze były „czerwone” podobnie jak większość organizacji pozarządowych, tradycyjnie sponsorowanych przez potentatów finansowych, którzy serca mają po lewej stronie. No i jeszcze jeden segment, zawłaszczony przez nowe siły, samorządy. Od trzydziestu lat obserwowałam w Wielkiej Brytanii, na Zachodzie przejmowanie samorządów, by toczyć z rządem konserwatystów – gdyby taki się zdarzył – wojnę o pryncypia i pieniądze. Zjawisko to od kilku lat obserwujemy także w Polsce. Kiedy ruchy studenckie przeinaczały się w nowy lewicowy ład, dołączyła wielka finansjera, stara jak Rockefellerowie, Rotschildowie, Vanderbildtowie, a ostatnio nowa, „komputerowi milionerzy” jak Bill Gates, Mark Zuckerberg, Jan Kim. Spójrzmy na listy „Forbesa” najbogatszych ludzi świata – pierwsza piętnastka od góry, to lewica, a wielu z nich, to faktyczni sponsorzy postkomunistycznej inwazji na świat. Komunizmu przez Zachód oswojonego, zmutowanego, nie bez powodu nazywanego „lewicą kawiorową”, z którego pozostały jedynie logo, bezwzględność i pragmatyzm.

Warto wspomnieć także o jeszcze jednym zjawisku, które światowa lewica wymyśliła, aby zakonserwować stary układ. Obok *fuck culture*, *cancel culture* i paru innych pomysłów w dziedzi-

nie inżynierii społecznej, mamy „*revolutionary glamour*”. Uniwersytety, media, kultura masowa próbują z jednej strony ocalić od zapomnienia, z drugiej „glamoryzować” lata 60. i 70., oraz heroizować ich bohaterów. Życiu przeciwstawiają legendę, manipulują faktami, uczłowieczają i usprawiedliwiają swoich terrorystów. Marks, Che Guevara, Fidel Castro, Nelson Mandela do dziś obecni na beretach, koszulkach i plakatach, wszyscy oni mają w swoich życiorysach ciemne karty, które upycha się głęboko w talię, i które co jakiś czas wysypują się na oczach zdumionych widzów. W całym tym procederze chodzi oczywiście o resentymenty, ten „czas niewinności i walki” – ale także o przekazanie tego toksycznego i często kompromitującego spadku młodym lewakom z całego świata w możliwie atrakcyjnej formie.

Dzisiejsza liberalna lewica, to rodzaj sieci, coraz bardziej ciasnej i krępującej, funkcjonowanie państw i instytucji, związków i stowarzyszeń, zagarnia coraz więcej dziedzin ludzkiego życia. Tak czy inaczej, chodziło o obalenie dawnego porządku moralno-prawnego, wykreślenie ze społecznej pamięci chrześcijaństwa i konserwatyzmu jako alternatywy, zniszczenie tożsamościowej pamięci o narodzie i historii, tradycji i dobrych obyczajach. W najnowszej swojej publikacji, która wkrótce będzie dostępna na półkach księgarskich, chcę ukazać ostatnie pięć lat zaciskania się tej sieci? pętli na szyi? na wszystkich polach aktywności państw narodowych i ich mieszkańców.

Coraz widoczniejszy i bardziej odczuwalny jest czerwony terror, pojawianie się nowych zjawisk – neo-marksizm, zjednoczony ruch LGBT, gendryzm i jego idea „płci kulturowej”, *fuck culture*, *cancel culture*, „*revolutionary glamour*”... Przykłady, które przywołuję pochodzą z terenu Polski, gdzie spędziłam większość życia, Wielkiej Brytanii, gdzie przez 26 lat mieszkalam i pracowałam oraz paru innych krajów, gdzie bywałam. Stąd i tytuł książki *Cywilizacja Zachodu na rozdrożach wartości*. Polska, Wielka Brytania, świat.

Nie jest tajemnicą, że wiele z tych procesów rozegrało się najpierw na Zachodzie, także w Wielkiej Brytanii, mogłam więc je dostrzec z pewnym wyprzedzeniem, sygnalizując polskiej opinii publicznej. Jeśli te uwagi – na temat procesów, zachodzących podczas ostatnich 40-50 lat, tradycji myśli konserwatywnej, pewnych rozwiązań demokratycznych – pozwolą jaśniej i klarowniej zrozumieć przebieg wypadków, będzie to dla mnie, autorki najwyższa satysfakcja.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS ■

Ojciec polskiej ortopedii

RADOSŁAWA
PIENIĘŻNA-GRABOWSKA



Wbieżącym roku mija 140. rocznica urodzin Ireneusza Wierzejewskiego – lekarza, profesora Uniwersytetu Poznańskiego, senatora, którego zasługi dla polskiej ortopedii są nie do przecenienia – określanego mianem ojca polskiej ortopedii.

Przyszł na świat 23 marca 1881 roku na ziemi wielkopolskiej, w Kozłowie koło Opałenicy, w którym jego ojciec był leśniczym. Pierwszą edukację młody Ireneusz odbiera w Buku, kończąc tam szkołę podstawową. W roku 1892 rozpoczyna naukę w Królewskiej Wyższej szkole Realnej w Poznaniu. Po jej ukończeniu praktykuje przy obróbce metali, drewna i odlewnictwa w ówczesnej fabryce maszyn Hipolita Cegielskiego w Poznaniu. Właśnie wtedy ujawniają się jego talenty manualne, które okażą się wielce pomocne w przyszłości.

Po maturze (1903) Wierzejewski zastanawia się nad studiami medycznymi. Będąc mieszkańcem zaboru pruskiego, naukę również musi kontynuować na terenie Niemiec. Wybiera więc uczelnię w Greifswaldzie, by przenieść się zgodnie z ówczesnym zwyczajem, na uniwersytet w Berlinie, a później w Würzburgu. Ostatecznie kończy studia w 1908 roku na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Monachium uzyskując tytuł lekarza.

Zaczyna pracę w Berlińsko-Brandenburskim Zakładzie Lecznico-Wychowawczym dla Kalek, prowadzonym przez

znanego już wówczas prof. Konrada Biesalskiego. W szczególności zajmuje się leczeniem dzieci, dotkniętych gruźlicą kości, skrzywieniami kręgosłupa i dysfunkcją kolan. Dokonuje tam pierwszych nowatorskich, przeszczepów ścięgien, a także konstruuje pierwszy stół operacyjny.

Rok 1910 to data znacząca, zarówno pod względem naukowym, jak i w jego życiu prywatnym. Otrzymuje tytuł doktorski na Uniwersytecie w Lipsku oraz żeni się z Walentyną Ślęzyk. „Dziennik Poznański” donosił: „We wtorek 18 b.m. odbył się ślub



Ireneusz Wierzejewski, 1916

FOT. © ATELIER RUBENS W POZNANIU



Dyplom doktorski, 1910

FOT. © ARCHIWUM RODZINNE

wspomnieć, że „uczta odbyła się w poznańskim hotelu Bazar [w którym kilka lat później rezyduje Ignacy Paderewski], a pieniądze otrzymane od gości nowożeńcy przekazują na Teatr Poznański”.

W następnym roku w Poznaniu zostaje otwarty pierwszy szpital, a dokładnie zakład dla niepełnosprawnych dzieci. Właśnie w tym czasie przypadek sprawia, że poznaje Helenę Gąsiorowską, bogatą właścicielkę ziemską, dotkniętą chorobą Hainego-Medina. Przeznacza ona ogromną sumę na stworzenie w Poznaniu placów-

ki ortopedycznej. Tym sposobem powstaje, nie bez problemów ze strony władz pruskich, pierwsza klinika ortopedyczna na tych ziemiach. Ostateczne jej otwarcie następuje jednak dopiero w kwietniu 1913 roku. Ireneusz Wierzejewski zostaje naczelnym lekarzem i jej dyrektorem. W pierwszych dziesięciu latach działalności przyjęto tam ponad 12 tys. małych pacjentów, których nie tylko operowano, rehabilitowano, ale także w ukryciu uczono języka polskiego.

Wierzejewski po latach wspominał: „Powstała zatem jedyna pod zaborem pruskim instytucja sanitarna, na którą pomimo najszczerzej chęci rząd pruski nie miał wpływu”. Z kolei jego asystent

Michał Grobelski pisze: „Doktor Wierzejewski był jednym z niewielu w Europie przedstawicieli nowej dziedziny medycyny – ortopedii, a w Poznaniu i całym zaborze pruskim – jedynym”.

Wybuch I wojny światowej zmienia jego życie. Wojsko niemieckie przejmuje Zakład Ortopedyczny i przekształca go w Szpital Forteczny, natomiast Ireneusza Wierzejewskiego mianuje szefem i doradcą ortopedą. W czasie wojny operuje wraz z zespołem ponad 4 tys. żołnierzy przywiezionych z frontu.

Praca w szpitalu pozwala mu zorientować się w różnych (poza medycyną) aspektach, w szczególności na zasobach i zaopatrzeniu medycznym armii pruskiej, co okaże się wielce przydatne po wybuchu Powstania Wielkopolskiego. Działa już w tym czasie za plecami Prusaków, w konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej zaboru pruskiego.

Ciąg dalszy na s. 53 ►

Na sali operacyjnej – prof. Wierzejewski pochylony nad stołem operacyjnym



Członkowie Korporacji „Chrobria”; Ireneusz Wierzejewski w mundurze generalskim



Zakładanie gorsetu gipsowego



Ze współpracownikami w Zakładzie Ortopedycznym prof. Biesalskiego

Pogrzeb prof. Wierzejewskiego; kondukt żałobny wyruszający spod Poznańskiego Zakładu Ortopedycznego



► Ciąg dalszy ze s. 51

Jesienią 1918 roku zakłada wraz z trzema innymi osobami Czerwony Krzyż Polski w Poznaniu. Prawie natychmiast zaczyna on prowadzić kursy kształcące pielęgniarzy i sanitariuszy.

W grudniu tego samego roku wstępuje w szeregi powstańców wielkopolskich i „z marszu” zostaje naczelnym chirurgiem w Głównym Szpitalu Fortecznym, a już 4 stycznia 1919 roku Komisarjat Naczelnej Rady Ludowej mianuje go Naczelnym Lekarzem Powstańców Wielkopolskich. Od teraz organizacyjnie odpowiada za całą służbę medyczną w Wielkopolsce. 1 lutego dowódca Powstania Wielkopolskiego gen. Józef Dowbor-Muśnicki zatwierdza go na stanowisko inspektora sanitarnego, tworzącej się Armii Wielkopolskiej. 8 maja awansuje na generała.

Pod koniec marca 1920 roku Wierzejewski przechodzi na front wschodni, zostaje szefem sanitarnym I Armii Wojska Polskiego. Niestety, w lipcu tegoż roku pojawiają się pierwsze problemy kardiologiczne. Wobec pogarszającego się stanu zdrowia otrzymuje urlop i wraca do Poznania. Tam cały czas pomaga przy dostawach sprzętu sanitarnego na front wschodni. Organizuje też pomoc żywnościową i sanitarną dla uczestników III powstania śląskiego.

Tuż po powrocie do Poznania, wraca do pracy w Poznańskim Zakładzie Ortopedycznym. Skupia się także na pracy naukowej; praca habilitacyjna nosi tytuł O przyrodzonych zmianach kręgosłupa. W kwietniu 1923 roku zostaje mianowany profesorem nadzwyczajnym ortopedii i powołany na stanowisko kierownika pierwszej w Polsce Uniwersyteckiej Katedry i Kliniki Ortopedii. U jego boku kształcą się znani i wybitni później lekarze: Franciszek Raszeja i Wiktor Dega.

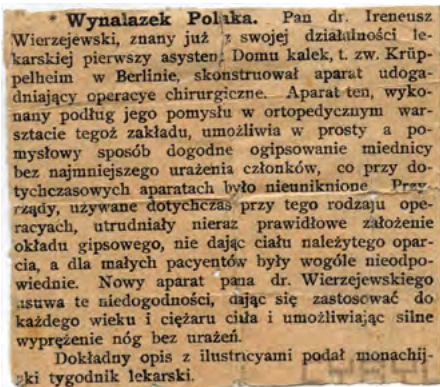
Kolejne lata to rozszerzenie *spectrum* wykonywanych zabiegów przywracających sprawność ruchową, w tym operacje kończyn i kręgosłupa. Eksperymentuje między innymi z nowatorskimi, jak na ówczesne czasy, metodami zabezpieczającymi protezy przed wysuwaniem. Metoda opierała się na wytworzeniu tzw. pętli powiazowo-stawowej. Udoskonala protezy ręki i dłoni pod kątem przydatności w życiu codziennym zwłaszcza w pracy. Przeprowadza operacje kręgosłupa. Jednym z większych przedsięwzięć (obejmujących lata 1925-1929) staje się budowa, na własnym terenie, domu rehabilitacyjnego, składającego się z kilku pawilonów dla dzieci niepełnosprawnych w Chartowie.

Na szczęście, praca zawodowa, zostawia Ireneuszowi Wierzejewskiemu też trochę czasu na inne zainteresowania. Zakła-



Ireneusz Wierzejewski z żoną Walentyną, córkami Izabelą i Janiną oraz synem Jędrzejem, 1928 FOT. © ARCHIWUM MW-K

da w Poznaniu Korporację Akademicką Chrobria, której członkowie wywodzili się głównie ze zdemobilizowanych oficerów Wojska Polskiego, podejmujących studia na Uniwersytecie Poznańskim. Pisze tekst satyryczny do kabaretu lekarskiego, parafrazę ballady Adama Mickiewicza Powrót Taty oraz tekst dla Towarzystwa Pomocy Naukowej pt. Rozwój opery włoskiej. Pojawia się też epizod w postaci śpiewu w poznańskim chórze „Echo”.



Udaje się mu zrealizować także kilka podróży, między innymi do Montecatini w Toskanii, Wenecji i Florencji, w Alpy, a nawet do Palestyny. Wyjazdy te dają więcej możliwości spędzenia czasu z rodziną, wówczas już z trójką dzieci Izabelą, Jędrzejem i Janiną. Jeżdżą nad morze „do Sopot” – jak wówczas się mówiło, w góry – do Zakopanego, Szczawnicy czy Szklarskiej Poręby.

W 1928 roku prof. Ireneusz Wierzejewski inicjuje powstanie Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego, którego zostaje pierwszym prezesem.

Działalność na niwie społecznej, w tym starania o objęcie opieką i ubezpieczeniem osób niepełnosprawnych, mają wpływ na otrzymanie mandatu senatora z ramienia Narodowo-Państwowego Bloku Pra-

cy. W Senacie należy do klubu BBWR. Wszystkie jego wystąpienia nacechowane są troską o osoby niepełnosprawne. Wnosił o powołanie katedr ortopedii na wszystkich polskich uczelniach, założenie w większych miastach, przynajmniej dla dzieci, zakładów leczniczo-wychowawczych, umożliwienie tym dzieciom nauki i zapewnienie opieki psychologicznej. Zabiegał również o utworzenie punktów pośrednictwa pracy dla niepełnosprawnych.

Niestety, nie doczeka realizacji swoich planów. W trakcie powrotu z Warszawy, 8 marca 1930 roku, po kolejnej konsultacji i leczeniu swoich problemów kardiologicznych, ma miejsce wypadek samochodowy, w którym zostaje ciężko ranny. Przetransportowany zostaje z powrotem do Warszawy, lecz pomimo starań lekarzy nie udaje się go uratować. Umiera tego samego dnia.

Uroczysty pogrzeb, z przemarszem konduktu spod Auli Uniwersyteckiej w Poznaniu na cmentarz, odbył się 13 marca 1930 roku.

Obecnie grób profesora znajduje się na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan na Wzgórzu Świętego Wojciecha w Poznaniu. Dwa wielkopolskie miasta, Poznań i Opałenica uhonorowały ojca polskiej ortopedii nadając nazwy ulicom. Jego imię nosiło również, zlikwidowane w 2010 roku, Wielkopolskie Centrum Ortopedii i Chirurgii Urazowej (dawn. Poznański Zakład Ortopedyczny im. Bronisława S. Gąsiorowskiego) na poznańskim Łazarzu.

Ireneusz Wierzejewski był ciekawą osobowością. Łączył bowiem cechy humanisty i ścisłowca, pisał teksty i konstruował – wyprzedzając swoje czasy – protezy kończyn. Był szalenie ambitny i kreatywny. W ciągu 49 lat życia zostawił po sobie spory dorobek naukowy w dziedzinie polskiej ortopedii i coś jeszcze ważniejszego – wzór lekarza.

RADOSŁAWA PIENIĘŻNA-GRABOWSKA ■

Adolf Hitler. Koniec Legendy część 2

■ PETER RAINA



Po podporządkowaniu sobie wszystkich niezależnych zrzeszeń społecznych Adolf Hitler stosował wobec oponentów we własnych szeregach partyjnych brutalny terror. Sprawę „zdrajców” szczególnie w SA załatwił błyskawicznie w ciągu jednej nocy z 29 na 30 czerwca 1934 roku. Na rozkaz Führera zostali oni rozstrzelani przez pluton egzekucyjny działający pod dowództwem Seppa Dietricha, szefa osobistej gwardii Führera. Dzień później rozstrzelany został (również na rozkaz Hitlera) szef SA Ernst Röhm, od dawna bliski jego towarzysz.

Złoczyńca odnosi sukcesy

2 sierpnia 1934 roku zmarł 86-letni prezydent republiki, Paul von Hindenburg. Według konstytucji następca powinien być wybrany w wyborach powszechnych. Tak się jednak nie stało. Gabinet kanclerza ustalił 2 sierpnia, że funkcje prezydenta oraz kanclerza Rzeszy zostaną powierzone Führerowi i kanclerzowi Rzeszy Adolfowi Hitlerowi, który jest „władny wybrać swych pełnomocników”. Można powiedzieć, że właśnie w tym dniu narodziła się Trzecia Rzesza.

Rzeszę Niemiecką Hitler sklasyfikował następująco: Pierwsza Rzesza to „Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego” od 962 do 1806 roku; Druga Rzesza to „państwo Bismarcka” od 1871 do 1918 roku; a Trzecia Rzesza to hitlerowska „Wielka Rzesza Niemiecka”. Szczególną cechą charakterystyczną Trzeciej Rzeszy był totalitaryzm, a jego zwolennikiem wszechwładny prezydent, kanclerz i Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych w jednej osobie. Charakterystyczną cechą tej polityki jest m.in. szybki rozwój zbrojeń. Hitler położył nacisk na wynalezienie nowej technologii budowy czołgów, samolotów i okrętów podwodnych. Prywatne koncerny przemysłowe miały inwestować w produkcję syntetycznego paliwa i chemicznych produktów potrzebnych do produkowania amunicji. Niemieckie siły zbrojne miały być najlepsze na świecie.

Dynamiczny rozwój zbrojeń służyć miał zlikwidowaniu bezrobocia. Rzeczywiście w ciągu roku, od momentu zdobycia władzy przez Hitlera, liczba bezrobotnych spadła z 6 do 3 mln, a produkcja przemysłowa wzrosła o 13 proc. To, że gospodarka rozwijała się w pożądanym kierunku było zasługą powołanego przez



Adolf Hitler na dożynkach w Bückeburg koło Hameln, 30 września 1934. FOT. © NAC

Hitlera na stanowisko szefa Ministerstwa Gospodarki fachowego ekonomisty i byłego kierownika Centralnego Banku Rzeszy Hjalmara Schachta, zwanego „finansowym architektem” Führera. Schacht był zwolennikiem gospodarki rynkowej i zdobył zaufanie przedstawicieli wielkiego przemysłu. W krótkim czasie zahamował inflację i obniżył liczbę bezrobotnych.

Kolejnym, ważnym zamierzeniem była reorganizacja sił zbrojnych. Powołano Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych (OKW), na którego czele stanął Führer. Jego najbliższymi doradcami mianowani zostali oficerowie Wilhelm Keitel (późniejszy feldmarszałek) i Alfred Jodl (późniejszy generał). Stworzone zostały również: Naczelne Dowództwo Armii (OKH), Naczelne Dowództwo Marynarki Wojennej (OKM) i Naczelne Dowództwo Sił Powietrznych (OKL). Hitler sam sprawuje nadzór nad siłami zbrojnymi (Wehrmacht), owe siły mają w niedalekiej przyszłości – według jego założeń – walczyć i osiągać zwycięstwa.

Do zrealizowania tego celu Hitler potrzebuje czasu, dlatego nie ryzykuje jeszcze żadnych eskapad. Wręcz przeciwnie, daje do zrozumienia, że jest zwolennikiem pokojowego współistnienia i rozbrojenia! Wyciąga przyjazną rękę w kierunku Włoch, Francji, Anglii i Polski. W prywatnych rozmowach z ambasadorami i politykami zagranicznymi zachowuje się bardzo kurtuazyjnie, stwarza pozory, udaje szczerość. Ale to tylko pozory, w rzeczywistości Hitler przygotowuje się do wojny totalnej. Ogłoszony w 1936 roku Plan Czteroletni przewidywał przygotowa-

nie się do wojny w ciągu czterech lat. Już w marcu Hitler ryzykuje pierwszą eskapadę; bataliony niemieckie wkraczają do Nadrenii, nie zważając na wyznaczoną w Wersalu zdemilitaryzowaną strefę. Była to pierwsza próba wykonania zadania według zasady wypracowanej przez Goebbelsa: „Gwarancją sukcesu jest zaskoczenie”. Hitler był pewny, że ani Francja, ani Anglia nie są w stanie sprzeciwić mu się militarnie. Tak też było. Do odważnych świat należy, mawiał Goebbels.

Swoje prawdziwe zamiary Hitler ujawnił w ściśle tajnej rozmowie z dowódcami sił zbrojnych 5 listopada 1937 roku. Obecni byli: Werner von Blomberg i Werner von Fritsch (wojsko), Hermann Göring (lotnictwo), Erich Raeder (marynarka). W rozmowie udział brał minister spraw zagranicznych, Konstantin von Neurath. Protokół z tego posiedzenia napisany został przez płk. Friedricha Hossbacha. Hitler zaznaczył, że jego głównym celem jest jednym uderzeniem pobić Austrię i Czechosłowację, później Polskę, jeszcze później Związek Radziecki. Sprawą decydującą, powiedział, będzie „czynnik zaskoczenia i błyskawiczne tempo naszej akcji”. Stwierdził, że interwencja militarna ze strony zarówno Francji, jak i Anglii nie wchodzi w rachubę, ponieważ mają one własne problemy i są słabe. Inne sprawy przez niego toczzone zostaną również rozwiązane przy użyciu siły.

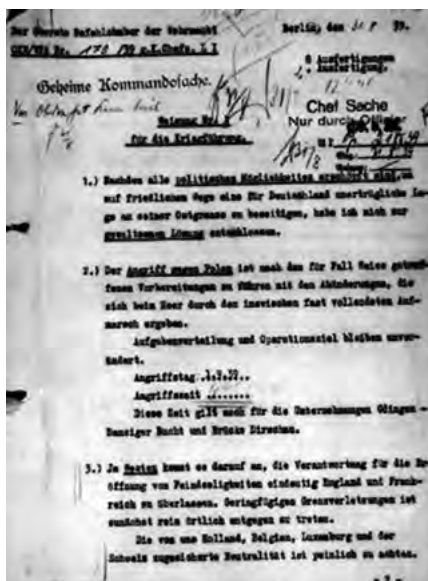
Problem Austrii i Czechosłowacji rozwiązał Hitler, co prawda, pod groźbą użycia siły, ale do zbrojnych konfrontacji nie doszło. Mógł powiedzieć w Wiedniu 15 marca

1938 roku: „Jako kanclerz państwa i wódz narodu niemieckiego oznajmiam teraz wobec historii przyłączenie mojej ojczyzny do Rzeszy Niemieckiej”. Francja i Anglia wystosowały jedynie ustny protest. Sprawa przyłączenia do Rzeszy czeskich Sudetów miała już być początkiem wojny. Hitler napisał nawet w maju 1938 roku testament na wypadek, gdyby miał zginąć podczas działań wojennych. Do wojny nie doszło. Wszystkie żądania Hitlera zostały spełnione 29 września 1938 roku w Monachium przez premierów Wielkiej Brytanii (Chamberlaina), Francji (Daladiera) i Włoch (Mussoliniego).

Osobę Hitlera trafnie ocenił ambasador Francji w Berlinie, André François-Poncet, po spotkaniu z kanclerzem 18 października. Hitler, pisał ambasador, „jest zdolny do najgorszych szaleństw, najdziśszych uniesień i najbardziej szalonych ambicji”, bywają dni, „gdy stojąc przed mapą świata niszczy narody, burzy kontynenty, historię i geografę, jak oszalały demiurg” (A. François-Poncet, Souvenirs d'une ambassade de Berlin, septembre 1931 – octobre 1938, Paris 1946, s. 348; cyt. za: M. Steinert, Hitler, Wrocław 2001, s. 294). Przebieg nadchodzących wydarzeń udowodnił, że ambasador miał rację. Hitler okazał się nie tylko człowiekiem dzikim, ale przede wszystkim krwiożerczym.

Po Austrii upadła Czechosłowacja. Zdarzyło się to w nocy z 14 na 15 marca 1939 roku, kiedy czeski premier Emil Hacha, zaproszony do Berlina na rozmowę z Hitlerem, podpisał (pod groźbą zbombardowania Pragi) przygotowany przez Hitlera dokument mówiący, iż oddziały niemieckie nie napotkają żadnego oporu przy wkroczeniu do Pragi. W dniu następnym Hitler ogłosił w Pradze powstanie Protektoratu Czech i Moraw pod zwierzchnictwem Rzeszy. Przeciw tej akcji Hitlera rządy Anglii i Francji złożyły 18 marca jedynie pisemny protest w Berlinie, nic więcej.

Według ustalonego porządku następną ofiarą miała stać się Polska. Hitler domagał się powrotu Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy i przeprowadzenia przez Polskę eksterytorialnej autostrady i wielotorowej linii kolejowej należącej do Rzeszy. Stawiając swoje wymagania wobec Polski Hitler zastosował najpierw metodę kija i marchewki, później posunął się do szantażu i zastraszenia. Ale tym razem nie osiągnął swego celu. Minister spraw zagranicznych Polski Józef Beck okazał się człowiekiem silniejszym od Führera. Wielka zasługa Becka polegała na tym, że udało mu się otworzyć oczy brytyjskiego premiera Chamberlaina co do właściwych zamiarów Hitlera. Chamberlain przekonał się, że trzeba będzie poskromić ambicje Hitlera.



Oficjalne zarządzenie o ataku na Polskę 1 września 1939 roku o godz. 4.45, które Adolf Hitler podpisał w przeddzień o godz. 12.40

31 marca złożył deklarację w Izbie Gmin, że rząd brytyjski natychmiast udzieli Polsce pomocy w wypadku zagrożenia jej niepodległości. Deklaracja ta była niebezpiecznym sygnałem dla Hitlera, stała się również początkiem jego upadku. Główną przyczyną tego upadku było jednak przeciwstawienie się Becka żądaniom hitlerowskim, podczas gdy większość polityków Europy wybrała program „ustępstw”.

Nieugięta postawa J. Becka doprowadziła Hitlera do szału. Już 1 kwietnia wydał tajny dekret, że zamierza odizolować Polskę i ją zniszczyć. Zrobił to przy pomocy Stalina. Dnia 23 sierpnia podpisany został układ o nieagresji między Trzecią Rzeszą i Związkiem Sowieckim. Najważniejszą częścią układu był dodatkowy tajny protokół, który pozostawiał Morze Bałtyckie, wschodnią granicę Polski i południowo-wschodnią Europę w strefie wpływów sowieckich, a zachodnie i północno-

-zachodnie granice Polski jako obszar wpływów Niemiec. Hitler w ostatniej chwili, 31 sierpnia, próbował jeszcze raz użyć szantażu wobec ambasadora Polski w Berlinie Józefa Lipskiego, podobnie postąpił w marcu z czeskim premierem. Pomylił się jednak. Ani Lipski nie dał się wyprowadzić z równowagi w Berlinie, ani Beck w Warszawie.

Wrzesień '39

O świcie 1 września 1939 roku Trzecia Rzesza zaatakowała Polskę. Dwa dni później Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Co prawda kraje te znalazły się teraz w stanie wojny z Rzeszą, ale nie podjęły działań zbrojnych. Polskę pozostawiono samą wobec potężnego ataku niemieckiej armii, który nastąpił ze Śląska, Pomorza, Prus Wschodnich i Bałtyku. Polską jednak walczyła, dała bohaterski przykład samotnej walki z nazizmem. 17 września wojska sowieckie dokonały zdradzieckiej agresji na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej Polskiej. Do końca października 1939 roku Trzecia Rzesza i Związek Sowiecki podzieliły między siebie polskie. Okupanci Polski, zarówno naziści, jak i bolszewicy, prowadzili podobną politykę: politykę niszczenia wszelkich śladów polskości.

Armia polska dzielnie walczyła z napastnikiem. Żołnierz polski wiele razy dowiódł swego bohaterstwa. Wykazał siłę woli, kiedy świadomy potęgi czołgu stawał do walki. Odwaga Polaków tak rozzłościła Hitlera, że rozkazał 25 września zbombardować Warszawę. Bomby zapalające nie tylko niszczyły stolicę, ale powodowały ogromne straty wśród ludności cywilnej. Dowódca wojskowy (a nie rząd polski) poddał się 1 października. Później Polska została podzielona między Niemcy i ZSRR. Ludność została sterroryzowana przez obu okupantów.

Ciąg dalszy na s. 56 ▶

Adolf Hitler pozdrawia swoje wojska pod Ubieszynem,
15 września 1939 FOT. © NAC



► Ciąg dalszy ze s. 55

Na Zachodzie na razie panował spokój. Ani Francja, ani Anglia nie ruszyły do boju przeciwko Niemcom. Hitler był przekonany, że sytuacja dalej będzie się rozwijać po jego myśli. Nadal prowadził „podwójną” politykę. 6 października wystąpił w Reichstagu z pokojową propozycją, pod ręką miał już jednak plany operacyjne pokonania Francji i rzucenia „na kolana” Wielkiej Brytanii jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Sytuacja się trochę zmieniła, gdy 30 listopada Sowieci zaatakowali Finlandię. Agresja sowiecka wywołała ostrą reakcję na Zachodzie. Hitler liczył na militarną konfrontację między Anglią i Rosją. Na początku lutego 1940 roku Anglicy i Francuzi opracowali projekt dotyczący pomocy dla Finlandii. Rozmysłano o wysłaniu ekspedycyjnych sił przez port norweski, Narwik. Nie doszło do tego, gdyż 13 marca Finlandia zawarła pokój z Rosją. Anglicy postanowili zmusić Szwecję, aby wstrzymała dostawy rudy żelaza do Niemiec. Ponieważ transporty do Niemiec kierowane były przez Narwik, Anglicy zamierzali wylądować w tym porcie, uzasadniając swoją akcję argumentem, że będą prowadzić wojnę tam, gdzie uznają to za stosowne.

Hitler uprzedził Wielką Brytanię. 9 kwietnia oddziały niemieckie wkroczyły do Danii i Norwegii. Narwik został zdobyty. Duńczycy poddali się już w dniu następnym. Do konfrontacji z marynarką brytyjską doszło na morzu. Niemcy napotkali na zacięty opór w Norwegii, nie trwał on jednak długo. Król norweski i jego rząd ewakuowali się do Anglii. Hitler znalazł współpracownika, przewodniczącego Partii Jedności Narodowej, Vidkuna Quislinga.

W czasie gdy Dania i Norwegia znalazły się już pod okupacją hitlerowców,

w Londynie miało miejsce historyczne wydarzenie. Od 10 maja urząd premiera Wielkiej Brytanii zaczął piastować Winston Churchill. Owo wydarzenie sygnalizowało upadek Hitlera. Celem Churchilla było całkowite i bezwarunkowe zniszczenie Hitlera. Premier brytyjski był doskonałym znawcą sztuki wojennej, wypróbowanym politykiem i dyplomata wysokiej klasy. Był w dodatku mistrzem retoryki i miał wolę silniejszą od Hitlera.

Churchill już dużo wcześniej odkrył prawdziwe oblicze Hitlera. Dlatego też już w latach 30. nieustannie spierał się o uzbrojenie, wiedząc doskonale, że Hitler może być zatrzymany jedynie siłą. Podejrzenia Churchilla zostały zignorowane. Anglia była zbyt słaba, kiedy Hitler i jego dobrze uzbrojona armia była już gotowa do opanowania Europy. Wykorzystując słabość Anglii Hitler zdecydował się wpierw pokonać Holandię, Belgię i Francję. Zrobił to błyskawicznie. Armia holenderska skapitulowała 15 maja,

armia belgijska 28 maja 1940 roku. Kampania Wehrmachtu we Francji trwała zaledwie miesiąc. Już 20 czerwca Paryż prosił o zawieszenie broni. Rozmowy o kapitulacji Francji rozpoczęto na polanie w Rethondes w pobliżu Compiègne, dokładnie tam, gdzie 11 listopada 1918 roku Niemcy podpisały akt kapitulacji. Na początku rozmów Hitler był obecny, nic nie powiedział, ale miał satysfakcję, że zemścił się na Francji za upokorzenie Niemiec w 1918 roku.

Powrócił do Berlina 6 lipca. Został triumfalnie powitany przez uradowaną ludność berlińską. Keitel nazwał go „największym strategiem wszechczasów”. Rzeczywiście był „największym zbrodniarzem wszechczasów”. 19 lipca ponowił w Reichstagu propozycję zawarcia pokoju z Wielką Brytanią. Propozycję tę Anglicy natychmiast odrzucili. Jodl miał już przygotowany plan, który miał doprowadzić do zniszczenia angielskiego lotnictwa i sparaliżowania gospodarki przez odcięcie morskich dróg zaopatrzenia oraz nękania ludności bombardowaniem miast. Później niemieckie oddziały bojowe miały lądować na wyspie brytyjskiej. Tak przedstawiała się operacja „Lew Morski” – plan inwazji na Wielką Brytanię. Masowe bombardowania angielskich miast rozpoczęły się 7 września i trwały kilka tygodni. Bitwę powietrzną jednak Niemcy przegrali, i decyzja o inwazji na Wielką Brytanię została odwołana. Była to pierwsza porażka Hitlera. Zaczął obmyślać inną strategię, żeby zmusić Anglię do ustępstw. Nowy plan opierał się na osłabieniu pozycji Anglii w basenie Morza Śródziemnego, w Afryce Północnej i w imperium brytyjskim. Trzeba było działać etapami.

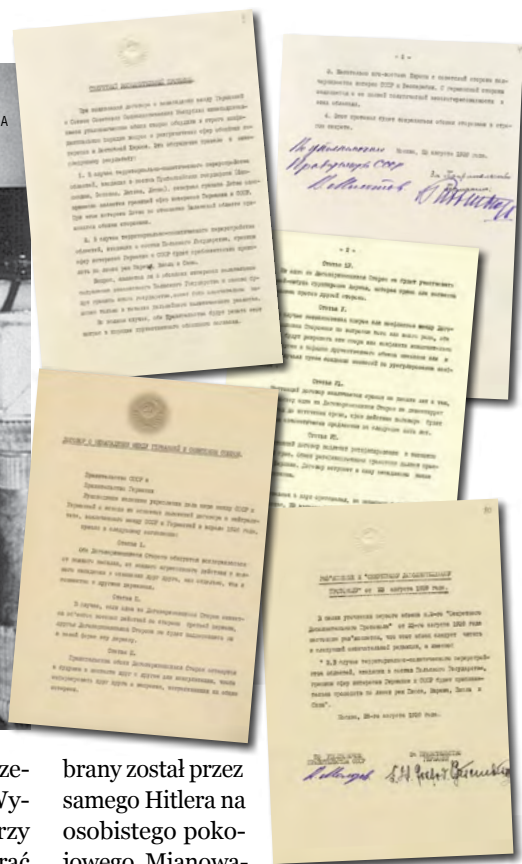
Pierwszym etapem było zawarcie pod koniec września „paktu trzech”, układu między Niemcami, Włochami i Japonią. Niemcy i Włochy miały odegrać przewodnią rolę w Europie, a Japonia w Azji.



Adolf Hitler wkracza do Gdańska,
19 września 1939 FOT. © ÖNB / DOMENA PUBLICNA



Podpisanie paktu Ribbentrop – Molotov,
Moskwa, 23 sierpnia 1939 FOT. © DOMENA PUBLICZNA



Udział Japonii w „pakcie” odpowiadał założeniom globalnej strategii Hitlera. Nie wykluczał on konfrontacji zarówno z Rosją, jak i z Ameryką.

Drugi etap opierał się na ukształtowaniu się „bloku kontynentalnego” w Europie, aby całkowicie podważyć pozycję Anglii na kontynencie europejskim. Do tego „bloku” (oczywiście pod hegemonią Niemiec) należeć miały, Niemcy, Włochy, Francja, Hiszpania, Bułgaria, Rumunia i Węgry oraz kraje bałkańskie, Jugosławia i Grecja.

Włochy od czerwca 1940 roku były aktywnym partnerem Niemiec w działaniach wojennych. Mussolini dążył do podzielenia się łupem w krajach bałkańskich i w północnej Afryce. W kwietniu 1941 roku pobite zostały Jugosławia i Grecja, a 22 czerwca oddziały Wehrmachtu (wspierane kontyngentami węgierskimi, włoskimi i słowiańskimi) wkroczyły do ZSRR. Już w pierwszych godzinach samoloty sowieckie zostały zniszczone na lotniskach, a atakujące jednostki posuwały się błyskawicznie w głąb Rosji z północy, środka i południa. Dziesiątki tysięcy żołnierzy sowieckich wzięto do niewoli, a z okupowanym społeczeństwem Niemcy obchodzili się z wielkim okrucieństwem. Na południu 19 września poddał się Kijów; 665 tys. jeńców sowieckich zostało wziętych do niewoli, zdobyto 884 czołgi. Na północy na początku grudnia Niemcy stanęli pod Moskwą. Wielkie opady śniegu i silny mróz zahamowały ofensywę niemiecką. Rosjanie tymczasem rozpoczęli kontrofensywę.

Sprawy wojenne przybrały korzystny obrót, szczególnie dla Churchilla, kiedy 7 grudnia Japonia zaatakowała flotę amerykańską w Pearl Harbor. Stany Zjednoczone Ameryki wypowiedziały wojnę Japonii, a Niemcy Stanom Zjednoczonym. Wojna,

do tej pory przeważnie europejska, przekształciła się w konflikt światowy. Wykorzystał to Churchill. Mógł teraz przy pomocy USA zrealizować swój cel: wygrać z Hitlerem wyścig zbrojeń. Konieczne było zwiększenie produkcji uzbrojenia: czołgów, okrętów i samolotów bojowych. Dopóki Hitler miał przewagę militarną, dopóty wojna będzie się przeciągać. Potrzebne były prawie trzy lata, żeby fala się odwróciła. W tym czasie Hitler był bezspornym panem Europy. Panowanie Hitlera polegało nie tylko na sprawowaniu totalitarnych rządów w Europie, ale także na „ostatecznym rozwiązaniu” problemu Żydów europejskich. Do wykonania tego zadania linię działania ustalił szef bezpieczeństwa Reinhard Heydrich na konferencji w Wannsee, która się odbyła 20 stycznia 1942 roku.

Ludzie na dworze Führera

Zatrudniony przez Hitlera 1 stycznia 1925 roku do załatwiania jego osobistych spraw Julius Gregor Schaub stał się po-wiernikiem Hitlera. Schaub urodził się 20 sierpnia 1898 roku w Monachium. Podczas I wojny światowej służył w armii niemieckiej jako sanitariusz; został ranny. Wstąpił do NSDAP w 1920 roku i brał aktywny udział w puczu 1923 roku. Skazany został w kwietniu 1924 roku na 1,5 roku więzienia w twierdzy Landsberg. Zwolniono go 31 grudnia 1924 roku. Schaub był jedynym człowiekiem, którego Hitler darzył całkowitym zaufaniem. Znał wszystkie intymne i osobiste sprawy Hitlera; jedynie on miał klucz do jego pancерnej szafy.

Kamerdynerem Hitlera był Heinz Linge, urodzony 23 marca 1913 roku w Bremen. Z zawodu był murarzem. W roku 1931, mając 20 lat, wstąpił do SS Leibstandarte Adolf Hitler. 24 stycznia 1935 roku wy-

brany został przez samego Hitlera na osobistego pokojowego. Mianowano go SS-Untersturmführerem w 1939, SS-Obersturmführerem w 1941 i SS-Sturmbannführerem w lutym 1945 roku.

Osobistym adiutantem Hitlera od stycznia 1943 roku był Otto Günsche. Urodził się 24 stycznia 1917 roku w Jenie. Wstąpił do SS-Leibstandarte Adolf Hitler w 1934, został mianowany SS-Obersturmführerem w 1943 roku.

Stałym szoferem Hitlera od 1936 roku był Erich Kempka, urodzony 16 września 1910 roku w Oberhausen. Z zawodu był elektrotechnikiem. Od 1932 roku był członkiem SS-Begleitkommando Hitlera.

Führer miał do dyspozycji cztery sekretarki. Najstarszą z nich w urzędzie kanclerza Rzeszy była Johanna Wolf, zwana przez Hitlera „Wolferl”. Urodzona 1 czerwca 1900 roku w Monachium Wolf ukończyła szkołę zawodową, a potem jako wielbicielka Hitlera wstąpiła do NSDAP. Od 1 listopada zatrudniona została na stanowisku maszynistki w Kancelarii Partii, a od 1933 roku pracowała jako sekretarka w osobistym biurze Führera. Druga z kolei sekretarka nazywała się Emile Christiane Schroeder, urodziła się 19 marca 1908 roku w Münden koło Hannoveru. Miała dyplom stenotypistki. Zatrudniona została w osobistym biurze Hitlera w grudniu 1933 roku. Trzecia – Gerda Daranowski, zwana „Dara”, urodziła się 13 grudnia 1913 roku w Berlinie. Mając 24 lata rozpoczęła pracę w biurze kanclerza Rzeszy (1937 rok). Wyszła za mąż za oficera SS gen. Eckharda Christiana (pracującego w kwaterze głównej Führera).

Ciąg dalszy na s. 58 ▶

► Ciąg dalszy ze s. 57

Najmłodsza sekretarka — Gertraud Junge, z domu Humps, urodziła się 16 marca 1920 roku w Monachium. Rozpoczęła pracę w Kancelarii Führera 1 września 1942, a od 30 stycznia 1943 roku zatrudniono ją na stanowisku sekretarki. Dnia 19 czerwca 1943 roku wyszła za mąż za ordynansa Hitlera Hansa Hermanna Junge, który 13 sierpnia 1944 roku poległ na polu walki.

Wszystkie sekretarki, bardzo dobre stenotypistki, były oddane Hitlerowi. Przez całą dobę, w każdym miejscu były do dyspozycji Führera. Mieszkały w Berlinie, w specjalnie dla nich wybudowanych mieszkaniach na Hermann Göring strasse, blisko Kancelarii Rzeszy. Gdziekolwiek znajdowała się główna kwatery Führera, zawsze któraś z sekretarek była obecna. Służyły one Führerowi do ostatniej godziny jego życia.

O zdrowie Hitlera troszczyli się tak zwani osobiści lekarze. Pierwszym z nich był dr Karl Brandt, urodzony 8 stycznia 1904 roku. Specjalizował się w chirurgii. Wstąpił do NSDAP w roku 1932, wtedy też poznał Hitlera. W marcu 1934 roku ożenił się z Anni Rehorn (ur. 25 sierpnia 1904), znaną niemiecką pływaczką, znajomą Hitlera od 1925 roku. Świadcami na ślubie byli Hitler i Göring. W lecie 1934 roku Hitler mianował Brandta swoim osobistym lekarzem. W tym roku Brandt otrzymał rangę SS-Unterscharführera, a w kwietniu 1944 roku awansował na Generalleutnanta Waffen SS.

Od sierpnia 1944 roku działał jako Reichskomisar ds. Higieny i Służby Zdrowia, ale we wrześniu Hitler zwolnił go z funkcji osobistego lekarza. Powodem usunięcia były wątpliwości, które Brandt wyraził w kwestii metod leczenia Hitlera przez drugiego lekarza, dr. Theodora Morella. W kwietniu 1945 roku Hitler oskarżył Brandta o defetyzm, ponieważ wysłał swoją żonę do Bawarii bez zgody Führera. Skazano go na śmierć z rozkazu Hitlera, ale uratowała go interwencja Alberta Speera. Po zakończeniu wojny Brandt został oskarżony w Norymberdze o udział w prowadzeniu badań medycznych na więźniach w obozach koncentracyjnych. Skazano go na karę śmierci 20 sierpnia 1947 roku. Został stracony przez powieszenie 2 czerwca 1948 roku w więzieniu Landsberg.

Doktor Werner Haase, urodzony 2 sierpnia 1900 roku, był z zawodu chirurgiem. Do SS wstąpił w kwietniu 1934 roku. Był przyjacielem Brandta, na którego polecenie powołano go do sztabu Hitlera. Został mianowany SS-Sturmführerem w 1935, SS-Obersturmführerem w 1938 i SS-Obersturmbanführerem w 1943 roku. W kwietniu 1945 roku kierował szpitalem w Kancelarii Rzeszy. Kontrwywiad sowiecki

zatrzymał go 2 maja w Kancelarii i wziął do niewoli. Haase zmarł w Moskwie pod koniec 1945 roku.

Doktor Hans-Karl von Hasselbach, urodzony 2 listopada 1903 roku także był chirurgiem. Do SS wstąpił w sierpniu 1934 roku i jako zastępca Brandta pracował w sztabie Führera od 1936 roku. Był stałym lekarzem towarzyszącym Führerowi od września 1942 do września 1944 roku. W październiku 1944 roku został razem z Brandtem zwolniony przez Hitlera z pełnionych obowiązków z powodu sprawy Morella.

Doktor Theodor Morell, urodzony 22 czerwca 1886 roku, studiował medycynę na uniwersytetach w Giessen, Heidelbergu, Grenoble, Paryżu i Monachium. Pracę dyplomową obronił w 1913 roku na uniwersytecie w Monachium. Był lekarzem ogólnym. Prowadził prywatną praktykę w Berlinie. Do NSDAP wstąpił w roku 1933. Hitler poznał go w maju 1936 roku w Monachium w domu wspólnego znajomego, fotografa Heinricha Hoffmanna. Od 1936 do 22 kwietnia 1945 roku Morell był osobistym lekarzem Führera i dbał o jego zdrowie, aplikując mu różne tabletki i zastrzyki. Morell regularnie prowadził dziennik, notując w nim przebieg leczenia Hitlera.

Doktor Erwin Giesing, urodzony 7 grudnia 1907 roku, był laryngologiem. Jako SA-Obersturmbannführer (1936) należał do sztabu Hitlera od 20 lipca 1944 do października 1944 roku.

Po zwolnieniu Brandta zastąpił go dr Ludwig Stumpfegger, urodzony 11 lipca 1910 roku. Do SS wstąpił w roku 1933, awansował na SS-Obersturmbannführera w 1943 roku. Był zaufanym lekarzem Himmlera, który na początku października 1944 roku polecił go Führerowi.

Doktor Hugo Blaschke, urodzony 14 listopada 1881, dentysta Hitlera od 1933 roku. Do SS wstąpił w 1935 roku, awansował na Generalmajora Waffen SS w 1944 roku. Asystentką dr. Blaschkego była Käthe Heusermann.

Kobiety w życiu Hitlera

Hitler miał wiele wielbicieli i kilka kochanek. Wzbudza zaciekawienie fakt, że prawie każda, z którą utrzymywał stosunki intymne lub z którą był uczuciowo mocno związany popełniła samobójstwo.

Pierwsza kochanka Hitlera miała na imię Emilie. Prawdopodobnie poznał ją jeszcze przed rokiem 1914. Prawie nic o niej nie wiemy. Drugą swoją kochankę poznał prawdopodobnie w Alzacji, dokąd latem 1917 roku wysłano jego pułk na wypoczek. Była nią osiemnastoletnia Francuzka, Charlotte Lobjoies, z którą podobno miał dziecko. Urodziła chłopca, Jeana-Marie Loreta. Hitler nigdy się do tego nie przyznał.

Powszechnie znana i prawdziwa jest historia Hitlera i Angeli Raubal, zwanej Geli. Była ona córką przyrodniej siostry Hitlera, Angeliki Raubal (z domu Hitler). Hitler bardzo kochał Geli, która w 1929 roku zadomowiła się w jego mieszkaniu na Prinzregentenplatz 16 w Monachium. Często chodzili razem do teatru czy do opery. Hitler był o nią zazdrosny, kontrolował wszystkie jej ruchy i znajomości. Dnia 18 września 1931 roku Geli popełniła samobójstwo, strzelając do siebie z pistoletu wujka Adolfa w jego mieszkaniu. Hitler był bardzo dotknięty samobójstwem Geli. Od tego czasu stał się wegetarianinem. Przyznał się kiedyś w prywatnej rozmowie swojej sekretarce, że Geli była jedyną osobą, z którą by się ożenił.

O tym, dlaczego Geli popełniła samobójstwo opowiada Anni Winter, gospodyni Hitlera od 1 października 1929 roku do końca jego życia. Geli rzekomo była zazdrosna o Ewę Braun, którą Hitler poznał w 1929 roku. Pewnego dnia podczas nieobecności Hitlera w jego mieszkaniu, Geli znalazła w kieszeni jego płaszcza kartkę od Ewy Braun z podziękowaniami „za piękny wieczór”. Wyraziła też nadzieję na rychłe z nim spotkanie. To właśnie pani Winter odkryła ciało Geli leżące na szezlongu.

Ewa Anna Braun, kobieta elegancka, rozumna, trochę może infantylna urodziła się 6 lutego 1912 roku w Monachium. Została ochrzczona w Kościele katolickim. Kształciła się w klasztorze dla dziewcząt, uczęszczała do liceum i ukończyła szkołę handlową w 1928 roku. Rok później rozpoczęła pracę najpierw u lekarza dla kobiet, a potem w zakładzie fotograficznym Heinricha Hoffmanna, przyjaciela Hitlera. Tam w październiku 1929 roku Ewa Braun mając lat 17 poznała czterdziestoletniego Hitlera. Od końca 1930 roku Ewa i Hitler regularnie się spotykali.

Ewa była szalenie o niego zazdrosna. Po raz pierwszy próbowała odebrać sobie życie 1 listopada 1932 roku. Czuli się zlekceważona przez Hitlera. Drugą próbę podjęła wieczorem 28 maja 1935 roku. Od trzech miesięcy (zanotowała Ewa w swoim dzienniku) nie usłyszała ani jednego słowa od swojego kochanka. Rozumiem — napisała — że ma problemy polityczne, ale mógł znaleźć „parę miłych słów dla mnie”. „Boję się, że w tym coś innego tkwi. Ja nie jestem winna. Na pewno nie” (Zapis Ewy Braun z 28 maja 1935; zob. Marina E. Gunn, Eva Braun-Hitler. Leben und Schicksal, Velbert u. Kettwig 1969, s. 78; Eva Braun — Die verborgene Geliebte, [w:] Anna Maria Sigmund, Die Frauen der Nazis, Wien 1998, s. 160). Połknęła 25 tabletek nasennych. Uratowała ją starsza siostra Ilse. Przypuszczenia Ewy były słuszne.

W tym czasie Hitlera fascynowała 21-letnia piękna Angielka Unity Mitford, która od pewnego czasu była zaślepioną wielbicielek Hitlera i jego ideologii. Hitler bardzo ją lubił. Jednak gdy dowiedział się o tym, że Ewa jeszcze raz próbowała popełnić samobójstwo, zaczął bardziej o nią dbać. Kupił jej w 1936 roku mały domek, ale mogła go często odwiedzać w jego prywatnej rezydencji w górach – Berghof w Obersalzbergu. Stała się tam prawie panią domu, miała do dyspozycji samochód marki Mercedes z szoferem, osobną sypialnię obok sypialni Hitlera. Mogła prowadzić takie życie towarzyskie, jakie chciała. Bywały u niej w Berghof siostry i przyjaciółki. Właśnie tu młodsza siostra Ewy, Margareta, zwana Gretl, poznała oficera SS należącego do sztabu Hitlera, Hermanna Fegeleina, za którego wyszła za mąż w czerwcu 1944 roku.

Hitler nigdy nie pokazywał się z Ewą na oficjalnych spotkaniach. Ich wspólne życie było tajemnicą dworu. Ewa była osobą bardzo wesołą, pełną humoru; lubiła tańczyć i słuchać muzyki. Mało interesowała się polityką. Zawsze była elegancko ubrana, kilka razy dziennie zmieniała ubranie. Zawsze miała uczesane włosy i wypielegnowane ciało. Uprawiała sport. Chętnie przeglądała żurnale o modzie i czyła powieści kryminalne. Interesowała się najnowszymi filmami. Była właścicielką dwóch terierów, z którymi często bywała na spacerze, i jednego gila, którego nauczyła nucić piosenkę. Rzadko odwiedzała Führera w Berlinie. Miała zarezerwowane dwa pokoje obok prywatnych pokoiów Führera w Kancelarii Rzeszy. Bardzo kochała Hitlera. Wyszła za niego za mąż 29 kwietnia 1945 roku i dobrowolnie popełniła samobójstwo razem z nim w dniu następnym.

Inge Ley, atrakcyjna blondynka z bardzo niebieskimi oczami, z zawodu tancerka i aktorka, wyszła za mąż w 1938 roku za Roberta Leya, kierownika ds. organizacyjnych NSDAP. Robert Ley należał do dworu Führera. Inge Ley była bardzo zakochana w Hitlerze, który odwzajemniał to uczucie. Inge i Robert Ley byli częstymi gośćmi Hitlera w Berghof. Pod koniec 1943 roku Inge Ley odebrała sobie życie. Jej śmierć Hitler przyjął z wielkim bólem. Po śmierci żony Robert Ley zakochał się w bardzo ładnej blondynce z długimi nogami, Madelaine Wanderer, pochodzącej z Estonii tancerce opery berlińskiej. Mówiło się, że Robert Ley zakochał się w Madelaine, bo była bardzo podobna do jego zmarłej żony, Inge.

Wielką wielbicielek Hitlera była żona Josepha Goebbelsa, Magda – nimfomanka i morderczyna w jednej osobie (zob. Magda Goebbels – Die erste Dame des Dritten Reichs, [w:] Anna Maria Sigmund, Die Frauen der Nazis, op. cit., s. 73-74, 77). Johanna



Adolf Hitler z rodziną Goebbelsów w Kehlsteinhaus, 23 października 1938. Fot. © Bundesarchiv

Maria Magdalena Ritschel urodziła się 11 listopada 1901 roku w Berlinie jako nieślubne dziecko służącej Auguste Behrend. Niewiele później matka wyszła za mąż za bankiera Oskara Ritschela. Rozwiodła się, gdy Magda miała trzy lata, i po raz drugi wyszła za mąż za fabrykanta, Żyda, Friedländera. Podstawowe wykształcenie Magda otrzymała w klasztorze sióstr urszulanek. Po opuszczeniu klasztoru fascynowała się filozofią buddyzmu. Za mąż wyszła w styczniu 1921 roku za fabrykanta, milionera Günthera Quandta, który był 20 lat od niej starszy. W listopadzie 1921 roku urodziła syna Haraldą.

W roku 1928 poznała przebywającego w Berlinie rosyjskiego Żyda, syjonistę, Chaima Vitaly Arlosoroffa, z którym nawiązała intymne stosunki. Kilka razy przerywała ciążę; stała się zwolenniczką syjonizmu. Rozwiodła się w 1929 i do NSDAP wstąpiła w 1930 roku. Pracowała jako sekretarka w urzędzie miejskim w Berlinie, gdzie poznała Goebbelsa i, później, Hitlera – w 1931 roku. Podobno Hitler się w niej zakochał. Przyznał się prywatnie, że Magda jest dla niego drugą Geli i może odegrać wielką rolę w jego życiu. Wiadomość ta dotarła do Magdy przez wspólnego znajomego, człowieka starszego rangą w NSDAP, dr. Wagnera. Aby mieć Magdę stale blisko siebie, Hitler

zlecił Goebbelsowi poślubienie Magdy. Ślub odbył się w grudniu 1931 roku. Hitler był świadkiem. Magda przyznała się prywatnie, że wyszła za mąż za Goebbelsa tylko dlatego, że bardzo kochała Führera i chciała być blisko niego (zob. Miłość dla Hitlera, [w:] Leni Riefenstahl, *Memorien*, Monachium 1987, s. 20; znana aktorka i reżyserka filmowa Leni Riefenstahl była wspólną znajomą Hitlera i Magdy Goebbels). Hitler był stałym gościem u Goebbelsów.

Magda Goebbels urodziła sześcioro dzieci. Pierwsze dziecko, dziewczynka Helga urodziła się 1 września 1932, druga Hilda – 13 kwietnia 1934 roku. W październiku 1934 roku Hitler podarował Magdzie pierścionek z własnoręcznym podpisem: „Adolf Hitler 29 X 1934”. Rok później urodził się syn Helmut – 2 października 1935 roku. Potem przyszły na świat jeszcze trzy dziewczynki: Holde (19 lutego 1937), Hedda (5 maja 1938) i Heide (29 października 1940). Magda oddała cześć Hitlerowi w ten sposób, że wybrała imiona dla swoich dzieci zaczynające się na literę „H”.

Magda Goebbels popełniła samobójstwo 1 maja 1945 roku. Zanim odebrała sobie życie, zabiła wszystkie swoje dzieci. O tej sprawie będzie jeszcze mowa...

CDN.

PETER RAINA ■



Książka dr. Petera Rainy pt. *Adolf Hitler. 1945. Koniec Legendy*, już w księgarniach w Polsce. Ukazała się w 2020 roku nakładem warszawskiego Wydawnictwa Capital. Istnieje możliwość zamówienia bezpośrednio o wydawcy: Capital, 01-926 Warszawa, ul. Kwitnąca 5/6 tel. +48 533 496 436, e-mail: sklep@capitalbook.pl

Zbrodnia w Gardelegen



14 kwietnia 1945 roku Amerykanie wkroczyli do Gardelegen, a dzień później odkryli ślady masakry. W ciągle jeszcze tłęcej się stodołę i wykopanych w pobliżu rowach znaleźli zwłoki 1016 więźniów. Podczas ekshumacji okazało się, że stan w jakim znajdują się ciała, uniemożliwia zidentyfikowanie większości zamordowanych. Alianci ustalili nazwiska zaledwie czterech osób, a na 301 krzyżach umieścili numery obozowe. Udało się im ponadto rozpoznać narodowość 186 ofiar. Większość z nich stanowili Polacy, ale było też sporo Rosjan i Francuzów oraz jeden Meksykanin. Jedenastu więźniów odnaleziono żywych – siedmiu Polaków, trzech Rosjan i jednego Francuza. Zeznania ocalańców zostały zebrane i opublikowane przez Melchiora Wańkowicza w 1969 roku, w książce *Od Stopców po Kair*.

FOT. © MUSEUMSVERBAND SACHSEN-ANHALT E.V.



FOT. DOMENIA PUBLICZNA



ZBRODNIARZE
Z GARDELEGEN



Rudolf Jordan (1902-1988)



Gerhard Thiele (1909-1994)



Erhard Braun (1913-1950)

Niemieckie stodoły śmierci

BOHDAN URBANKOWSKI



Niedziele i dni świąteczne oznaczamy w naszym kalendarzu czerwonią, powszednie – czernią. Tę datę powinno się oznaczać kolorem szarym, a właściwie popielatym – żeby kojarzyła się z popiołem. Z ludzkim popiołem.

13 kwietnia 1945. Gardelegen. Człowiek współczesny, gdy chce sprawdzić jakąś informację na ogół szuka jej w Internecie. Idę tym tropem. Po wystukaniu słowa Gardelegen na ekranie komputera wyskakują najpierw oferty pracy, następnie reklama hoteli, potem hasło encyklopedyczne po angielsku. Zjawia się wreszcie tekst w języku polskim: „Szukam pracy w restauracji jako kucharz lub pomoc kuchenna. Mam 31 lat, 8 lat doświadczenia w kuchni polskiej. Bez nałogów”. Autorem jest zapewne ktoś, kto chce się zacząć w Gardelegen. Na pewno warto.

Hansestadt Gardelegen

Piękne, kolorowe miasteczko, ratusz porośnięty winoroślą, zabytkowa rzeźba Rolanda. Niepokój wnosi nutka z jego XX-wiecznej historii. Po angielskiej zjawia się także polska. Teksty różnią się minimalnie – mówią o tym samym wydarzeniu: „15 kwietnia 1945 żołnierze posuwającej się na wschód 102 Dywizji Piechoty IX Armii Stanów Zjednoczonych natknęli się w miejscowości Gardelegen na wypaloną murowaną stodołę. Okazało się, że znajdują się w niej spalone i osmalone zwłoki 1016 jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych. Co się tam wydarzyło? Dnia 13 kwietnia 1945 jednostka SS umykająca przed Sowietami i prowadząca ich [więźniów] w «marszu śmierci» ze wschodu, natknęła się na amerykańskie czołwki i postanowiła usunąć zbędny «balast». Około 1 100 więźniów spędzono do stodoły z sianem, podlano benzyną i podpalono. Na wprost wrót stodoły ustawili się SS-mani z bronią maszynową, granatami, panzerfaustami i dobijali tych, którym udało się jakimś cudem wydostać z płonącego budynku».

Dziesięć najbardziej przerażających linijek jakie zna piśmiennictwo. Wędrowka po portalach internetowych i po rzadko przeglądanych książkach pozwala uzupełnić notatkę o dodatkowe szczegóły i sprostować kilka niedokładnych informacji: stodoła nie znajdowała się w Gardelegen, lecz prawie pięć kilometrów od miasteczka. Żołnierze 4 batalionu, 405 pułku, 102 dywizji piechoty



FOT. DOMENA PUBLICZNA

rzeczywiście maszerowali do Gardelegen. Zeszli z drogi zobaczywszy z daleka długi budynek, z którego wydobywały się kłęby dymu. W powietrzu unosił się straszny odór – smród rzeźni połączony ze spalenizną. Na ziemi zobaczyli coś, co jeden z żołnierzy wziął za zebłą, dziwnie małą, jeszcze się ruszała. Leżącym stworem okazał się więzień kacetu w pasiaku, Francuz. W niezbyt zbornych słowach zaczął opowiadać o swojej ucieczce. Nie bardzo rozumieli, nie bardzo chcieli wierzyć. Dali mu wody, nakarmili krakersami, poczęstowali batonikiem. Więzień zjadł to wszystko łapczywie – po chwili nie żył.

Kawałek dalej – znów więzień, znów serdeczności, poczęstunek i znów śmierć. Wreszcie nadbiegł jakiś oficer i zabronił podawać cokolwiek napotykanym kacetowcom. Żołnierze podeszli pod stodołę i tuż przy niej ujrzeli rów częściowo wypełniony zwłokami. Któryś z nich zauważył ręce i głowy wystające spod osmalonych wrót, nie wytrzymał, zaczął wymiotować.

Późniejsze rozmowy z kilkoma ocalonymi, a także zeznania paru schwytanych esesmanów pozwoliły na rekonstrukcję wydarzeń.

Organizacja śmierci w Gardelegen

Większość ofiar przywieziono z KL Mittelbau-Dora, wysadzono w pobliżu Gardelegen,

gdyż tory zostały zbombardowane. Kacetowców umieszczono najpierw w stajniach Szkoły Jazdy, potem przegnano do stodoły majątku Isenschnibbe, za miastem. Był to potężny silos o wymiarach 45 m długości, 18 szerokości, 7 wysokości. W piątek 13 kwietnia zapędzono tam kacetowców, uprzednio stodołę wypełniono do wysokości kolan słomą polaną benzyną. Wcześniej nieco dokonano selekcji: pozwolono niemieckim więźniom – ochotnikom wypychać do stodoły „politycznych” innych narodowości. Gdy to zrobili – sami zostali wpędzeni do stodoły przez esesmanów. Na wprost wrót ustawiono karabiny maszynowe.

Więźniom kazano siadać i – według jednej z relacji – SS-Untersturmführer Erhard Braunny zapalił papierosa, rzucił zapalną słomę i gdy stwierdził, że ogień się rozprzestrzenił – wybiegł ze stodoły. Wrota zatrzasknięto. Ci, którzy próbowali się wydostać zostali skoszeni seriami cekaemów. Niemcy zaczęli wrzucać granaty, użyto miotaczy płomieni. Stodoła zamieniła się w piec krematoryjny. Operacja trwała całą noc z 13 na 14 kwietnia. Rankiem – próbując zatrzeć ślady zbrodni – Niemcy część zwłok przerzucili do rowu wykopanego obok stodoły. Operacji tej nie zdążyli zakończyć.

Ciąg dalszy na s. 62 ►



FOT. © GRZEGORZ SANKI / ELOBOG.PL

► Ciąg dalszy ze s. 61

Organizatorem masakry nie był jednak Untersturmführer Brauny, który był jednym z dowódców konwoju, tylko dygnitarz partyjny Kreisleiter Gerhard Thiele. Brauny został złapany, rozpoznany przez więźniów i esesmanów i przekazany Armii Czerwonej, która zajmowała tę strefę. Według różnych przekazów miał umrzeć w jednym z obozów na terenie NRD w 1950 lub 1951 roku. Thiele natomiast zdołał uciec. Rozkaz likwidacji więźniów otrzymał podobno po linii partyjnej od Gauleitera Rudolfa Jordana. Te nazwiska nie powinny być wymazane z historii, ale przeciwnie – utrwalone.

Oprócz SS w akcji brali udział żołnierze różnych broni a nawet i cywile. Socjolog mógłby ich nazwać reprezentatywną próbką populacji. Płonącej stodoły strzegli wermachtowcy i żołnierze z oddziałów desantowych (Fallschirmjäger), lotnicy Luftwaffe, chłopcy z Hitlerjugend i starsi panowie z Volkssturmu. Męska przygoda.

711 kacetowców w ogóle nie zidentyfikowano, ustalono numery 301, w czterech przypadkach udało się ustalić tożsamość ofiar. Ustalono narodowość 186 zamordowanych: 60 Polaków, 52 Rosjan, 27 Francuzów, 17 Węgrów, 8 Belgów, 5 Niemców, 5 Włochów, 4 Czechów, 4 Jugosłowian, 2 Holendrów, 1 Meksykanin (?) i 1 Hiszpan.

Okrucieństwo tej zbrodni szokowało, wydawało się, że nie ma ona racjonalnego wyjaśnienia. (Po latach – a i to na zasadzie wyjątków – pojawiły się artykuły mówiące o konieczności ochrony ludności niemieckiej przed zemstą ze strony byłych więźniów. 16 kilometrów na północ, w Kakerbeck uwolnieni z transportu kacetowcy mieli dopuścić się gwałtów i kradzieży. Zbrodnia w Gardelegen miałaby zatem charakter profilaktyczny – popełniono ją w celu zapobieżenia innym, potencjalnym zbrodniom. Mignęły także erudycyjne odwołania do germańskich kultów i do zbrodni Wojny Trzydziestoletniej).

Po zajęciu miasteczka Gardelegen Amerykanie zmusili kilkuset jego mieszkańców do prac „porządkowych”. Kazano im wydobywać zwłoki ze stodoły i z rowu, kopać groby. 22 kwietnia zebrali ponad

tysiąc niemieckich mężczyzn pod pięknym, starym ratuszem i pognali za miasto z białymi krzyżami. Krzyże były stosunkowo wysokie, może nie wzrostu człowieka, ale tych chłopców z Hitlerjugend.

W ten sposób powstał ogromny, niesamowity cmentarz. Amerykanie postawili też dwujęzyczną tablicę pamiątkową. W czasach NRD kompleks cmentarny rozbudowano i przynajmniej raz w roku organizowano uroczystości antyfaszystowskie. W bliższych nam czasach potępia się raczej tajemniczych „nazistów”.

Stodoły adoptowane na smażalnię

Gardelegen nie było pierwsze. Nie sięgając do historycznych przyczynków mistyfikujących zbrodnie, odwołajmy się do czasów bliższych. Po napaści na Polskę Niemcy popełnili podobne morderstwa, chociaż na mniejszą skalę.

Przypomnijmy:

- Nie została do końca wyjaśniona zbrodnia Wehrmachtu w Cecylówce Głowaczowskiej. 13 września 1939 roku Niemcy zagonili do stodoły i spalili w niej żywcem, co najmniej 54 Polaków (mówi się także o 68 osobach, w tym 18 żydowskiego pochodzenia). Dzień wcześniej prowadzące działania osłonowe oddziały polskie zadały tu dotkliwe straty Niemcom. Masakrę ludności cywilnej traktuje się jako zemstę.

- Również 13 września Niemcy dokonali mordu na około 50 rannych żołnierzach w Jasięcu (gm. Rybno). Polski szpital polowy mieścił się tu w stodole oznakowanej flagami czerwonego krzyża. Została ona otoczona przez 16 niemieckich czołgów, które podpaliły ją pociskami zapalającymi. Zeznania świadków mówiły o rozjeżdżaniu gąsienicami próbujących ratować się rannych.

- 18 września w Śladowie zamordowano na wałach wiślanych 252 jeńców, w tym rannych, a także 106 osób cywilnych. W oparciu o wały broniła się z powodzeniem grupa polskich żołnierzy. Wermachtowcy nie mogąc ich pokonać w boju – przygnali z pobliskich wsi cywilów, także dzieci i popędzili przed sobą jako żywe tarcze. Polacy przerwali ogień i poddali się. Najmłodsze z zastrzelonych dzieci miało 4 lata. Uratowało się dwóch mężczyzn – jeden skoczył do wody,

drugi udawał zabitego w stercie ciał. Rozpamiętywanie tej zbrodni wykracza jednak poza temat „stodół śmierci”.

Wracając do tematu: wspomnieć trzeba zbrodnię w Henrykowie (gm. Ilów), popełnioną najprawdopodobniej 18 września. Dokonano jej również w zemście – za bohaterską obronę tej miejscowości. Niemcy zapędzili do stodoły co najmniej 76 ludzi, przeważnie cywilów, w tym grupę uciekinierów z zachodniej Polski. Stodoła została podpалona i ostrzelana z karabinów maszynowych.

- Inna zbrodnia została popełniona między 17 a 20 września w miejscowości Radziwiłka, na terenie ginącej już Puszczy Młodzieskiej, gdzie spalono znajdującą się w stodole grupę rannych żołnierzy.

- Podobną zbrodnię (data nie została ustalona) popełniono w miejscowości Giżyce, gdzie w stodole spalono 30 jeńców z Wojska Polskiego. Można i trzeba mówić o holokauście popełnianym przez Niemców na Polakach już w 1939 roku.

Również po rozpoczęciu wojny z Sowietami Niemcy popełniali podobne zbrodnie. Najgłośniejszą z nich, choć i zarazem najmniej wyjaśnioną jest spalenie 10 lipca 1941 roku co najmniej 50 (a możliwe, że kilkakrotnie wyższej liczby) Żydów w stodole w Jedwabnem. Zbrodnia ta miała charakter rasistowsko-ideologiczny. Żydzi zostali zmuszeni do maszerowania po miasteczku z pomnikiem Lenina i spaleni w stodole poza miastem. Na miejscu zbrodni znaleziono też łuski pocisków karabinowych. Zbrodnia ta została niestety ośmieszona przez rozdęcie do absurdu liczby ofiar, która w pracach nadgorliwych, a może niezrównoważonych „historyków” przekroczyła wielokrotnie stan żydowskiej populacji miasteczka. Niższa liczba ofiar nie oznacza pomniejszenia zbrodni.

Nie obniża potworności zbrodni czy cierpienia jednego płonącego człowieka: Husa – Palacha – Siwca, gdy pomnożymy przez 50, czy przez 250.

Podobnych zbrodni dopuścili się Niemcy wcześniej w Wąsoszu (5 lipca) i w Radziłowie (7 lipca). W drugim przypadku zbrodnia również miała „uzasadnienie” ideologiczne – spędzonym na rynek Żydom kazano śpiewać pieśni radzieckie (m.in. *Maja Maskwa*), następnie zapędzono ich do stodoły i spalono. Podobnie jak w Jedwabnem liczba ofiar nie została ustalona. Dowódcą zbrodniczego komanda był SS-Hauptsturmführer Wolfgang Birkner. Nie zostało wyjaśnione czy ten sam dowódca kierował zbrodnią w Jedwabnem. Birkner uniknął wymiaru ludzkiej sprawiedliwości – zginął na froncie w marcu 1945 roku. Stodoły na Białostocczyźnie były kolejnym miejscem (i narzędziem) holokaustu popełnianego przez Niemców – tym razem na Żydach. Doliczyć do tych całopalnych ofiar należy setki Żydów rozstrzelanych

przez Niemców w podmiejskich lasach (Tykocin, Ponary), palonych w synagogach (Białystok, Dynów) i tysiące ofiar obozów koncentracyjnych. Makabryczny rekord należy do Białegostoku: 27 czerwca 1941 roku Niemcy zamordowali tu około 2 tys. Żydów, z tego 600-700 spalili żywcem w Wielkiej Synagodze.

Jednym z najkrwawiej wywalczonych zwycięstw Dywizji Kościuszkowskiej było zdobycie krajeńskiej wsi Podgaje, która była umocnionym punktem Wału Pomorskiego. Walki zaczęły się 31 stycznia 1945 roku. Pierwszego dnia, podczas rozpoznania terenu w rejonie Podgajów, licząca 80 żołnierzy 4 kompania 2 bat. 3 pp. dowodzona przez podporucznika Alfreda Sofkę, natknęła się na siły niemieckie. Wywiązała się walka, w trakcie której strona niemiecka przysłała emisariuszy z propozycją poddania się. Przerwano walkę, ustalano szczegóły kapitulacji. Tymczasem Niemcy ścignęli posiłki i nagle wznowili atak. Po całonocnej walce Polakom zabrakło amunicji, co zmusiło ich do kapitulacji. Rannych Polaków rozstrzelano na miejscu, pozostałych 37 zaprowadzono do wsi Podgaje, tam poddano przesłuchaniom i torturom. Pięciu z nich spróbowało ucieczki – dwóm się udało (podporucznikowi Frugale i kapralowi Bondziureckiemu), trzech zginęło, w tym dowódca kompanii Alfred Sofka. 32 żołnierzy Niemcy umieścili w stodole, skrupowali drutem kolczastym i podpaliłi.

Zacięte walki trwały do 3 lutego 1945 roku. Polska Dywizja Piechoty straciła 801 żołnierzy, w tym 233 poległych i została wycofana do II rzutu. Strona niemiecka straciła 3 500 żołnierzy.

Po odbiciu Podgajów znaleziono zwłoki ofiar. Trupy były oszpecone bąblami, niektóre się rozsypywały. Fakt spalenia stodoły z jeńcami potwierdzili też nieliczni świadkowie. Jest to o tyle istotne, że w prasie niemieckiej pojawiały się artykuły przypisujące zbrodnię wchodzącym w skład Wehrmachtu oddziałom lotewskim, bądź w ogóle negujące jej fakt. Na miejscu spalonej stodoły postawiono pomnik w kształcie płomieni, na którym wyryto datę 2 lutego 1945 roku i nazwiska ofiar: Bernacki, Bondarczuk, Bujewicz... Jest ich 32.

Nie były to ostatnie akty bestialstwa. W dogorywających Niemczech zapłonęły jeszcze baraki w filii Oświęcimia „Fürstengrube” przy kopalni Wesoła (dziś dzielnica Mysłowic) – gdzie miano spalić więźniów uznanych za umysłowo chorych; tylko dzięki atakowi Brygady Świętokrzyskiej uniknęły spalenia Żydówki w Holiszowie. Ich baraki zostały już zabite deskami, odgrozione przewodami pod napięciem, pod ścianami stały pojemniki z benzyną*.

Listę podobnych zbrodni można by znacznie wydłużyć. Jednak zbliżając się do końca

proponuję raczej wrócić do sprawy Gardelegen. Wydaje się nie do końca wyjaśniona – tak w wymiarze faktograficznym, jak i filozoficznym.

Cała prawda o Gardelegen

Teza o „morderstwie profilaktycznym”, opowieści o zbrodniach uwolnionych kacetowców i o obawach ludności przed ich zemstą – to prawda, ale daleko niecała. Stodoła śmierci w Gardelegen została do holokaustu racjonalnie przygotowana. Ktoś wydał rozkaz wybiórki tych a nie innych więźniów, ktoś przed ich doprowadzeniem zwiózł słomę, zorganizował zbrojne grupy katów i ich pomocników. Ktoś potem wydał rozkaz wywleknięcia zwłok ze stodoły i zakopywania ich w rowach. Uzbrojeni Niemcy, którzy pilnowali, by więźniowie dokładnie się spalili – mogliby przecież pilnować stodoły z żywymi ludźmi, aż do nadejścia Amerykanów, bądź Rosjan.

Myślę, że wyjaśnienie tajemnicy Gardelegen kryje się w fakcie, iż ofiary całopalenia były więźniami obozu Mittelbau-Dora. Wyjaśnijmy ten fakt do końca.

Po zbombardowaniu sierpnia 1943 przez Anglików fabryki rakiet V1 i V2 w Peenemünde (na wyspie Uznam) Niemcy odtworzyli te zakłady w kompleksie sztolni w okolicach góry Kohnstein koło Nordhausen w Turynii. W ten sposób powstał kompleks: Konzentrationslager Mittelbau-Dora. Produkcję rakiet wznowiono w styczniu 1944 roku. Do niewolniczej pracy skierowano kacetowców z Buchenwaldu i z kilku innych obozów. Hale produkcyjne i bloki dla więźniów umieszczono w podziemnych galeriach. Pod ziemią mieli żyć i pracować do śmierci – to miała być najlepsza ochrona tajemnicy niemieckiej Wunderwaffe. I tak też było. Przez obóz Mittelbau-Dora przeszło ponad 50 tys. więźniów, liczbę zmarłych szacuje się na ponad 20 tys. Część z nich (około

1 200 osób) to ofiary nalotów alianckich, około 10 tys. zginęło podczas ewakuacji – w tzw. marszach śmierci. Reszta została zapracowana i zlikwidowana na miejscu w Dorze. Ewakuacja zaczęła się z początkiem kwietnia. Część z ewakuowanych trafiła do Gardelegen. Zamordowano ich wraz z tajemnicą Wunderwaffe.

Jako ciekawostkę można dodać, że najlepsi niemieccy konstruktorzy i inżynierowie zostali przejęci przez Amerykanów, pewną liczbę przechwycili też Rosjanie.

I tyle dopowiedzeń w sferze faktograficznej. Filozoficzną diagnozę o racjonalności postępowania Niemców należy uzupełnić uwagą, że był to racjonalizm złożony w ofierze ciemnym bóstwom instynktów. Racjonalna logika rasizmu mogłaby wyjaśnić zbrodnię dokonaną w Jedwabnem i zbrodnię przygotowywaną w Holiszowie, subtelne dywagacje natury geopolitycznej – zbrodnie w Cecylówce, Jasieńcu, Henrykowie. Mordowanie jeńców, zwłaszcza rannych wynikało z logiki Blitzkriegu, sposób morderstw – palenie – z racjonalnych zasad higieny. W każdym z tych przypadków racjonalizm został wprzęgnięty w służbę irracjonalizmu. Stodoły z palącymi się ludźmi to totem widoczny z odległości dziesięcioleci, podpis Niemców na kartach historii.

BOHDAN URBANKOWSKI ■

* Na śmierć czekało około 200 kobiet. Od śmierci uratował je atak Brygady Świętokrzyskiej – 5 maja 1945 roku. Żydówki z Holiszowa zeznawały w 1950 roku w procesie, jaki na żądanie stalinowskiej Polski wytoczono w Tuluzie dowódcy BŚ, Antoniemu Szackiemu „Bohunowi”. Zarzucając mu współpracę z Niemcami i antysemickie ekscesy, władze komunistyczne żądały wydania „Bohuna”. Proces zakończył się odrzuceniem zarzutów, do czego przyczyniły się zeznania uratowanych przez NSZ Żydówek.



Czy Niemcy przepraszą?

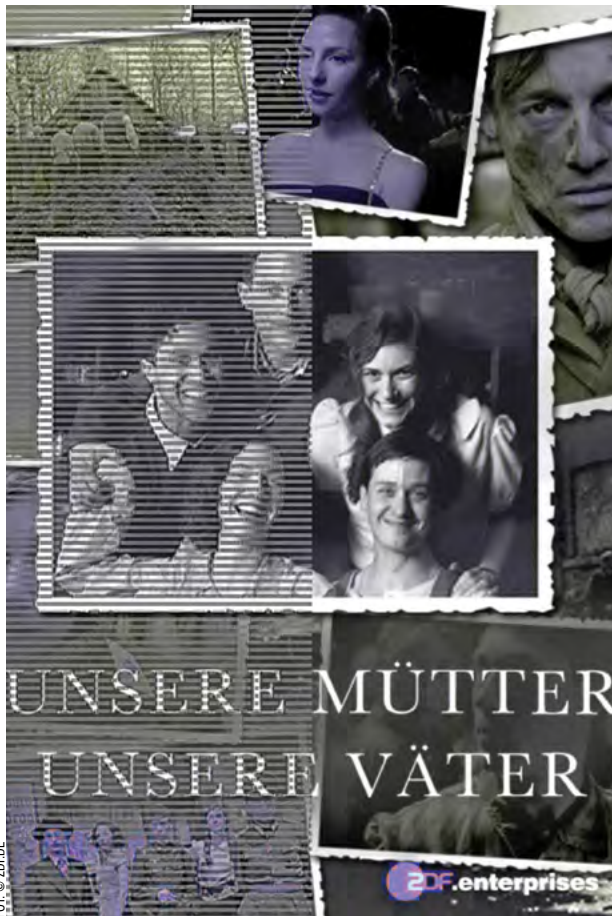
W marcu br. Sąd Apelacyjny w Krakowie orzekł, iż producenci trzyczęściowego serialu *Unsere Mütter, unsere Väter* (Nasze matki, nasi ojcowie, 2013) czyli UFA Fiction oraz ZDF muszą przeprosić Światowy Związek Żołnierzy AK. Wyrok jest prawomocny.

Film w reżyserii Philippa Kadelbacha wywołał liczne protesty oraz dyskusję dotyczącą sposobu przedstawienia w serialu Polaków oraz problemu relatywizowania odpowiedzialności Niemców za zbrodnie II wojny światowej. Proces odbył się z powództwa kpt. Zbigniewa Radłowskiego – żołnierza AK i byłego więźnia KL Auschwitz oraz ŚŻAK.

ZDF ma opublikować przeprosiny przyznające, że serial zawiera w swej treści nieuprawnione sugestie dotyczące rzekomego współdziałania AK w przeprowadzeniu Holokaustu oraz że nieuprawniona jest sugestia, że „Armia Krajowa miała charakter antysemicki”. Przeprosiny mają zostać opublikowane w TVP1 i w kanałach telewizji niemieckiej, które wyemitowały serial: ZDF, ZDFneo i Sat3 oraz na stronach internetowych ZDF i UFA Fiction, i być tam zamieszczone przez trzy miesiące.

Treść przeprosin jest następująca:

Producenci filmu pt. *Nasze matki, nasi ojcowie* tj. Telewizja ZDF oraz firma UFA Fiction, na skutek przegranego procesu sądowego, przepraszają Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie, za naruszenie jego dóbr osobistych poprzez zidentyfikowanie oddziału partyzanckiego



w ww. filmie jako oddziału Armii Krajowej, co rodzi nieuprawnioną sugestię, iż ta polska organizacja wojskowa miała charakter antysemicki.

Koszty emisji przeprosin w najlepszym czasie antenowym w polskiej i niemie-

ckiej telewizji pokrywa strona przegrywająca, czyli pozwani. W przypadku braku publikacji, sąd upoważnił Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej do publikacji przeprosin na koszt pozwanych.

Do dzisiaj nie ukazały się przeprosiny, gdyż telewizja ZDF zasłania się „immunitetem”, jaki otrzymała kilka lat temu po wyroku w sprawie Karola Tendery od Sądu Najwyższego Niemiec na niewykonywanie wyroków polskich sądów (*casus*: kłamstwo „polskie obozy” jako „cudza opinia”).

W proces o prawdę historyczną, który zakończył się 23 marca w Krakowie, zaangażowała się Reduta Dobrego Imienia. Działania prawne przeciwko producentom prowadzili – *pro publico bono* – mecenas Monika Brzozowska-Pasieka i Jerzy Pasieka z krakowskiej kancelarii Pasieka Berlikowski Brzozowska i Partnerzy.

IRENEUSZ ST. BRUSKI ■

„Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy!

Karol Tendra, numer obozowy 1000430

„Praworządność po niemiecku” pod Luxemburski Sąd

Wyrokami polskich sądów będę tapetował ściany w pokoju – mówi z goryczą 96-letni Stanisław Zalewski, były więzień obozu KL Auschwitz, prezes Związku Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych. Z pomocą prawników Stowarzyszenia Patria Nostra wytoczył on pozwy przeciwko bawarskim mediom (Mittelbayerischer Verlag KG i Bayerischer Rundfunk) za nazwanie Treblinki i Sobiboru „polskimi obozami zagłady”. Czy może się tak zdarzyć? Niestety, tak!

Już blisko pięć lat na wykonanie w RFN czeka wyrok Sądu Apelacyjnego w Krakowie z 2016 roku zobowiązujący niemiecką telewizję ZDF do przeprosin Karola Tendery – obozowego kolegi Stanisława Zalewskiego – za obelgę „Auschwitz polskim obozem zagłady”.

„Szlaban” na wykonanie wyroku na terenie Niemiec postawił Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe (BGH) w 2018 roku. Kłamstwo „polskich obozów” uznał on za „cudzą opinię”. Zdaniem BGH, ZDF poprzez wykonanie obowiązku przeprosin byłby zmuszony do publikacji i sygnowania „cudzej opinii”. Łamiąc tym samym konstytucyjne normy niemieckiego prawa – wolność od głoszenia „cudzych opinii”. Pokrętnie!

W walce o wykonanie wyroku, a co za tym idzie – niedeptanie europejskiego prawa, prawnicy Stowarzyszenia Patria Nostra dotarli już do kresu swoich możliwości.

Co zrobili?

Wnieśli skargę do niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego... Wnieśli formalne petycje do Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego... Przygotowali wzór skargi do Komisji Europejskiej, którą podpisały setki, setki osób i organizacji społecznych... „Uruchomili” europosłów... Wszystko to bezskutecznie.

Smutnym zwieńczeniem była odpowiedź Very Jourovej, wiceprzewodniczącej Komisji Europejskiej. Wezwana, by KE skierowała sprawę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) w myśl art. 258 *Traktatu o Funkcjonowaniu UE* za rażące łamanie prawa przez Niemcy odpowiedziała, że „nie ma kompetencji do zajmowania się sprawą tego wyroku”. Wyroku, który w sposób oczywisty łamie europejskie prawo i zasadę wzajemnego bezwarunkowego uznawania orzeczeń, zapadłych w krajach UE.

– Nie możemy odpuszczać – mówi poseł Iwona Arent, która wspiera Stowarzyszenie Patria Nostra.

Niedawno, na Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy wytknęła Heiko Maasowi – szefowi niemieckiego MSZ, że bojkotując wyrok polskiego sądu w sprawie Karola Tendery wykazując, jak naprawdę wygląda „praworządność po niemiecku”...

W odpowiedzi usłyszała wiele słów o historii, szacunku i odpowiedzialności. I ani jednego słowa o blokowaniu wyroku, o który pytała.

– To przelało czarę goryczy – denerwuje się poseł Iwona Arent. – Musimy sięgnąć po środki ostateczne.

2 marca 2021 roku wystosowała interpelację do Premiera RP (zob. *Interpelacja nr 20405 do prezesa Rady Ministrów w sprawie przeciwdziałania skutkom orzeczenia Federalnego Trybunału Sprawiedliwości z dnia 19 lipca 2018 r.*, sygn. akt IX ZB 10/18). Postuluje: skierowanie skargi do TSUE lub ETPCz, by podważyć wyrok Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe z 19 lipca 2018 roku. Wyrok, odbierający polskim obywatelom prawo do przymusowego wykonywania na terenie Niemiec orzeczeń polskich sądów w sprawach o naruszenie ich dóbr osobistych.

Przedstawia argumenty. Każdy z nich brzmi jak akt oskarżenia:

- Sędziowie „z butami” wkroczyli w merytoryczną podstawę polskiego wyroku. Na własną rękę dokonali swoich ustaleń, sprzecznych z ustaleniami polskich sędziów, m.in. uznając, że nakazanie opublikowania przez ZDF przeprosin było zbyt surowe. Poczuli się jak kolejna, wyższa instancja sądowa nad polskimi sądami.

- Za sprzeczne z normami prawa niemieckiego uznali nakazanie przez Sąd „przeprosin” Karola Tendery, bo rzekomo niemiecki kodeks cywilny nie zna takiego słowa. Szok. Przecież taka forma usuwania skutków naruszenia dóbr osobistych jest uznawana przez ETPCz za zgodną z art. 10 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. I to w dziesiątkach, jeśli nie setkach wyroków.

- Powołali się na klauzulę „porządku publicznego”, wskazując na kuriozalną koncepcję konstytucyjnego zakazu publikowania „nie swojej opinii”. Miałyby to w sposób oczywisty, rażący i wyjątkowy naruszać prawo niemieckie i europejskie.

- Jeśli tak, to dlaczego wcześniej niemieccy sędziowie z Sądu Krajowego w Moguncji, a potem z Wyższego Sądu Krajowego w Koblencji, uznający wcześniej wyrok do wykonania, nie dostrzegli tak rażących błędów? – dziwi się mec. Szymon Topa ze Stowarzyszenia Patria Nostra, uczestniczący w rozprawach przed tymi Sądami.

- Niestety, dopóki wyrok Sądu Najwyższego Niemiec (BGH) obowiązuje, to wszystkie niemieckie sądy, powagą jego autorytetu, będą uchylać się od uznawania na terenie Niemiec wyroków polskich sądów w sprawach o naruszenie dóbr osobistych – mówi mec. Lech Obara, prezes Stowarzyszenia Patria Nostra. – To skandal! Stowarzyszenie samo wniesie stosowną skargę do Strasburga. Rząd mógłby nas w tym również samodzielnie wesprzeć, byśmy nie czekali kilka lat na wyrok. Orzeczenie ETPCz w Strasburgu może jedynie skrytykować, ale nie może uchylić niemieckiego wyroku. Jego skutki może uchylić tylko Federalny Trybunał Sprawiedliwości rozstrzygając czy ZDF miał prawo odmówić wykonania polskiego orzeczenia nakazującego ZDF przeprosiny za użycie sformułowania „polskie obozy zagłady”. I ta wykładnia wiązałaby w przyszłości niemieckie sądy.

Zatem tu jest miejsce dla Rządu. Zgodnie z art. 259 *Traktatu Europejskiego* Państwo Polskie może wnieść sprawę do TSUE jeśli uzna, że inne państwo (tu RFN) uchybiło zobowiązaniom traktatowym. A uchybiło.

Skargę do TSUE poprzedzi wniosek do Komisji Europejskiej, by najpierw zajęła się tą sprawą. Ma na to 3 miesiące.

Ciąg dalszy na s. 66 ►

► Ciąg dalszy ze s. 65

– Gdy KE zignoruje nawet Państwo Polskie, droga skargi do TSUE jest nie tylko prawem. Staje się wręcz moralnym i politycznym obowiązkiem – podsumowuje Stanisław Zalewski, prezes Związku Byłych Więźniów Obozów Koncentracyjnych.

Czekamy na ruch polskiego rządu.

Z ostatniej chwili...

Posel Iwona Arent otrzymała odpowiedź na swoją marcową interpelację. Odpowiedzi udzielił Sebastian Kaleta – Sekretarz Stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Czytamy w niej, że: „W dniu 17 marca br. Ministerstwo Sprawiedliwości wystąpiło do Pana Ministra ds. Unii Europejskiej w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów – Konrada Szymańskiego, z wnioskiem o skierowanie,

stosownie do art. 259 TFUE, do Komisji Europejskiej sprawy przeciwko Republice Federalnej Niemiec – w związku z wydanym przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości (Bundesgerichtshof) postanowieniem z dnia 19 lipca 2018 r. odmawiającym wykonania orzeczenia zobowiązującego telewizję ZDF (Zweites Deutsches Fernsehen) do przeproszenia Pana Karola Tendery”.

W ocenie Ministerstwa Sprawiedliwości Republika Federalna Niemiec przedmiotowym postanowieniem Federalnego Trybunału Sprawiedliwości uchybiła zobowiązaniom wynikającym z art. 45 ust. 1 w zw. z art. 34 pkt 1 oraz art. 45 ust. 2 rozporządzenia Bruksela I. 2. Orzeczenie sądu niemieckiego zapadło w sprawie z powództwa Pana Karola Tendery, obywatela polskiego, więźnia m. in. niemieckiego obozu zagłady Auschwitz, przeciwko niemieckiej

publicznej telewizji ZDF i całe postępowanie było przedmiotem istotnej uwagi ze strony opinii publicznej.

Z uwagi na istotne znaczenie zagadnienia „polskich obozów zagłady” dla polityki historycznej Rzeczypospolitej Polskiej, zasadne wydaje się zwrócenie do Komisji Europejskiej o wydanie uzasadnionej opinii stosownie do art. 259 zd. 2 i 3 TFUE, a w dalszej kolejności sprawy do TSUE celem rozstrzygnięcia, czy Federalny Trybunał Sprawiedliwości miał prawo odmówić wykonania polskiego orzeczenia nakazującego ZDF przeprosiny za użycie sformułowania „polskie obozy zagłady”. Ministerstwo Sprawiedliwości oczekuje na odpowiedź i podjęcie dalszych czynności w tej sprawie przez KPRM.

Tak więc teraz wraz z Ministrem Sprawiedliwości czekamy na reakcję Premiera.

ANETA MARKOWSKA ■



FOT. © STOWARZYSZENIE PATRIA NOSTRA

Z księgarskiej półki



Alfabet Solidarności, redakcja Krzysztof Nowak, Instytut Dziedzictwa Solidarności, Gdańsk 2020.

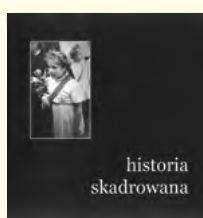


Oni i My. Spotkania dwóch światów, układ i redakcja Aleksander Rowiński, Fundacja Ostoja przy Wiśle, Warszawa 2016.

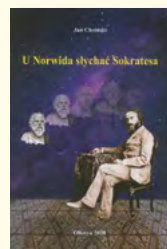


Anna Tokarska, *Utwory zebrane*, zebrał Andrzej Buck, Pro Libris – Wydawnictwo WIMBP im. Cypriana Norwida, Zielona Góra 2020.

Mariusz T. Korejwo, *Historia kadrowana*, Fotografie z zasobu Archiwum Państwowego w Olsztynie (1945 - lata 80. XX wieku), Olsztyn 2020.



Jan Choiński, *U Norwida słychać Sokratesa*, Wydawnictwo Jan Choiński, Olsztyn 2020.



Magdalena Krawczyk, *Problemy religii i etyki w filozofii Nicolaja Hartmanna*, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, Filia w Elku, Elk 2021.



80. rocznica śmierci Witolda Hulewicza

1941 – 12 czerwca – 2021



Witold Hulewicz (1895-1941) poeta i prozaik, tłumacz i wydawca, współtwórca Polskiego Radia w Wilnie, przyjaciel i popularyzator w Polsce twórczości Rainego M. Rilkego, organizator i redaktor pierwszego pisma podziemnego w okresie okupacji niemieckiej „Polska żyje”, więzień Pawiaka, torturowany przez Gestapo na Szucha, 80 lat temu – 12 czerwca 1941 roku – został rozstrzelany przez Niemców w Palmirach.

„Po dziesięciu miesiącach heroicznego męczeństwa został rozstrzelany w Palmirach o świcie 12 czerwca 1941 roku. Tak zginął tłumacz i przyjaciel Rilkego, jednego z największych mistrzów mowy niemieckiej, autor pięknej, pełnej uwielbienia książki o jednym z największych kompozytorów – Beethovenie”.

Jan Paradowski



Grób Witolda Hulewicza, 12 czerwca 2021

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Delegacja Stowarzyszenia i laureatów Nagrody im. Witolda Hulewicza; od lewej: Jan Tetter, Maksymilian Adamski, Romuald Karaś, Andrzej Melak, Wiesław Budzyński, Jerzy Biernacki, Zbigniew Rutkowski, Peter Raina, Joanna Pogórska, Bożena Kociołkowska, Radosława Pięniężna-Grabowska, Wiesław Dąbrowski, Aleksander Rowiński i Ireneusz St. Bruski (za obiektywem), 4 czerwca 2021

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



FOT. © RADOŚLAWA PIENIEŻNA-GRABOWSKA

Jak było, jak jest, jak być może



FOT. © LOKALNYATRACYJNYSLAK.PL

■ ALEKSANDER ROWIŃSKI



Historia lubi się powtarzać. Na początek o tym dwa zdania. Zwłaszcza jednemu nie mogę się oprzeć. W doskonale prowadzonym programie przez Mikołaja Rachonia w TVP („Jedziemy”) zaproszony gość, ponadczasowy satyryk Jan Pietrzak, dał taką ocenę sytuacji obecnie szerzącej się w naszym kraju: „Neomarksizm walczy z katolicyzmem”. Jako starszy kolega Pietrzaka, przećwiczony w dawniejszych sloganach, poprawię to pojęcie – należy ustawić je w jedno „neomarksizm-leninizm walczy z katolicyzmem”.

Zdanie drugie, bardziej rozwinięte. W Tarnowie, małej wsi nad Wisłą, w 1463 roku powstał duży kościół. Po czterystu latach istnienia zagrożona mu niszczeniowska powódź Wisły. Tutejsi mieszkańcy, dobrze przygotowani do obcowania z naturą, natychmiast przystąpili do rozbiórki konstrukcji świątyni. Z rozebranych drewnianych elementów postawili dwie małe kapliczki, a trzecią budowlą, bardzo okazałą, stała się organistówka przy kościele usadowionym w sąsiedniej wsi – Samogoszczu.

Pewnego dnia, gdy oddałem do sprzedaży mój atrakcyjny domek jednorodzinny w Warszawie, rozglądałem się po wsiach – która będzie przyjemniejsza do życia od egzystencji w stolicy – trafiłem do Tarnowa. Stało się to za sprawą lekarza z Paryża, Mariana Marcza, goszczącego chwilo-wo w Polsce – ma swoich przodków na cmentarzu w Dęblinie. Takie bywają losów przypadki: w powrotnej drodze do Warszawy, zatrzymaliśmy się w tym to Tarnowie, w miejscu, gdzie wzbiera nurt, gdzie boczny dopływ Wisły powraca do macierzy. Znaleź-

liśmy się na wysokiej skarpie, otwierającej widok rozległej rzeki. Tu istniał przez czterysta lat kościół. Gdy wkrótce znaleźliśmy się w „posiadłości” parafii w Samogoszczu, oprowadzani przez miejscowego proboszcza, trafiliśmy do organistówki. Tam podziwialiśmy olbrzymie modrzewiowe bale, z których została stworzona – pochodziły z rozebranego kościoła.

Doszliliśmy do wspólnej konkluzji: z tego budulca, jaki pozostał, budowla powinna wrócić na swoje dawne miejsce, choćby jako kaplica.

Doktor z Paryża upomniał się o poszanowanie śladów historii. Rzekł: „W nadwiślanej skarpie istniało miejsce sakralne nad rzeką, niechaj tam wraca w postaci kaplicy. Szanujmy ślady historii”.

Z tą ideą pozostaliśmy – proboszcz, dwaj parafianie, nasi przewodnicy i ja, reporter.

Tak zaczęła się batalia o rozebranie organistówki. Była dość długa. Skończyła się definitywnie, gdy wojewódzki konserwator zabytków nie wyraził zgody na rozbiórkę wiekowego obiektu.

Pomysł upadł, ale ziarno zostało zasiane. Dla dwojga fundatorów ta idea stała się sposobem złożenia hołdu Patronce Jasnogórskiej za doznane łaski.

Wykonanie projektu architektonicznego zostało powierzone pracowni „Beton”. Następnym krokiem było uzyskanie wszelkich pozwoleń budowlanych, oraz aprobatę władz kościelnych Diecezji Siedleckiej.

Ksiądz biskup zwołał zebranie członków komisji artystyczno-architektonicznej Diecezji. Komisja obradowała w składzie: ksiądz Henryk Drozd, ksiądz Janusz Stefaniuk, ksiądz Robert Mironczuk, ksiądz Piotr Kardas

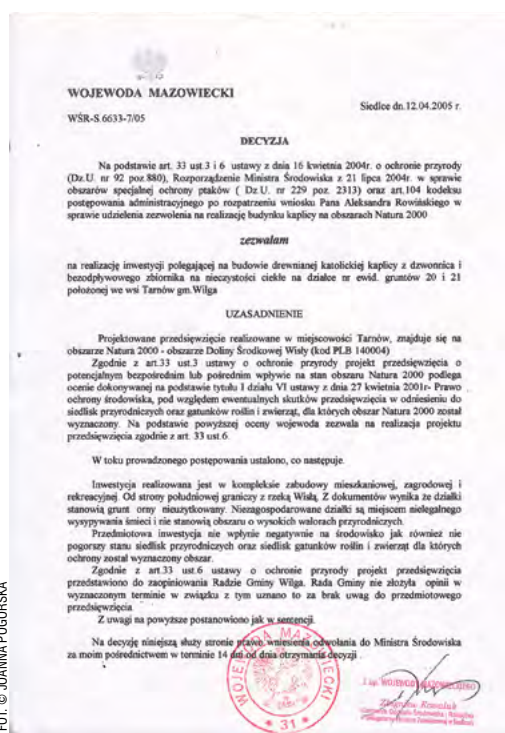
oraz nasza delegacja. Wśród szczegółowych zaleceń protokołowanego zebrania, pojawiły się i te punkty przez nas oczekiwane:

„3. Zobowiązania parafii i diecezji będą wynikiem aktu notarialnego przekazania działki i obiektu na własność Kościoła katolickiego.

4. Członkowie komisji nie wnoszą zastrzeżeń do konstrukcji architektonicznej budowli.

5. Komisja stwierdza, że na etapie wyposażenia wnętrza kaplicy należy zasięgnąć opinii liturgicznej”.

Dobrze rozumieliśmy obawy władz kościelnych, że zbudowanie kaplicy to jedno, a dbałość o nią, to co innego, i że tym obowiązkiem nie można obarczać właściwej parafii. Rada prawnika, a notariusz ją potwierdził, że stosowne oświadczenia będą złożone przez nas w jego kancelarii, i że w testamentach darczyńcy przekazują kaplicę z działką na rzecz



FOT. © JOANNA POGORSKA

władz kościelnych. Deklarujemy więc: „My, niżej podpisani, oświadczamy, że za zezwoleniem terenowych władz administracyjnych i uzyskaniem aprobaty Kurii diecezjalnej, własnym kosztem wybudowaliśmy kaplicę we wsi Tarnów gmina Wilga. Kaplicę wraz z działką przekazujemy testamentem władzom kościelnym”.

Gwarancja dla darczyńców, ułożona przez prawnika, brzmiała: „Nie ma takiej możliwości, aby obiekt sakralny, postawiony na działce o prywatnej własności, był kiedykolwiek i przez kogokolwiek narażony na inne przeznaczenie niż do celów, do których został powołany. Darczyńcy zobowiązują się w swoich testamentach przekazać działkę i kaplicę władzom kościelnym”. Dokument podpisany został przez darczyńców według przedstawionych tu zasad.

Tarnów, ażeby nie powiedzieć „wioska”, trzy ulice i 30 gospodarstw, więc na ideę postawienia kaplicy na miejscu uświęconym nie trzeba było długo czekać. W ciągu kilku dni powstał pierwszy dokument. Za kaplicą w Tarnowie stanęli wszyscy mieszkańcy tej wsi.

Tak było. Dokument potwierdza udział mieszkańców pochłoniętych trudem uładzenia brzegów Wisły i skarpy przeznaczonej na budowę kaplicy.

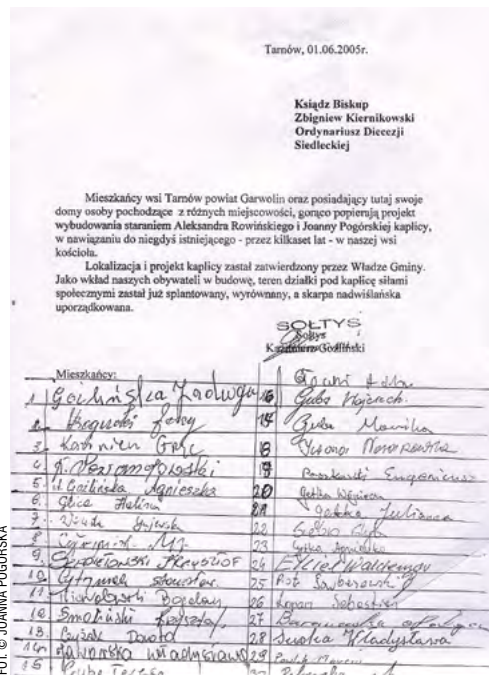
A jaka to miała być robota, ile trudu. Nikt z miejscowych nie zapytał „za ile ta robota”. Zacząć trzeba było od brzegu Wisły. A ten przedstawiał obraz gruntownie zdewastowanej ziemi i zieleni.

Teren został pracowicie splantowany. Brzegi Wisły zaczęły odzyskiwać należną jej urodę.

Po dwóch miesiącach miejsce to nie przypominało zmagania wojennych, po których rozpoczął się finał batalii II wojny światowej.

Zanim mieszkańcy – jak to się powiada – przystąpili do „plantowania”, samorządnie powołana „delegacja” zapukała do drzwi rektora Politechniki warszawskiej. Tydzień później na skarpie, na której miała stanąć kaplica, pojawił się profesor Grzegorz Jemielita – dziekan wydziału budownictwa lądowego, oceniający stan skarpy i jej współistnienie z rzeką. Profesorska ekspertyza uznała miejsce i budowlę przewidzianą dla niej za idealnie dobrane.

Tymczasem tydzień po tygodniu my, obserwatorzy, rozstajemy się z obrazami czasu teraźniejszego. Podczas przechadzek, patrząc na spokojnie tu rozlaną Wisłę, wracamy do historii. Naszym przewodnikiem jest Zbigniew Węgrzynek. Trzy kadencje działał jako przewodniczący Zarządu Rady gminy Wilga. W starostwie Garwolin był kierownikiem wydziału komunikacji. Działacz w kilku regionalnych stowarzyszeniach. On właśnie – człowiek z rodzaju „wszędzie



FOT. © JOLANTA POGÓRSKA

go pełno” – obdarzył nas wykładem pochodzącym z wielu źródeł tutejszej historii. Zbigniew Węgrzynek, z rodowodem zapisanym w tutejszych księgach parafialnych, legitymuje się pochodzeniem na tym terenie od czterystu lat. W swojej opowieści głęboko sięga w dzieje ostatniego stulecia.

Opowiada, że tu dokładnie, na 444 kilometrze Wisły, od lipca 1944 roku rozpoczęły się zmagania, o jakich rzadko się wspomina. Na lewym brzegu rzeki Niemcy rzucili elitarną dywizję „Hermann Göring” i zmobilizowali znaczne siły: lotnictwo, artylerię, aby zatrzymać ewentualną ofensywę z prawego brzegu rzeki. Tutaj, w wioskach od przeszło roku, organizowały się radzieckie oddziały frontu białoruskiego, w nich również służyli żołnierze I Armii Wojska Polskiego. Przypomnijmy, wśród nich wielu Polaków ze Lwowa i Wileńszczyzny, którzy w ten sposób uciekali z Kraju Rad. Polską formację zasilali również chłopcy z wiosek, gdzie przez półtora roku biwakowali nasi.

Wtedy właśnie nastąpił ostatni, najważniejszy moment podczas starcia się dwu armii. Obie szykowały się do przeprawy przez Wisłę. Radzieckie dowództwo odmówiło Polakom przeprawy zbudowanymi mostami – sami przedostawali się czołgami i ciężkim sprzętem artyleryjskim. W tej sytuacji Polacy podjęli budowę swojego mostu. Wyjmijmy tylko jeden obraz ich dzieła. Pracują czwórkami – dwu odpoczywa, dwaj wbijają pnie w koryto rzeki. Drewno przygotowuje pobliski tartak. Pod artyleryjskim ostrzałem, pod bombami zrzuconymi z samolotów, wielu ginie. Ale most był gotowy. Pozwolił przejść wojsku do bezpośredniego starcia z Niemcami. Wygrali nasi. Przyczynił się niewątpliwie ów most, przeszło nim dwieście dział, około dwustu samochodów i ponad 10 tysięcy

żołnierzy. Stworzyli most drewniany – 894 metry.

Nieźródnany profesor historii i pisarz, profesor Marian Marek Drozdowski, pięknie tę opowieść Węgrzynka pointuje: „Od tego brzegu polscy żołnierze szli w zwycięskich marszach, aż zatrzymali się w Berlinie. Tu, jeden z nich, wywiesił naszą narodową flagę.

Raz do roku, przy pomniku saperów, jaki tu powstał, obywają się obchody poświęcone pamięci saperów, zwycięzców i bohaterów zbudowania najdłuższego drewnianego mostu w Europie.

Wracamy do budowanej na skarpie naszej kaplicy. Lokalny tartak z Sośninki dostarcza elementy drewnianej konstrukcji. Mieszkańcy Tarnowa włączają się w prace przy zbrojonej betonowej płycie, stano-

wiącej fundament kaplicy. Ekipa cieśli z Gostynina buduje konstrukcję, kładzie szalówkę i ocieplenie. Pomysł na pokrycie dachu przyszedł do głowy fundatorom w czasie ich pobytu na Podlasiu, gdzie piękne dachy z wióra osikowego cieszą oko w wielu miejscach. Z tamtych stron przybývają specjaliści z transportem świeżych osikowych wiórów, by następnie je układać w osiem warstw przybijanych na zakładkę. Sok ze świeżej osiki spaja i konserwuje wióry. Tak powstaje dach odporny na kaprysy pogody.

Tymczasem stało się to, czego nie oczekiwaliśmy. Fotografia kaplicy znalazła się w czerwcu 2009 roku, na światowej wystawie DMY Defing Festival w Berlinie.

Obiekt był jedną z 45 realizacji, wybranych z 343 nominowanych z całej Europy, które walczyły w 2010 roku o najbardziej prestiżową architektoniczną nagrodę im. Miesa van der Rohe. Żaden polski budynek zgłaszany do konkursu nie znalazł się w tym gronie od początku przyznawania wyróżnienia.

Następną nagrodą było IV miejsce w konkursie architektonicznym „Polityki” w 2012 roku. Głosy oddane na kaplicę w Tarnowie: „kościół, który przepuszcza przez siebie świat stworzony przez Boga to w polskiej rzeczywistości naprawdę coś”, „bogactwo i siła wiary jest w człowieku, nie potrzeba kolumnienek, witrażyków i sztukaterii, budynek ma być miejscem spotkań człowieka z Bogiem”.

Kolejny sukces firmy „Beton”: Tarnów nad Wisłą DREWNIANY KOŚCIÓŁ zajmuje dwunaste miejsce (wśród 32 nominowanych finalistów) w plebiscycie miesięcznika „Traveler” – 7 nowych cudów Polski w 2013 roku. Konkurs miał przeszło 400 zgłoszeń.

Ciąg dalszy na s.71 ►



Jak powstawała kaplica w Tarnowie

w obiektywie Joanny Pogórskiej



FOT. © JOANNA POGÓRSKA



FOT. © JOANNA POGÓRSKA

► Ciąg dalszy ze s.69

Przez cały ten rok aż po dzisiaj kaplica w Tarnowie wędruje opisywana i fotografowana przez prestiżowe czasopisma architektów holenderskich, angielskich, japońskich, a nawet koreańskich, gości też coraz częściej w polskich mediach. Miło to odnotować, choć ani przez chwilę w naszych poczynaniach ten element popularności nie był obecny ani oczekiwany. Natomiast u podstaw naszych działań wzięliśmy pod uwagę – poza na wstępie wymienionymi motywami – że nieopodal wsi Tarnów, w Wildze, znajduje się osiedle, ogromny leśny teren rozparcelowany na początku ubiegłego wieku przez właściciela, gdzie na trzech tysiącach dużych działek pobudowało się wielu mieszkańców Warszawy, Łodzi, Lublina i pomniejszych miast.

Tu też powstały duże ośrodki wypoczynkowe (Politechniki Warszawskiej, Ministerstwa Sprawiedliwości, inne, a ostatnio o wysokim standardzie obszerny hotel „Las – woda” z salami konferencyjnymi, z przeznaczeniem na spotkania integracyjne, seminaria etc.). Z drugiej strony wsi ulokowany jest ośrodek wypoczynkowy w gestii Kancelarii Prezydenta RP.

Obecność w tym rejonie tak znacznej liczby osób, w miejscu najbardziej oddalonej krawędzi administracyjnej Diecezji Siedleckiej, na granicy Diecezji Praskiej, jak najlepiej rokuje niewielkiej wprawdzie świątyni, ale mogącej okazjonalnie służyć potrzebom religijnym pobliskich wsi, a także czasowo obecnych osób przyjezdnych. Na osiedlu w Wildze zamieszkuje co najmniej kilkadziesiąt osób związanych z twórczością w kulturze i sztuce, kilkaset ma tu swoje niedzielne rezydencje. Od nich wyszedł sygnał i pomysł powiązania kaplicy w Tarnowie z warszawskim Duszpasterstwem Środowisk Twórczych. Ksiądz prałat Wiesław Niewęglowski uznał za możliwą afiliację kaplicy przy tym Dusz-



pasterstwie. Ksiądz Niewęglowski, w trakcie budowy kaplicy, obdarzał nas cennymi radami. Również wywołał wizytę u kard. Kazimierza Nycza, któremu projekt się bardzo spodobał, ale zgodnie z obowiązującym porządkiem – odesłał nas do administratora tego obszaru – ordynariusza siedleckiego, biskupa Kiernikowskiego.

Oddanie kaplicy pod patronat Matki Bożej Jasnogórskiej – z inicjatywy fundatorów, przyjęte było przez mieszkańców

wsi, okolic, gminy za niezwykle ujmujące dla chrześcijan. Przeor klasztoru jasnogórskiego obdarował kaplicę trzema kamieniami pochodzącymi z fundamentów ołtarza Bazyliki Jasnogórskiej.

Wkrótce też, w darze od konserwatora bazyliki, wybitnego historyka sztuki, Bogdana Chabry, otrzymaliśmy kopię pierwszego malarskiego wizerunku Matki Bożej, który przez wiele lat uwidocznił się w kaplicy jasnogórskiej. Lata całe, dym ze świec kościelnych przyciemnił obraz. W latach 20. zabiegi konserwatorskie przywróciły blask oryginałowi. Kopia będzie wystawiona u nas po przeprowadzeniu podobnych zabiegów.

Wybitny ludowy artysta, rzeźbiarz Henryk Zachwieja ze Szczawnicy, wykonał dla nas ogromnych rozmiarów płaskorzeźbę Matki Bożej Jasnogórskiej. Tworzył ją dwa lata.

Dzwon przy kaplicy Matki Bożej Jasnogórskiej w Tarnowie odzywa się codziennie dwa razy: na Anioł Pański i ku pamięci w godzinie zgonu Jana Pawła II. Dzwon wykonany w słynnej odlewni Felsztyńskiego. Jego brzmienie płynie z nurtem Wisły, słyszalny jest po obu brzegach rzeki.

Tym opisem per saldo zamykam historię budowy jednej kaplicy, z jaką siłą tradycji przedzierała się przez obecną rzeczywistość. Co na tym miejscu zostało powiedziane, stanowi początek dalszego ciągu.

We wsi Tarnów pewnego dnia pojawił się człowiek o pospolitym wyglądzie. Ściągnął z masztów flagi: kościelną, papieską, narodową, na bramie i wejściu do kaplicy wymalował wielkimi literami „Zakaz: teren prywatny, wstęp wzbroniony”.

Dzwon zamilkł. Dlaczego?

Ale o tym co stało się potem i dzieje się dziś przeczytacie, szanowni Czytelnicy, w następnym reportażu.

Nawiązując do sentencji Jana Pietrzaka, że w naszym kraju „Neomarksizm walczy z katolicyzmem”, w naszej publikacji pojawi się trzeci składnik formacji: rodzi się swoisty triumwirat.

ALEKSANDER ROWIŃSKI ■



FOT. © JOANNA POGÓRSKA

Sztafeta znicza do Hulewicz

FOT. © DARIUSZ STANISZEWSKI

■ EDWARD W. STAŃCZAK



Nie zachowały się ani tekst, ani nagranie nadanej 17 maja 1928 roku u zarania Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia audycji autorstwa i reżyserii Witolda Hulewicz pt. *Pogrzeb Kiejstuta*. Kiejstut, ojciec Witolda, stryj i wychowawca Jagielly, uwięziony przezeń w Krewie i tamże zamordowany w 1380 roku. Czy za jego śmiercią stał bratanek, nie jest do końca pewne. Faktem jest, że Witold wolał skrycie ewakuować się do Krzyżaków i przeżyć... A że niedługo potem stryjeczni bracia się pogodzą? Interesy. Polityka.

W Wielkim Księstwie Litewskim to tuż zmierzch na poły legendarnych, na poły historycznych dziejów pogańskich i tylko patrzeć jak para królewska św. Jadwiga z Andegawenów i Władysław Jagiełłowie na mocy unii personalnej, również w Krewie zawartej, rozpoczną dzieło chrystianizacji Litwy.

Rok przed emisją Witold Hulewicz wydał powieść biograficzną *Przybłęda Boży. Beethoven – czyn i człowiek* (Poznań), a rok później własny zbiór poezji i dramatów *Lament królewski* (Warszawa). Oczywiście Hulewicz to nie tylko dramaturg, reżyser i poeta. Tłumaczył bowiem m.in. Goethego, Manna i Rilkego, z którym się zresztą przyjaźnił. Druga Rzeczpospolita przetrwała tylko dwadzieścia lat, ale mogła się poszczycić niejednym człowiekiem renesansu na miarę swojej epoki.

Wydarzenie jakim był radiowy *Pogrzeb Kiejstuta* pozostało we wdzięcznej pamięci jemu współczesnych, co pełniej odnotowuje znany nie tylko z anteny scenarzysta, reżyser, laureat Nagrody im. Witolda Hulewicz Jerzy Tuszewski (1931–2016) w książce *Paradoks o słowie i dźwięku. Rozważania o sztuce radiowej* (brak ISBN), a zwięźle Agnieszka Karaś (*Miał zbudować wieżę.*

Życie Witolda Hulewicz, Warszawa 2003, s. 193n): „Akcję słuchowiska stanowi rytuał pogrzebu Wielkiego Księcia Litewskiego, odtworzony według legend i starych kronik. Narracja oparta jest na relacji, jaką niewidomemu ojcu zdaje idąca w orszaku żałobnym córka. Pochód ze zwłokami Kiejstuta posuwa się w Krewa do Wilna. Na czele idą odpędzający złe duchy konni młodzieńcy, płaczki, wajdelotki i kapłani. Ceremonia kończy się spaleniem zwłok księcia wraz z jego końmi, psami i ptactwem myśliwskim.

Część *Pogrzebu Kiejstuta* nadawana jest z pleneru nad Wilią. Słuchowisko okraszone jest chórmi i muzyką instrumentalną Tadeusza Szelińskiego.

Na skutek lawiny listów *Pogrzeb Kiejstuta* zostaje emitowany powtórnie. Podobnie jak za pierwszym razem na całą Polskę”.

Jakie były dalsze i bliższe inspiracje literackie wyboru akurat takiego tematu?

Pierwsze skojarzenie z lektur szkolnych to nieporównanie malarski heksametr Norwidowy *Bema pamięci żałobny rapsod*. Chociaż Czesław Miłosz, nawiasem mówiąc, późniejszy, jak sam pisze, „podwładny” Hulewicz w Rozgłośni Wileńskiej, a jak go zapamiętał Konstanty I. Gałczyński „urzędnik Miłosz”, zdradzający niejaki uprzedzenia do „Lechity” Norwida (Al. Fiut, *Rozmowy z Czesławem Miłoszem*, Kraków 1981, rozdz. *Norwid i Mickiewicz*) odesłałby nas raczej do mistrza Adama i do jego *Ballad i romansów*, do *Pieśni Wajdeloty* w *Konradzie Wallenrodzie*, do klimatu *Dziadów* cz. II (*Zamknijcie drzwi od kaplicy...*).

Zostawmy jednak te spory pogrobowcom romantyzmu a „zstąpmy do głębi”.

„Witold snuł plany, jak zrobić w Wilna metropolię. Otarł się przecież o kulturę zachodnioeuropejską, o Warszawę. Wszystkie doświadczenia chciał urzeczywistnić w mieście Mickiewicza i Słowackiego” – wspomina córka Hulewicz Agnieszka, zwana przez ojca Jagienką (za A. Karaś, jw., s. 134).

I już mamy szerszą perspektywę. *Polonorum origines fabulosae* (*Dzieje bajeczne Polski*), tak zatytułował Jan Długosz drugą część *Roczników czyli Kronik sławnego królestwa Polskiego* (*Annales seu Cronicae incliti Regni Poloniae*). Znajduje się tam opis samobójczej śmierci i symbolicznego, siłą rzeczy, pogrzebu Wandy. Oryginał wydano w 1964 roku w PWN i tamże od 1962 roku edytuje się pomnikowy przekład pióra zespołu translatorów, a całość porównał z tekstem łacińskim Marian Plezia. Tu i dalej staram się iść sam za tekstem, chociaż akurat tę księgę bardziej filologicznie tłumaczy tam Andrzej Jochelson. Tak się zaczyna legenda Wandy:

Po Lechu wstąpiła na tron jego siostra Wanda,

która wzgardziła małżeństwem z Niemcem Rytygierem i mimo zwycięstwa nad nim,

by złożyć z siebie ofiarę bogom, pogrążyła się w Wiśle,

a pogrzebem uczczono ją w Mogile.

Stąd Polaków zwie się Wandalami.

Czy, a jeśli tak, to do jakiego stopnia lektura Długosza miała wpływ na twórczość Witolda Hulewicz? Młody Hulewicz we wszystkich pruskich gimnazjach, które musiał zmieniać z obawy przed kolejnymi szykanami za udział w nielegalnym polskim harcerstwie i w kółkach samokształceniowych (Trzemeszno, Wrocław, Śrem, Leszno, Gniezno, gdzie zdał maturę) miał w programie łacinę, ale o naszym kronikarzu nie wolno tam było nawet wspomnieć. Z oryginałem Długosza obcował Henryk Sienkiewicz i jego wizja Bitwy pod Grunwaldem ma wiele cech kongenialnego spolszczenia *Kronik*. Na przykład *hastis vibratis* oddaje Sienkiewicz: „zadrzały kopie w rękach rycerzy”. Julia Mrukówna tłumaczy „potrząsając kopiami”, natomiast otwierające opis bitwy *signis canere incipientibus* to u niej „kiedy zaczęła rozbrzmiewać pobudka”. Pobudka po trzech

mszach, w upale? To samo wydanie PWN, Warszawa 1982, księga XI, strona 122. Sienkiewicz, w duchu Długosza, buduje napięcie, ale to dobre prawo literatury pięknej: „Już serca w obu wojskach były jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju”. Dosłownie z *Kronik*: „Kiedy trąby zaczynały śpiewać” (*ablatus absolutus* dla czynności równoczesnych).

Hulewicz mimo zaborów mógł czytać w każdej większej polskiej bibliotece przekład Karola Mecherzyńskiego, wydany w roku 1867 jeszcze przed ostateczną redakcją tekstu łacińskiego, jako tom pierwszy, nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tłumaczenie nosiło tytuł *Jana Kochanowskiego kanonika krakowskiego dziejów polskich ksiąg dwanaście*.

Nie można ręczyć, czy Jan Kochanowski znał dzieło Długosza. Autor *Kronik* był bowiem na cenzurowanym u Jagiellonów a nawet 125 lat po swojej śmierci u ich krewnego po kądzieli Zygmunta III Wazy, który 20 grudnia 1615 roku podpisał zakaz druku *Kronik*. Poszło o wzmiankę z aluzją do plotek na temat królowej Zofii i jej trzech synów ze „zgrzybiałym” Władysławem Jagiełłą. Kolejni władcy Rzeczypospolitej Obojga narodów traktowali tam fragment jako próbę zakwestionowania legalności dynastii.

Kochanowski – jak się podpisywał: *secretarius regius* – sekretarz królewski u Zygmunta Augusta, mógł (ale nie musiał) zajrzeć do *Kronik* w jednym z odpisów dostępnych tylko dla wybranych. Nie rozstrzyga tej kwestii Jerzy Pelc (Jan Kochanowski. *Szczyt renesansu w literaturze polskiej*, Warszawa 2001, s. 303-305), ale porównuje pokrótce obie wersje legendy o Wandzie: kronikarską i poetycką. Różnice między nimi skłaniają badacza do hipotezy, że jedna nie miała wpływu na drugą.

U Długosza germański książę Rytygier rzuca się na własny miecz, kiedy jego co znamienitsi rycerze, już ustawieni do boju, ulegają urokowi i urodzie walecznej Wandy i wycofują się bez walki z pola bitwy wobec przewagi nieprzyjaciela i nieprawości swojej sprawy. U Kochanowskiego Rytygier ginie w bitwie, zaś Wanda urządza mu godny pochówek, a jeńców uwalnia i każe odprowadzić bezpiecznie do granic państwa lechickiego.

Co łączy autorów to prozatorski i poetycki obraz śmierci Wandy. Długosz, jak przystało na księdza kanonika, dodaje lakoniczną ocenę moralną, a Kochanowski humanista od takiej nawet się powstrzymuje. Píše Długosz:

„Postanowiła z własnej woli złożyć siebie na ofiarę bogom, a popchnął ją do tego obłęd jej czasu, kiedy wierzone, że coś takiego ich ucieszy i sądzono, że czyn to



Benoît Farjat, Wanda, ok. 1702 FOT. © POLONA.PL

wzniosły i bohaterski. Obawiano się zarazem, żeby na niezmaczone sławę i pomyślność nie padł cień jakiegś przeciwności losu. Zwołuje przeto co znakomitszych wśród Polaków i każe zabić zwierzęta ofiarne. Tak dokonuje ojczystych obrzędów i dziękuje z poddanymi za doznane łaski. Błaga też, by dane jej było zamieszkać w lepszej stronie zaświatów. Skacze z mostu do rzeki Wisły, powierza się jej falom i przykryta nimi śmierć znajduje.

O milę od Krakowa płynie rzeka Dłubnia i nad nią w polu Wanda ma grób. Potomni bardziej podziwiali niż dawali wiarę takiej opowieści, że tym pomnikiem oddawano Wandzie te samą część co ojcu. Uspiano bowiem z ziemi wysoki kopiec i po dziś dzień się go pokazuje, a od tego miejsca wieś Mogiła nazwę swą wywodzi. Nikt z Polaków nie wątpi, że ten dar ma przypominać zasługi panowania tak Kraka jak i Wandy, skoro zarządzono niegdyś, że jeden i drugi kopiec ma być w poważaniu po wszystkie wieki”.

Wandzie poświęcił też po łacinie elegię XV z księgi I Jan Kochanowski. Piotr Chmielowski umieszcza genezę elegii w szerszym kontekście biograficznym autora (*Historia literatury polskiej*, wyd. 2, Lwów-Warszawa 1915, t. 1, s. 250): „Gdy się ożenił, gdy ogień namiętny przygasł, wychwalał małżonkę jako gospodynię, jako domu podpórę, jako pocieszycielkę, co «słodkimi słowy» umie przepłoszyć troskę, jako matkę wreszcie dziełeczek «ojcowi podobnych». Wiedział też, że były kobiety niezwykle, zaczął nawet kreślić króciutkie charakterystyki niektórych, lecz nie zapalił się tematem i chwałę niewiast w ich płci jeno upatrywał. Elegia łacińska o «Wandzie», co nie chciała Niemca, nie przeczy takiej charakterystyce i choć jest ładna, to wieje z niej chłód; poeta opisywał tylko szczególne, niezwykle zdarzenie, lecz się nie entuzjazmował”.

Literaturoznawcy będą później zajmować raczej estetyką i antycznymi źródłami el. I 15.

Alfred Fei niemało miejsca poświęca wyobraźni plastycznej Jana z Czarnolasu (*Kochanowski polski i łaciński*, „Pamiętnik Literacki”, 1935, t. 32, nr 1/4, s. 319-339). Skądinąd wiemy, że siostrzeniec Zygmunta Starego książę Albrecht Hohenzollern na prośbę królewskiego studenta Jana (Hannsa) Kochanowskiego zafundował mu wyjazd do Włoch celem leczenia oczu i dalszych studiów w Padwie. Śmielsze, choć w zasadzie udokumentowane, dywagacje i przypuszczenia również o późniejszych związkach finansowych Kochanowskiego z pruskim dworem książęcym znajdziemy u Gabriela Maciejewskiego (*Baśń jak nie-dzwiedź. Polskie historie*, Warszawa 2012, t. 2, rozdz. *Hans z Czarnolasu*).

Fei nie odchodzi od tematu: „Znaną jest rzeczą, że Kochanowski miał słabą pamięć wzrokową i dlatego nie ma w jego poezji barwnego i plastycznego odbicia otaczającego świata. [...] Wzywając w polskim wierszu «matkę skrzydlatych miłości», ofiarowywał jej Kochanowski w ofercie

*Zioło w swych barwach rozliczne.
Masz fiołki, masz leliję,
Masz majeran i szal wiję,
Masz wdzięczny swój kwiat różany,
To białe a to rumiane*
(Fr. III 12).

Nigdy jednym tchem tylu kwiatów nie wymienił. Ale choć było to niby dla rozlicznych barw je nazbierał, barwy przemilczał, wspominając tylko o dwóch kolorach róż. I tak będzie u niego stale: «kwiatki barwy rozmaitej» kilkakrotnie znajdziemy w jego poezji, ale są one zawsze – bezbarwne. Jest przecie jeden wyjątek. Zwycięska Wanda pamięta kolory kwiatów, z których plotła wianki dla rodzinnej Wisły:

*Nunc pro pallentiviola,
croceoquehyacyntho
Haec spolia in ripis figo cruenta tuis*
(El. I 15, 75-76).

Zapewne jak dzisiejszy nasz smak ten «błady fiolek» kolorystyczne mało interesujący. Mimo to wyższość łaciny Kochanowskiego nad jego polszczyzną jest wyraźna”.

Ten i inne wywody Feia osłabia nieco pesymistyczna konkluzja rozprawki: „Z jego utworami łacińskimi stało się z czasem to samo, co z całą niemal humanistyczną poezją łacińską: poszły na pokarm molom i filologom. Polskie dzieła stały się kamieniem węgielnym poezji polskiej”. Zainteresowanie badaczy oraz tłumaczy nie tylko El. I 15 ale i całą twórczością łacińską ojca literatury polskiej na szczęście równoważy tę tezę.

Ciąg dalszy na s. 74 ►

► Ciąg dalszy ze s. 73

Ignacy Chrzanowski przez liczne kolejne wydania (pierwsze 1906) *Historii Literatury polskiej* (z wypisami) taki sąd wyraża: „W poezji łacińskiej miał Kochanowski w Polsce i wielu poprzedników, lecz pięknnością formy prześcignął ich wszystkich. Początkowo pisywał wiersze łacińskie dla wprawy albo dla własnej przyjemności, ale później odzywał się do innych, i to nie tylko do humanistów polskich (np. do Myszkowskiego i Zamoyskiego), aby im sprawić przyjemność umiłowaną przez nich mową Rzymian, ale i do obcych, aby, jak np. w odach na triumfy wojenne króla Stefana, roznieść po całym świecie sławę imienia polskiego” (par. 41).

Jan Kochanowski bowiem pisał po łacinie od studiów padewskich aż do końca życia. Elegie, ody, fraszki, pieśni. Pisał w języku Wergiliusza, Owidiusza, Horacego i Propercjusza właściwie o wszystkim, co i dzisiaj nas zajmuje: miłość, wojna, polityka, wydarzenia publiczne, pożegnania bliskich i przyjaciół, sprawy obywatelskie, życie rodzinne. Na pewno nie „wieje chłód” z, powstałych

w obozie wojennym w Radoszkowicach, poetyckich oświadczeń do ukrytej pod greckim imieniem Pazyfili – późniejszej żony poety Doroty z Podlódowskich. Przeciwnie. Spod scenografii antycznej przebija uczucie.

Wśród bardziej znanych tłumaczy Kochanowskiego wyróżniają się Kazimierz Brodziński (1791-1835), Władysław Kondratowicz herbu Syrokomla (1823-1832), Julian Ejsmond (1892-1930), Leopold Staff (1878-1957).

Każdy jednak przekład poetycki musi kiedyś poddać się próbie konfrontacji z odbiorcą i z wrażliwością estetyczną następnych pokoleń. Jestem świadom, że i przeze mnie od lat proponowane to czeka, choć może wiersz bezrymowy mojego spolszczenia (a taka jest łacińska poezja klasyczna i renesansowa), o paradoksie, „ujdzie cało”.

Tymczasem ośmielałem się wypełniać sporą lukę czasową od ostatniej większej translacji. Leopold Staff pracował nad przekładem łacińskiego Kochanowskiego pod koniec życia i nie ze wszystkim zdążył, a w stylu i w słownictwie czuje się niejaki wpływ Brodzińskiego.

EDWARD W. STAŃCZAK ■

O poezji łacińskiej i o elegii I 15 również pisali:

Głombiowska Z., *Inspiracje propercjarskie w elegiach Jana Kochanowskiego*, „Pamiętnik Literacki” 63/3, 5-28, 1972; Kumaniecki K., *Podanie o Wandzie w świetle źródeł starożytnych*, „Pamiętnik Literacki” 22-23 (1925-1926); Łukasiewicz-Chantry M., *Wanda – sarmacka Amazonka w poezji łacińskiej w Polsce. Od Jana z Wiślicy do Jana Kochanowskiego*, „Terminus”, t. 16 (2014), z. 1 (30), www.ejournals.eu/Terminus; Starnawski J., *Jana Kochanowskiego łaciński poemat o Wandzie* (Elegia I 15), w: Jan Kochanowski. *Interpretacje*, Kraków 1989; Ulewicz T., *Kochanowski. Świadomość słowiańska. Oddziaływanie europejskie*, Kraków 2006. Por. wstęp pt. *Kochanowski nieznan – słowo tłumacza w moim przekładzie* (edycja dwujęzyczna): J. Kochanowski, *Pieśń zwycięstwa nad Moskwą w wojnach o powrót Inflant rok po narodzeniu Chrystusa 1582 i inne pieśni wojenne*, Warszawa 2009, s. 5-21. Jako motto do tego szkicu przywołuję wniosek Juliana Krzyżanowskiego: „Każdy, kto chce naprawdę poznać twórczość Jana Kochanowskiego, prędzej czy później sięga do jego poezji łacińskich, od poezji w języku polskim nie dadzą się one oddzielić, obie stanowią całość jednolitą” (J. Kochanowski, *Elegie*, [wyd. dwujęzyczne], przeł. L. Staff, wstęp J. Krzyżanowski, Warszawa 1953, s. 6).

EWS ■

Maksymilian Piotrowski, Śmierć Wandy, 1859

FOT. © MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



Jan Kochanowski: *Elegia XV z Księgi I*

Potocznym teraz wierszem opowiadaj Muzo
o bitnej Wandy rządach u Polaków.
Skoro Krak ojciec odszedł spośród żywych,
syn młodszy, skrytobójczo odsunawszy brata,
5 Tron opanował, ale potem ów, drżąc dniem i nocą
przed gniewem bogów i braterskim cieniem,

10

padł w szponach Furii, więc niespełna rok
cieszył się władzą tak zdradziecko wziętą.
Z krwi Kraka jedna pozostała Wanda
tyle w niej krasy co przymiotów ducha.
Nie przędła wełny, ani jak Minerwa
nie tkła wzorów wielobarwną nicią.
Łuk, oszczep – toż to istna towarzyszką Diany,
gdyż dzikie bestie w gęstych kładła kniejach,

15 stąd wstręt do godów, szkoda słów o ślubie,
jedyne jej kochanie to niezłomna czystość;
acz o tym milczy i ukrywa w sercu,
u ludzi bowiem nie brak wciąż nadziei
i tobie, najpiękniejsza z nimf sarmackich, życzą
20 wszyscy męża równego sławą i bogactwem.
Jej zatem lud i rada zgodnie powierzają
berło. Niech dzierży je niewieścią dłonią.
Waha się zrazu, przecie nie chce wierzyć,
żeby zdołała takie podjąć brzemię.
25 Ledwo ją senat mógł przebłagać wreszcie:
na tron ojcowski wstąpi zuch – dziewoja,
a tak się pilnie zmierzy z obowiązkiem,
że wielkich mężów godna jest pamięci.
Wielu z Północy o nią stara się młodzieńców,
30 lecz wiatr te swaty przegna im na powrót.
Rytygier Niemiec prze najnatarczywiej.
I ty się próżno ludzisz Rytygierze.
Pysznyś majątkiem, twardą szkołą Marsa,
rodem znad Renu chelpisz się szlachetnym,
35 lecz czysta Wanda ani dba o dobra,
ni o przewagi, ni o herb Teutona.
Burzy go wzgarda; jak od dwóch pochodni
płonie w nim wściekłość, gore dzika miłość.
Czas zmienić plany, prośba nic nie wskóra
40 - rzecze i w szale chwyta zbójczy oręż.
Nie tajne Wandzie, co w oblędzie Teuton
knuje, wiec sama bierze się do dzieła.
Już obie strony w równych stoją siłach,
gdy wtem do Wandy wraży poseł bieży.
45 - Wkrótce, o pani, ujrzyś Rytygiera; zali chcesz męża,
zali spotkać wroga wolisz, twój wybór.
Żadnego nie chcę – tyle Wanda na to –
i posłańcowi każe odejść precz.
Tą odpowiedzią rozeźlony wróg porzuca miłość
50 dla wścieklej furii i ponawia marsz.
Szyk sprawia i wybiega Amazonka z łukiem,
i wzniosłszy ręce taki składa ślub:
„Co czczę najwyżej, co najdroższe dla mnie
jeśli, Jowiszu, wygram, będzie twoje.”
55 Słowa te syn Saturna chętnym chłonał uchem
i gromem prawej stronie łaskę wskazał z nieba.
Rada wróżbie grzmieć w rogi każe, sama zaś
na rączym koniu pędzi przed szeregiem.
Wojsko za królową pochyla włócznie,
60 Walań nań Teutoni z walecznym sercem.
Bój się rozpala, tną się i padają po obu stronach.
Mars dziki wszędy szybkie zbiera żniwo.

Germanie trupem ścielą pole, wódz sam
ugodzon leży przed swoimi znakami.
65 Zdjęto zeń jeno zbroję, godnie pochowano,
jeńców puszczone żywem i bezpieczną drogą.
Gdzie bitwa, tam zwycięska każe wzniesić królowa
pomnik poległym przy wiślanym nurcie.
Z hełmów i z broni mężów tam układa kopiec
70 i tak przemawia do szumiącej rzeki:
„Wisło bogata w wodę, Wisło rzek żrenico,
co pod Północną płyniesz Niedźwiedzicą;
Wisło, com ci ofiary z kwiatnych wiła wianków,
oto ja Wanda znana twoim falom,
75 Dziś nie blednący fiołek, szafranowy mieczyk,
lecz okrwawione łupy wieszam ci na brzegu,
pomnik pokonanego wroga, co niebacznie broń
szalony na mnie podniósł, czym obraził bogów.
Nie mógł mnie złamać prośbą, to próbował mieczem.
80 Szedł tu na darmo i na swoją zgubę.
Teraz zuchwalec powalony raną śmiertelną leży,
mnie sława wzniosła na niebiańskie łąki.
Bogowie, z waszą tarczą szłam naprzeciw wrogów
I do haniebnej pchnęłam ich ucieczki:
85 by nie mówiono, żeś was czeliła z lęku,
a zbywszy nieszczęście o was zapomniałam,
com ślubowała pogrążona w troskach,
wiedźcie, że spełnię także w szczęsnej doli.
Jest li nad życie skarb cenniejszy w świecie?
90 To ocalona wam w ofierze składałam.”
I po tych słowach jak na brzegu stała
chętnie się rzuca w szybkie fale Wisły.
Na czyn ten wszyscy osłupieli, jęczą
z bólu i drapią lica zrozpaczeni.
95 Wandę zaś Wisła skrywa w modrych wodach,
ojczystej rzeki czyni z niej boginię.
Lud ma ją za śmiertelną, szuka ciała w falach,
by je spocielić na wysokim stosie.
Stracił nadzieję, sypie pusty grób,
100 cień Wandy trzykroć wzywa ze styksowych wód.
Słysząc okrzyki w głębi rzeki. Błąd
ów Najadzie* nowej miód na duszę.
Jak w on czas każdy gorzkie łzy wylewał
tak dzień ten przyszłe oplakują wieki.
105 Na lewym brzegu dotąd zacny pomnik
stoi, gdzie Wisła płynie pod Mogiłą**.

Tłum. EDWARD W. STAŃCZAK

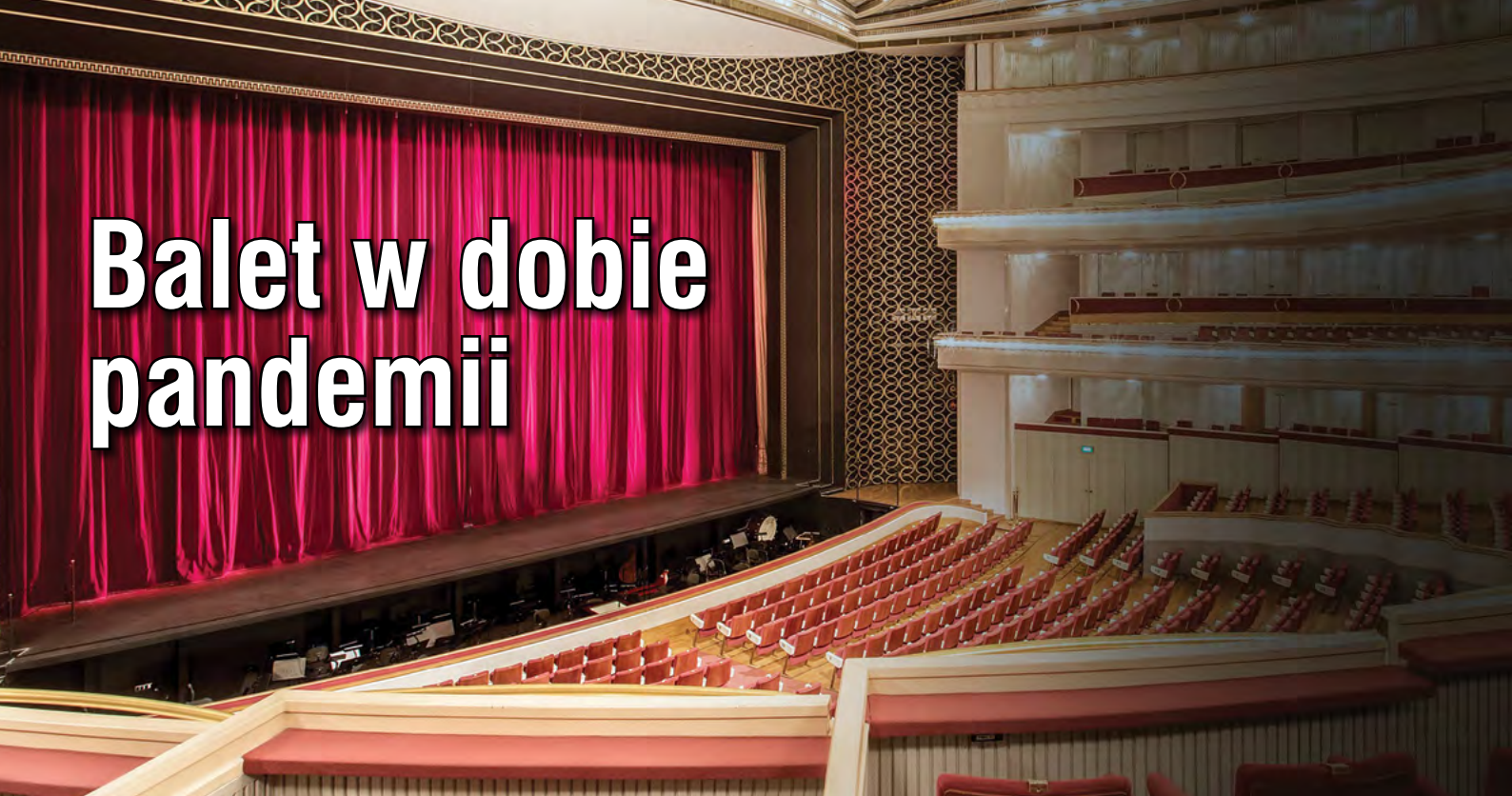
* Tj. Wandzie.

** Po łacinie *Clara Tumba* (Jasny Grób), wieś położona pod Krakowem i, jak powiadają, nazwana tak od grobowca Wandy.

Kopiec Wandy w Krakowie, widok od północy

FOT. © PIOTR CHOLEWA / CC BY-SA 3.0

Balet w dobie pandemii



FOT. © TEATR WIELKI – OPERA NARODOWA

■ ANNA MENDAKIEWICZ



Wdobie pandemii długo zastanawiałam się nad istotą zawodu tancerza. Rozważania doprowadziły mnie do wniosku, że w tym szumie informacyjnym i bombardowaniu nas statystykami i negatywnymi informacjami, bardzo potrzebna jest odskocznia i przekierowanie myśli w inną przestrzeń, przy równoczesnym nieco odmiennym wykorzystaniu czasu na tradycyjne obowiązki i rozwój taneczny.

Fala roku 2020

Koronawirus zawładnął całym światem, zmieniając nie tylko sposób myślenia o życiu w ogóle, skłaniając do zadawania pytań egzystencjalnych, ale również o szeroko pojętej kulturze. Sytuacja ta wpłynęła na życie milionów osób na całym świecie, w tym artystów, często poddając w wątpliwość ich cały dorobek artystyczny.

Szczególnie na początku, podczas pierwszej fali pandemii wielu z nas na pewno zastanawiało się: jak długo to wszystko potrwa, czy i kiedy wrócimy na scenę. Nasuwały się pytania: jak bardzo zmieni się praca w teatrze, czy streamingi spektakli staną się codziennością, czy jeszcze kiedyś usłyszymy prawdziwe brawa.

Później w Polsce były momenty, kiedy dopuszczano, aby 25 proc. miejsc na widowni było zajętych; zdarzały się zachorowania, izolacje, kwarantanny, przestoje. W końcu nastał czas, kiedy na widowni mogło zasiadać tylko 50 proc. widzów. Dystans i maseczki nadal obowiązują. Niestety ten scenariusz się powtarza.

Jak to wszystko wygląda z perspektywy tancerzy?

Zajrzyjmy za kulisy „spektaklu”, wyreżyszerowanego przez wirusa...

„Wirus w balecie”

W wywiadzie Vanessy Thorpe, opublikowanym 20 lutego br. na oficjalnym portalu tygodnika „The Observer”, Carlos Acosta, aktualny dyrektor Birmingham Royal Ballet, mówi o zagrożeniu spowodowanym pandemią, które może doprowadzić do tego, że stracimy całe pokolenie artystów-tancerzy, którzy są w trakcie nauki oraz widzów, którzy tracą możliwość obejrzenia być może pierwszego w swoim życiu spektaklu baletowego. Niedługo po objęciu stanowiska przez Acostę z powodu rozwijającej się pandemii koronawirusa sceny opustoszały, przestała grać muzyka – tak, jakby świat się zatrzymał...

Zespół baletowy, aby stworzyć spektakl, musi pracować w grupie i w parach, dla-

tego ograniczenia i restrykcje związane z ilością osób w pomieszczeniach oraz obowiązkiem noszenia maseczek utrudniają bądź całkowicie uniemożliwiają jego pracę.

Carlos Acosta był inicjatorem produkcji krótkiego filmu pt. *Empty stage*, który powstał z dedykacją dla wszystkich artystów kreujących spektakle na żywo. Akcja rozgrywa się przede wszystkim w teatrze, gdzie głównym motywem jest pusta scena, na której jeszcze niedawno odbywały się spektakle z publicznością nagradzającą artystów brawami. Benjamin Scheuer stworzył muzykę i tekst, w której tle pokazana jest tęsknota tancerzy za możliwością przekazywania emocji i przedstawiania swojej sztuki innym. Tylko wtedy to wszystko co robimy ma głębię i sens. Poruszenie widza, wzbudzenie emocji, pomoc w oderwaniu się od rzeczywistości. Wszystko to jest misją tancerzy, którzy w okolicznościach pandemii próbują w zupełnie innych warunkach przygotowywać się do wirtualnych spektakli.



Carlos Acosta

FOT. © MAN YEE LEE / BIRMINGHAM ROYAL BALLET

W momencie wzrostu zachorowań bywa, że codzienny trening tancerzy odbywa się on-line. Tu sztuką jest, aby artyści, którzy potrafią sami znaleźć motywację mimo wszystko nie czuli się pozostawieni sami sobie. W artykule Vanessa Thorpe można przeczytać, że Acosta zaprasza znanych nauczycieli, którzy gościnnie prowadzą lekcje on-line. To bardzo dobry pomysł na pracę artystów, którzy sami muszą utrzymać się w formie.

Czy balet przetrwa?

Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie z perspektywy artystów trzech scen baletowych: Pragi, Wiednia i Warszawy.

Tancerz Czeskiego Baletu Narodowego (Teatr Narodowy w Pradze) – Renato de Leon – uważa, że w czasie pandemii najbardziej zniechęca go fakt, że musi „zwolnić”, pogodzić się z tym, że przez jakiś czas nie może robić tego, co kocha w tym zawodzie – tańczyć na scenie przed publicznością.

– Wszystko zależy jednak od naszego podejścia – zauważa. – Miałem wżloty i upadki, ale fakt, że nadal możemy przychodzić na salę i rozwijać się jako artyści, sprawia, że mimo wszystko, jestem wdzięczny.

Zaistniała sytuacja sprawiła, że Renato de Leon czeka z niecierpliwością na to co się wydarzy, ale też liczy się z tym, że wyczekiwane spektakle nadal mogą być odwoływane. Docenia jednak fakt, że nawet podczas nakazanego pobytu w domach, odbywają się treningi on-line, co pomaga tancerzom w utrzymaniu formy.

– Właściwie od początku pandemii nie przestaliśmy pracować. Aktualnie [17 marca] od dłuższego czasu próby i lekcje odbywają się w teatrze – relacjonuje. Artysta zauważa, że ta dziwna, pandemiczna sytuacja dała mu szansę – czas, aby skoncentrować się bardziej na sobie i na technice tańca.



Renato de Leon

FOT. © PAVEL HEJNÝ

Od kiedy w teatrze odbywa się mniej spektakli na żywo, podejście do tancerza jest bardziej indywidualne i jest więcej czasu na próby. – Przed pandemią, gdy mieliśmy wiele przedstawień, często brakowało czasu na skupienie się na tego rodzaju pracy – dodaje Renato de Leon.



Anita Manolova

FOT. © DIMO DIMOV

Artystka Wiedeńskiego Baletu Narodowego (Opera Wiedeńska) – Anita Manolova – zwraca uwagę na pewne pozytywne zaistniałe sytuacje: „Gdy okazało się, że lockdown potrwa dłużej, teatr zaoferował nam możliwość otrzymania kawałka podłogi, abyśmy mogli ćwiczyć w domu. Nie organizowano dla nas lekcji on-line, co dawało mi możliwość odkrywania i korzystania z bogatej oferty lekcji baletu, np. z innych zespołów oraz treningów wspomagających utrzymanie się w formie, zamieszczonych w Internecie”.

– Niezwykle interesującym aspektem tej sytuacji była właśnie ta możliwość poznawania różnych technik tańca oraz rozmaitych treningów nawet w ograniczonej domowej przestrzeni – dodaje koryfejką Baletu Wiedeńskiego.

Sposobem tancerki na utrzymanie się w formie było stworzenie własnego planu zajęć, tak, aby ten czas nie był stracony. Gdy zespół mógł wrócić na salę, lekcje odbywały się w małych grupach, próby były skrócone, a tancerze byli testowani na obecność koronawirusa raz w tygodniu. Jeśli ktoś z artystów miał wynik pozytywny, zespół był wysyłany na dwa tygodnie do domów, co uniemożliwiało pracę nad spektaklami. Gdy zaistniały odpowiednie warunki, część spektakli była nagrywana. Tylko nieliczne przedstawienia odbyły się z obecnością widowni.

Artystka z Wiednia dzieli się swoimi doświadczeniami, podkreślając: „Niezwykle trudnym zadaniem jest utrzymanie motywacji podczas prób, wiedząc, że spektakle nie mogą się odbyć. Oczywiście jest to lepsze niż sama poranna lekcja baletu, ale jednocześnie mija się to z celem, gdy tańczymy tylko dla siebie”.

Niezwykle ważne dla tancerzy jest to aby mieć cel. Misją tancerza jest dzielenie się

z widzami emocjami, pasją oraz przekazywanie treści poprzez taniec. „Aby utrzymać się w formie i móc w pełni przygotować do spektakli na odpowiednim poziomie, tancerze potrzebują: przestrzeni do tańca, regularnych prób i pełnego dnia pracy” – dodaje Anita Manolova.

Ponieważ momenty przestoju się powtarzają wraz z przypadkami zachorowań na koronawirusa, tancerzom, którzy są przyzwyczajeni do pewnego rytmu pracy, jest coraz ciężiej mentalnie.

– Najbardziej brakuje mi spektakli – stwierdza pierwszy solista Polskiego Baletu Narodowego (Teatr Wielki – Opera Narodowa) Dawid Trzensimiech. Artysta w 2020 roku tuż przed pierwszą falą pandemii poddał się operacji stopy, co spowodowało, że podczas pierwszego lockdownu nie czuł, że coś go omija, gdyż i tak nie mógłby uczestniczyć w próbach. Jednak po powrocie do formy, gdy był już gotowy na wyjście na scenę, odwołano spektakle.

– Było mi naprawdę trudno poradzić sobie z tą sytuacją, bo byłem gotowy i chciałem już wrócić na scenę – podkreśla. Dla tancerza z Warszawy balet stanowi ogromną część tego, kim jest. „Pandemia przypomniła mi o ulotności i kruchości naszego pięknego zawodu. Po otwarciu teatrów chciałbym wychodzić na scenę z radością, a nie jak dotąd ze zbyt dużymi oczekiwaniami w stosunku do własnej osoby” – dodaje Dawid Trzensimiech.



Dawid Trzensimiech

FOT. © EWA KRASUCKA

Czas pandemii motywuje do refleksji nad tym, czy ten zawód – zawód artysty – ma sens, czy stęsknieni za sceną tancerze, wrócą silniejsi? Czy artysta bez publiczności nadal może się tak nazywać? Czy sztuka baletu przetrwa?

Myślę, że spragnieni powrotu do normalności, zdeterminowani wrócimy na scenę silniejsi i jeszcze bardziej będziemy doceniać fakt, że możemy dzielić się sztuką z innymi.

Miejmy nadzieję, że nie będzie się to działo tylko w świecie wirtualnym.

ANNA MENDAKIEWICZ ■

Wszystko zaczęło się w Warszawie

CZ. 2



FOT. © PAWEŁ GRZĘGRZÓŁKA

■ BOŻENA KOCIOŁKOWSKA



Pamiętam, kiedy na święta Bożego Narodzenia w latach 50. przyplwały z Kuby pomarańcze, banany, figi... Był to rarytas czasów mojego

dzieciństwa. Nie przeszkadzało nawet, że niektóre były już trochę zgniłe, po zbyt długim leżeniu w porcie... Ozdoby do włosów robiło się z kabla elektrycznego, który miał w środku trzy kolory przewodów owiniętych w plastik. Plastik ów ściągało się ostrożnie i zapalało na spince do włosów... To był szal elegancji czasów stalinowskich. Jakże to porównać z dzisiejszym światem, gdzie od wszelakich dóbr dostaje się zawrotu głowy?

Siermiężna proza ówczesnego życia dotyczyła nas wszystkich (poza oczywiście uprzywilejowanymi), ale czyż z osiągnięcia dóbr materialnych należało czynić życiowy priorytet? Moja Muza mówiła: „Czym się przejmujesz, masz swoją pasję i tylko jej bądź wierna”. I zawsze miała rację! Oczywiście wiele lat musiało upłynąć, aby to wszystko pojąć. Wtedy cały świat przysłał mi mój ukochany taniec.

Wdorosłym życiu coraz częściej pragnęłam się podzielić wrażeniami oraz przemyśleniami powstałymi na drodze wielu lat mej egzystencji. Mądrość to jedyna uroda dojrzałości (starości). „No, nie przesadzaj” – mówiła mi Muza. „Dojrzałość ma wiele kolorów, musisz tylko znaleźć sposób na ich odkrywanie”. Miała rację po raz kolejny...

Próbowałam odkrywać urodę oraz siłę potęgi dojrzałości, a ro-

bię to do dziś. I coraz bardziej mi ona smakuje. Po zejściu ze sceny czułam się tak, jakby mnie życie odesłało na wcześniejszą emeryturę. Jakby wyrzucono mnie za burtę z okrętu, będącego na pełnym morzu. Po tygodniu psychicznej kwarantanny zdołałam się jakoś pozbierać. Zadałam sobie wówczas pytanie: I co dalej? Niestety, w zawodzie tancerki nie można sobie zbudować zaplecza finansowego, chyba że odziedziczy się spadek lub bogato wyjdzie za mąż, a to jest raczej domeną filmowej fikcji. Jeśli nie ma się tych możliwości, trzeba budować wszystko od początku.

Ważne jest to, aby znaleźć sposób na życie po skończeniu kariery scenicznej. Jakież to niesprawiedliwe... Taniec baletowy na scenie to chyba najkrócej trwający zawód świata... Dziewięć lat nauki w szkole baletowej, dwadzieścia lat pracy na scenie i w wieku czterdziestu lat emerytura... O tym trzeba pomyśleć jeszcze za młodu, by później przygotować się i przejść metamorfozę do innej życiowej roli.

Cóż zatem miałam robić dalej w życiu? Człowiek budzi się rano i myśli: po pierwsze nie muszę codziennie rano „katować się” na lekcjach, próbach, spektaklach, które same w sobie są piękne, ale nikt z widzów nie zdaje sobie sprawy, jak długa i wyczerpująca do szczytu praca się z nimi wiąże. Moja Muza mówiła mi zawsze magiczne słowa: „Możesz, tylko poszukaj w swojej wyobraźni sposobu na to”. To były mądre sugestie i podpowiedzi, jak wszystkie pozostałe płynące od niej. Wybrana droga może przynieść wiele niespodzianek. Można spotkać na niej wielu ludzi wierzących w to samo co



Odette w Jeziorze Łabędzim, debiut, 1961

i my. Ludzi, którzy będą nas inspirować, a wspólne bycie z nimi razem doda nam sił.

W ciągu lat zmieniło się moje widzenie świata, a także przemianom ulegało moje w tym świecie istnienie. Coraz bardziej zaczęłam dostrzegać siebie jako małeńki element konstrukcji wszechświata. Ograniczenie własnego ego na rzecz innych ludzi to wielka sztuka. Myślałam, że jestem najpiękniejsza na świecie, a tu okazało się, że owszem, jestem najpiękniejsza, ale „w całej wsi”. Ego u artystów jest szczególnie rozbudowane... Wszakże bez niego trudno byłoby przetrwać na scenie. „Dziecko, przestań już filozofować i zejź na ziemię” – powiedziała jednak w pewnej chwili moja Muza.

Zaczęłam ćwiczyć balet w dziesiątym roku życia. Nie miałam normalnego dzieciństwa, rówieśników z podwórka. Żyłam w dwóch światach. Popowstaniowe grunty dookoła w Warszawie i świat tańca w szkole baletowej. Pracowałam na swój sukces od najmłodszych lat. Warszawę budowano na nowo na moich oczach. Do tej atmosfery, przesiąkniętej czymś metafizycznym, ekstremalnie niecodziennym, odrealnionym, szalonym, należało dodać klimat szkół baletowych, w których panuje rywalizacja, zaznaje się wielu stresów, ogromnej presji, a nawet zawiści. I teraz popatrzmy na dziecko, które musi się w tym wszystkim odnaleźć...

Jakie to trudne! I czemu służące? Temu, by rozwijać talent, by nie zmarnować daru, który otrzymało się od Pana Boga! To ogromne życiowe wyzwanie, ale również ogromne, wręcz totalne ryzyko. Nie wszystkim się to udaje. Mnie się chyba powiodło i nie żałuję ani jednej godziny ćwiczeń spośród tysięcy spędzonych w szkole baletowej za młodu. Doszłam w rezultacie do takiej pozycji życiowej, która mnie całkowicie satysfakcjonuje. Czy nie mogło być lepiej? Oczywiście, że mogło. Ale trzeba się cieszyć z tego, co udało się osiągnąć.

Doświadczylałam zarówno sukcesu, jak i porażek. Wiem, jak bolą te drugie. A na brawa czekałam długo. I jeszcze jedna refleksja: w tym zawodzie nie można być przesadnie skromnym, ponieważ wtedy zostaniemy stłamszeni przez otoczenie. Lecz u progu kariery należy mieć w sobie dużo pokory. Trzeba też mieć szczęście; dobrze, gdy ono dopisze. Mieć ponadto

trochę autoironii – to kolejne przykazanie. Trzeba przejść długą drogę, aby spełnić wreszcie marzenia. Codziennie należy robić małe rzeczy, aby powoli dojść do wielkich. A jest to wędrówka przez cierpiecie, zwłaszcza kiedy uprawia się zawód artystyczny, i to z tak niezmiernie krótkim zapasem czasu.

Moja Muza powiedziała: „Z powodu tych cierni twoja uroda nie ucierpiała, ale samozadowolenie czy wręcz samouwielbienie może doprowadzić cię do upadku”. I miała rację po raz setny. Sukces to... ale ważniejsze wydaje się dążenie do niego.

Osiągnięcie prawdziwego sukcesu jest niemożliwe, bo ten pełny nie istnieje. W Polsce sukces boli szczególnie tych, którzy go nie odnieśli. Niewiele wchodzi na Olimp, większość drecze u podstawy, a elokwentni amatorzy potrafią przytłoczyć profesjonalistów. O losie polskiego baletu często decydowali, i nadal decydują, ludzie niezwiązani ze sztuką tańca. A to nie wychodzi tej pięknej dziedzinie na dobre.

W komunizmie byliśmy odcięci od zachodnich osiągnięć w tej sztuce. Dopiero pod sam koniec lat 60. zawitało do Polski kilka zagranicznych zespołów. Wówczas, ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że wiedza, jaką otrzymaliśmy w Polsce do tej pory, nie jest jedyna, a co najważniejsze – nie jest wystarczająca do uprawiania tego zawodu dziś – w XXI wieku. Taniec współczesny, który rozwijał się na

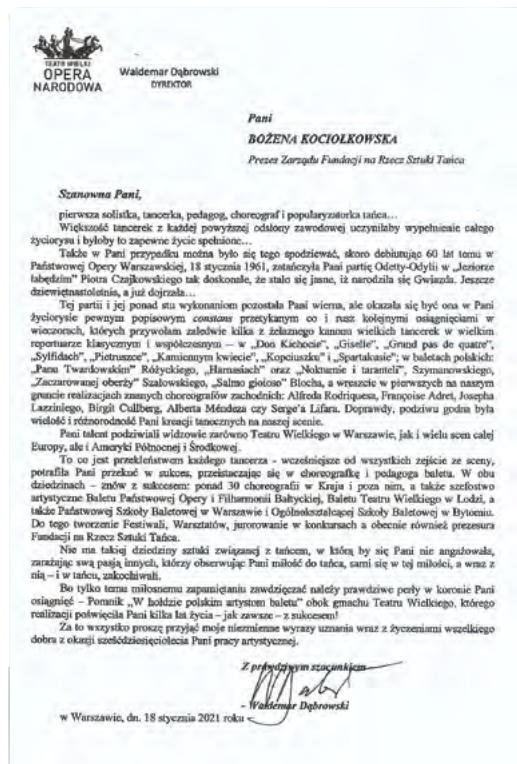
Zachodzie od początku XX stulecia, w Polsce był nieznany. Wszystko przekreśliła II wojna światowa i późniejsza dyktatura Związku Radzieckiego. Także w balecie, bardzo zresztą w ZSRR upolitycznionym. Zatem taniec nowoczesny, zachodni, zaczęto u nas dopiero odkrywać. CDN.

BOŻENA KOCIOŁKOWSKA ■



Bożena Kociołkowska w partii Odetty w *Jejorze łabędzim*, towarzyszy jej Zbigniew Strzałkowski w roli Księcia, Państwowa Opera Warszawska, 1961

FOT. © ARCHIWUM TW-ON



List Dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w Warszawie z okazji jubileuszu 60-lecia pracy artystycznej Bożeny Kociołkowskiej

REPR. RADOŚLAWA PIENIŹNA-GRABOWSKA

Z Olsztyna do Chicago

■ KATARZYNA LEŚNIEWSKA



Pamięci Cecylii Rożnowskiej

Cecylia Rożnowska
zasłużona dla kultury
polskiej pedagog,
choreograf, założycielka
Zespołu Pieśni i Tańca
„Warmia” w Olsztynie
oraz „Polonia” w Chicago,
wielka osobowość
i niezwykle człowiek,
zmarła w wieku 92 lat.

Historia Zespołu Pieśni i Tańca „Warmia” sięga lat 50. ubiegłego stulecia. W 1954 roku Cecylia Rożnowska zostaje pozyskana z konkurencyjnego zespołu działającego przy Technikum Łączności, po tym jak z tymże zespołem uzyskała I miejsce podczas przeglądu zespołów tanecznych, wyprzedzając Zespół Pieśni i Tańca Technikum Kolejowego. To właśnie wtedy, po udanym przejęciu i dzięki jej pracy, powstał Zespół Pieśni i Tańca „Warmia”, z którym była związana przez blisko 30 lat.

O tych początkach wspomniała w olsztyńskim ratuszu, gdy w 2008 roku odwiedziła Polskę. Mówiła wówczas: „Miałam szczęście pracować z niesamowitymi osobami, którym na sercu leży polskość, Warmia i Mazury. Dlatego jak zorganizowałam zespół nazwałam go «Warmia», żeby wszystko, co działo się tutaj ważnego w tańcu, w piosenie, w słowie, widowiskach odkrywać na nowo i pokazać, że to piękny region”.

Późniejszy czas jest pasmem sukcesów. W 1968 roku Zespół otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, roku później „Złote Skrzydło Ikara”. Olbrzymim sukcesem

i momentem przełomowym było również podpisanie porozumienia o współpracy i wymianie kulturalnej z polonijnym zespołem „Biały Orzeł” z Kanady oraz pierwsze tournée koncertowe po krajach Europy Zachodniej: Francji i Belgii, a także zdobycie złotego medalu na Europejskim Festiwalu Zespołów Folklorystycznych w NRD (1978). W roku 1980 Zespół został uhonorowany Medalem Prezydenta Miasta Olsztyna.

„Warmia” była i jest zespołem wielopokoleniowym, tańczą w nim dziadkowie, rodzice i dzieci, a ci co już są na tanecznej emeryturze niezwykle ciepło wspominają Cecylię Rożnowską. Jedną z takich osób jest mieszkająca w Niemczech Joanna Wulfert, która tak zapamiętała panią Cecylię: „Była przede wszystkim moją drugą matką, naszą drugą matką. Była pedagogiem



FOT. © ANDRZEJ BARANIAK / MONITORLOCALNEWS.COM



FOT. © ARCHIWUM ZESPOŁU POLONIA, CHICAGO



i choreografem w Zespole, ale przede wszystkim kobietą, która stworzyła nam drugi dom. Rozbudziła we mnie miłość do śpiewu, tańca i polskiego folkloru. Dzięki niej zaczęło bić moje folklorystyczne serce. Z wielką lekkością i elegancją poruszała się po salonach świata i nas też tego uczyła. Oprócz lekcji śpiewu i tańca pobieraliśmy lekcje dobrych manier, jak zachowywać się w towarzystwie, czy nawet jak jeść sztuczkami. Mieliliśmy wyżyć się poczuciem byciem obywatelem Trzeciego Świata”.

– Nie było dla niej spraw niemożliwych – opowiada J. Wulfert. – Dla swojego zespołu była w stanie przyciągnąć gwiazdkę z nieba. Na początku lat 80. przyczyniła się do zakupu dla zespołu rzeczy prawie nieosiągalnej: własnego autokaru, o którym marzył każdy zespół. Swoje autokary miały tylko państwowe zespoły zawodowe, jak „Mazowsze” i „Śląsk”. W głębokim PRL-u, kiedy wszystko było szare i smutne, a wszyscy byliśmy ograniczeni do poruszania się na terenie Polski, pani Cecylia stworzyła z Zespołu „Warmia” towar eksportowy.

Po czasach, kiedy Zespół odnosił sukcesy tylko w Polsce, Cecylia Rożnowska otrzymała m.in. Honorową Odznakę Zasłużony dla Warmii i Mazur, a o Zespole dowiedział świat.

– Wyjechaliśmy na pierwsze tournée po Jugosławii, a później po krajach Europy Zachodniej Francja-Belgia, posypały się liczne nagrody i zaproszenia do innych krajów. „Warmia” stała się zespołem znanym i zapraszającym, a Cecylia pokazała nam sceny świata, inną kulturę, otworzyła szeroko okno na świat, przez które ja wyfrunęłam – wspomina ze wzruszeniem Joanna Wulfert. – Dzięki niej, w 1981 roku zespołowi „Warmia” został nadany tytuł Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca Kolejarzy Polskich „Warmia”.

– Nasze drogi na przestrzeni 42 lat wielokrotnie krzyżowały się, pomimo dzielącej nas znacznej odległości geograficznej. Pani

Cecylia mieszkała w USA, ja w Niemczech. Nasze spotkania odbywały się w Olsztynie, Lublinie i przede wszystkim w Rzeszowie. To właśnie Rzeszów od ponad 50 lat jest stolicą Światowych Festiwali Polonijnych Zespołów Folklorystycznych. Tu powstała Rada Światowego Festiwalu, gdzie pani Cecylia była ikoną kultury folklorystycznej, a ja jestem członkiem zarządu. Zawdzięczam jej bardzo wiele. To dzięki niej poznałam mojego męża i jestem tu, gdzie jestem – podkreśla Joanna Wulfert.

W równie ciepłym tonie wspomina Cecylię Rożnowską Iwona Buńko, jej wychowanka, która, kiedy została przyjęta do Zespołu była uczennicą szkoły podstawowej.

– Pani Cecylia była dla nas jak mama. Zapamiętałam ją jako osobę niezwykle życzliwą i empatyczną. Była zawsze kobietą elegancką, którą podziwialiśmy i chcieliśmy naśladować – opowiada Iwona Buńko. – Uwrażliwiła nas na muzykę i sztukę, dzięki niej otrzymałam wiedzę, której nie wyniosłabym z „podstawówki”. Można się było zwrócić do niej z każdym problemem, nie tylko związanym z tańcem. Ponadto była osobą bardzo cierpliwą, a jak wiadomo ujarzmić taką gromadkę młodych ludzi nie jest wcale łatwo. Nigdy nie widziałam jej zdenerwowanej ani podnoszącej głos, jeżeli coś nam nie

wychodziło. Mogliśmy powtarzać układ kilka razy, a ona wykazywała się niezwykłą cierpliwością i życzliwością. W zespole tańczyłam pięć lat i to było najpiękniejsze pięć lat z mojego młodzieńczego życia.

W pierwszej połowie lat 80., po wielkiej tragedii osobistej (w wypadku straciła syna), postanowiła zostawić dorobek całego życia i wyjechała do Chicago, tam, gdzie zginął jej syn Janusz i mieszka córka Anna. Kierownictwo nad Zespołem Pieśni i Tańca „Warmia” przejął jej wychowanek i wieloletni tancerz Mariusz Krupiński, który do dzisiaj kieruje zespołem. Tam jednak miłość do folkloru nie dała o sobie zapomnieć. Założyła zespół folklorystyczny „Polonia”, który jako jedyny wykonuje tańce Warmii, a którym dzisiaj kieruje jej córka Anna Krysińska, natomiast choreografem jest wnuczka pani Cecylii – Jaclyn. Mentalnie nigdy jednak nie wyjechała z Polski, a jej serce cały czas za Olsztynem płakało.

Cecylia Rożnowska zmarła 10 stycznia 2021 roku w Chicago. Tydzień później, w Olsztynie, w bazylice konkatedralnej św. Jakuba, odbyła się Msza św. w Jej intencji. Pożegnali Ją byli wychowankowie, śpiewając na zakończenie liturgii dwie piosenki zespołowe Warmia, Warmia i Kraj rodzinny matki mej.

KATARZYNA LEŚNIEWSKA ■





Ostatnie pożegnanie śp. Cecylii Rożnowskiej w obiektywie Andrzeja Baraniaka

„Cała nasza Zespołowa rodzina jest pogrążona w głębokim smutku i ogromnym żalu. Pani Cecylia była dla nas choreografem, nauczycielem, mentorem, babcią, matką i kochającą opiekunką. To przez nią kochamy taniec, muzykę, folklor. Pani Celinko, w naszych sercach jest Pani na zawsze. Spoczywaj w pokoju!

Polonia Polish Folk Song & Dance Ensemble



FOT. © ANDRZEJ BARANIAK



Midrasz o dziejach

MARZENA

BURCZYCKA-WOŹNIAK



Wymarłe życie przestaje służyć sobie, służy natomiast temu, które przychodzi po nim jako *novum*...

Naturalne to prawo, powszechnie zrozumiałe, zaakceptowane i stosowane, będące przy tym głównym prawem triasowej Pangei – gwarantowało jej burzliwą i barwną przyszłość: oto nadchodzą – dziesiątkami i setkami – kolejne miliony lat; oto już stoi w kolejce do wymarcia chluba wzmiankowanej Wszechziemi – jej niepowtarzalna flora i fauna. Ona zaś sama, posłuszna żelaznej dyscyplinie cyklu, szykuje się do zwyczajowego (raz na pół miliarda lat) rozpadu. Rzecz jasna, scali się z czasem w fazie kolejnego scalania i zniweluje rozproszenie na kontynenty. Będzie już jednak inna. Pangeę II odróżni od Pangei I jej przystosowawcze nowatorstwo.

Drzewo życia

By znaleźć dla siebie miejsce na Wielkim Drzewie Ciągłe Rozwijającego się Życia, człowiek musiał swoje odczekać. Regularnie wyprzedzały go rzesze *ad hoc* przysposobionych, do niczego jeszcze niepodobnych istot: bakterii na przykład lub tysiąckroć mniejszych wirusów, bezimiennych przodków pierwotniaków, glonów i sinic (po czym ich samych); ładnych w tym towarzystwie żebroplawów, za to brzydkich gąbek. Wyprzedziły człowieka proterozoiczne grzyby, mchy, widłaki, skrzypy, paprocie zarodnikowe i paprocie nasienne, miłorzęby, opieszale w ewolucyjnym wyścigu trawy. Pośród wyprzedzających były odstręczające: plazińce, nicienie, pierścienice, a i ślimaki, skorupiaki, pajęczaki, antycypacyjnie dokuczliwe owady... Były ryby, płazy, gady – pośród nich dinozaury (niektóre skrzydlate i opierzone). Praptaki. Osobliwe prawie-ssaki w niszach (ciepłych jeszcze) po dinozaurach. Ssaki właściwe...

Wreszcie na szarym końcu pojawił się na czubku Wielkiego Drzewa Ciągłe Rozwijającego się Życia człowiek – byt z bytów i ciało z ciał niżej na Drzewie posadowionych. Różni się on od nich wszystkich tym, że służy innym celom aniżeli tylko ewolucyjne.

Król pasterz

„Był sobie król...” – tak zwykły zaczynać się opowieści (z założenia założycielskie) o dziejach ludzkich wspólnot. Snuto je powszechnie na Ziemi dotkniętej cezurą

Głównego Potopu – nie specjalnie zważając, czy było dokładnie tak, jak było i ściśle wtedy, kiedy było...

W Sumerze nad Eufratem, a konkretnie w sumeryjskim Uruk żył sobie pewien król, który był sipą – pasterzem owiec w wełnianej czapie. Kochał on swoje owce, a te najmniejsze i najsłabsze nosił na rękach. Z jakichś względów królem w Uruk nie mogli być: pasterz bydła i pasterz świń o rozdwojonych kopytach...

Słowo „sipa” pojawia się na sumeryjskiej Liście królów przedpotopowych i popotopowych kilkakrotnie. Wedle zapisu, królem panującym przed Głównym Potopem był sipa Dumuzi [za: jedna z wielu glinianych tabliczek, kopia kopii]; po czym, jak już „potop zmiotł wszystko” [Ibid.], w następującej po nim erze zapisali się klinowymi zgłoskami jako sipa historyczni, dwaj wcześnie władcy w Lagasz – Etana i Lugalbanda.

Gudea z drugiej dynastii w Lagasz nie jest wpisany na Listę jako pasterz, ale to nic, bo i tak nosi on pasterską, wełnianą czapkę (z miedzi) na swoich posagach. Nie inaczej Ur-Namma z trzeciej dynastii w Ur: stuprocentowy panujący sipa o dobrym sercu. On to otrzymał od bogów *Kodeks Ur-Nammy* – znacząco różny od tego, jaki czterysta lat po nim otrzyma (już jako



Sumeryjski król-pasterz – idealny władca starożytności; na głowie ma pasterską wełnianą czapkę, a w rękach trzyma małą owcę. FOT. © STAROZYTNYSUMER.PL

Kodeks Hammurabiego) od potężnego boga słońca zawłaszczyciel, a następnie zatraciciel całego Sumero-Akadu: Hammurabi-okrutnik, Babilończyk.

– Oko za oko – zwykł stanowić tenże – ząb za ząb, goleń za goleń, ucho za ucho...

Ur-Namma natomiast – prawodawca z Ur każde oko, ząb, straskaną kość, dwa razy w palcach obróci, dwa razy im się przyjrzy, by wreszcie – za podszeptem humanitarnych bogów – ustanowić co następuje:

§ 18. Jeśli człowiek wybije oko drugiemu, odważy mu pół miny srebra.

§ 21. Jeśli ktoś odciął nos innemu człowiekowi miedzianym nożem, musi zapłacić dwie trzecie miny srebra.

§ 22. Jeśli ktoś wybił ząb drugiemu człowiekowi, zapłaci 2 szekle srebra [...].

Wewoluujący (czyżby przy tym biegający na oślep?) rozwój Wszystkiego naturalnie wpisują się: przypadek, jakieś zagapienie się lub przeciwnie – wyprzedzenie swojego czasu.

Co do Sumerów – lud ów, o którym nie wiadomo skąd przybył nad Eufrat, by zamienić tu swoje namioty na domy z suszonych cegieł, zastałe łąki na pola uprawne, dzikie zwierzęta na hodowlane... Lud, który poznał się na ruchu gwiazd i wzniósł ziggurat *vis-à-vis* bogów zamieszkujących planety; który pierwszy posłużył się kołem, miarą i wagą, zero nazwał zerem, liczył i ułamkował, wynalazł pismo, zgrabnym eposem odreagował własną śmiertelność... Tenże sam sumeryjski lud, który zaprzeczył okrutnemu prawu talionu (wet za wet), kiedy tego jeszcze nie było na Ziemi, i który ideału władcy poszukał pomiędzy pasterzami...

Owóz lud ten, niegdysiejszy kwiat pustyni mezopotamskiej, nie mógł jednak kwitnąć tam bez końca. Zdmuchnął go (jakby był niczym) wiejący bez wytchnienia wiatr dziejów. Po czym nadeszło – jakże by inaczej? – dziejowe *novum* niosące naręczę własnych obietnic. ■

Cena prawdy

Byla taka sztuka teatralna napisana przed wojną, a grana też w powojennych teatrach, zatytułowana Dzień bez kłamstwa. Perypetie bohaterów sprowadzały się do tego, jak pogodzić dobre maniery z absolutną prawdomównością. Z chwilą, kiedy dobre maniery przestały obowiązywać, problem sam się rozwiązał.

Teraz prawdomówność przestaje obowiązywać w kolejnych dziedzinach życia. Dawniej też kłamano, ale polityk złapany na kłamstwie podawał się do dymisji. Dyplomacja nigdy nie miała zbyt wiele wspólnego z prawdomównością, wymagała i nadal wymaga sprytu. W tej dziedzinie Polska dyplomacja wygląda, jakby wyżej sobie jednak ceniła prawdę od państwowych interesów.

Choroby bezobjawowe

W najdemokratyczniejszej demokracji świata, czyli Związku Sowieckim przodującym we wszelkich dziedzinach życia, medycyna też przodowała. Tamtejsi lekarze odkryli „schizofrenię bezobjawową”. Taki prosty wynalazek pomagał im zamykać w odosobnieniu każdego, kto mógł stanowić zagrożenie dla „władzy ludowej”. Bez procesów, ba nawet bez jakichkolwiek zarzutów, można było tą metodą zamknąć bezterminowo dowolnego „wroga ludu”. Pozostali harowali i posłusznie wykonywali polecenia władz w przekonaniu, lub bez przekonania, że władza zawsze ma rację.

Czy obecnie mamy do czynienia z podobną sytuacją? Absolutnie nie! Nawet jeśli na to wygląda. Kwarantanna jest dla naszego dobra i bez znaczenia pozostaje fakt, jaki promil populacji ma objawy chorobowe. Ta konieczność powszechnego odosobnienia wynika wyłącznie z troski o nas wszystkich: tych zarażonych, zarażających i potencjalnie chorych bezobjawowo.

Mroźek

Jeśli ktoś nie oglądał poniedziałkowego teatru wyemitowanego 17 maja na antenie TVP1, niech żałuje. Teatromani, zakładając, że tacy jeszcze istnieją, mogli porównać dwa spektakle Mroźka: *Ambasador* reżyserowany przez Axera w 1997 roku i *Tango*, jako wypociny starannie dobranych „nowoczesnych” nieudaczników pokazane 29 marca br.

Ambasador Mroźka, to kwintesencja tego co w teatrze najlepsze. Nagranie pochodzi z ubiegłego wieku, kiedy to „nowoczesność w chacie i zagrodzie” dopiero raczkowała w teatrze. Wtedy pozwalano jeszcze, żeby świetny tekst reżyserował znakomity reżyser mający do dyspozycji samych profesjonalistów.

Przy okazji przekonałam się, że nie ogłuchłam. W przeciwieństwie do obecnie produkowanych głupkowatych seriali, tu nie miałam kłopotów z usłyszeniem i zrozumieniem każdego

Czy są jeszcze dziedziny życia, gdzie prawda obowiązuje? Na pewno nie w niezależnym sądownictwie, co widzimy na każdym kroku. Jest jednak taka domena ludzkiej działalności, która bez prawdy traci sens istnienia. Jest nią nauka. Nauka tym różni się od polityki, że tezę trzeba udowodnić, nie wystarczy jej słuszność, lub niesłuszność przegłosować.

Obecnie ludzkość stanęła przed ogromnym wyzwaniem – jak walczyć z pandemią? Naukowcy nigdy wcześniej nie mieli tak gigantycznej liczby dostępnych danych, które mogą posłużyć do rozwiązania problemu. Jaki jest tego wynik? Podział środowiska naukowego na tych tradycyjnych, poszukujących prawdy i tych, co już wszystko wiedzą. Tym pierwszym nie pozwala się wypowiadać, zakładając, że co by nie powiedzieli, to i tak nie mają racji. Jeśli tak, to co konkretnie wiedzą ci drudzy? Czyżby to, że serwują nam jeszcze jedną swoją ideologię, nie mającą nic wspólnego z nauką?

A może żyjemy już w nowym, lepszym świecie i nawet tego nie zauważyliśmy? Postulowana przez komunistów równość, zaczęła się od naśladowania Chińczyków w ubiorach nikogo nie wyróżniających. Czyż nie nosimy już wszyscy spodni, kufajek i masetek? Takie uniformy pozwalają rozróżniać ludzi tylko po gabarytach. Jeśli tak wygląda nowa forma komunizmu, to co do niej doprowadziło? Strach i wiara w zbawienie szczepionką? Jej producenci obiecującą przecież jedynie lżejszy przebieg choroby, nic więcej!

Mamy zatem do czynienia z pandemią strachu wywołaną przez wszystkie media, które wykazały się nadzwyczajną jednomyślnością w tej jednej sprawie. Nikt oczywiście nie wspomni o forsie jaką otrzymują za bredzenie w kółko o tym samym. Wielce udany eksperyment psychologiczny polegający na wmówieniu zdrowym choroby bezobjawowej. Czym jest pandemia paniki? Może prócz chorób bezobjawowych istnieją również objawy bez-chorobowe, do których można by zaliczyć zbiorową histerię, niezależnie od przyczyny ją wywołującej?

wypowiadanego przez aktora słowa. Szkoda, że dobra dykcja i profesjonalne nagranie dźwięku odeszły do lamusa.

Treść spektaklu robiła wrażenie, jakby autor napisał ją wczoraj, a zapowiadane wydarzenia mogłyby wydarzyć się jutro. W spektaklu występują przedstawiciele dwóch mocarstw i nie trudno domyśleć się, o jakie mocarstwa chodzi. Zasady działań są niezmiennie. Rosja od zawsze opiera władzę na kreowaniu złych emocji: strachu i nienawiści – strachu przed swoimi i nienawiści wobec obcych.

Do tego trzeba jeszcze dodać politykę zagraniczną. Tu rosyjscy agenci wpływu mają za zadanie budzić te same emocje, tylko odwrotnie skierowane. Widać to jasno na przykładzie Polski. Uduje im się dzielić i siać nienawiść między nami oraz paraliżujący strach przed Rosją, który zmusza do bezsensownych dla nas kompromisów. Czyż nie dajemy się rozgrywać w ten sposób od lat?

MAŁGORZATA TODD ■



LECH L. PRZYCHODZKI



Niektóre z nałęczowskich wąwozów utwardzane są betonowymi płytami. Opóźnia to erozję, rolnikom zaś pomaga w dojeździe na pola. Można się spierać, czy to jeszcze ochrona środowiska naturalnego, ale wyłączyć lessowych wąwozów z jakiegokolwiek użytkowania przecież się nie da. W tak pofałdowanym terenie innych realnie dróg dojazd do pól i lasów – brak.

Dnem wąwozów biega też dookoła uzdrowiska trasy trekkingowe. Jest gdzie wędrować i co oglądać. Chyba, że komuś wpadną do głowy pomysły z XIX wieku rodem (choć Żeromski i Prus nigdy by nie potraktowali w ten sposób perełek krajobrazu). Jeden z wąwozów miał również otrzymać nawierzchnię z płyt budowlanych. Zgromadzono je nawet u jego wlotu. Zabrakło funduszy, albo których z samorządów zmienił koncepcję – płyty zarosły krzewami tarniny i mchem, nawet nie bardzo rzucają się w oczy amatorom trekkingu i zwykłej łążki po górkach i dolinach.

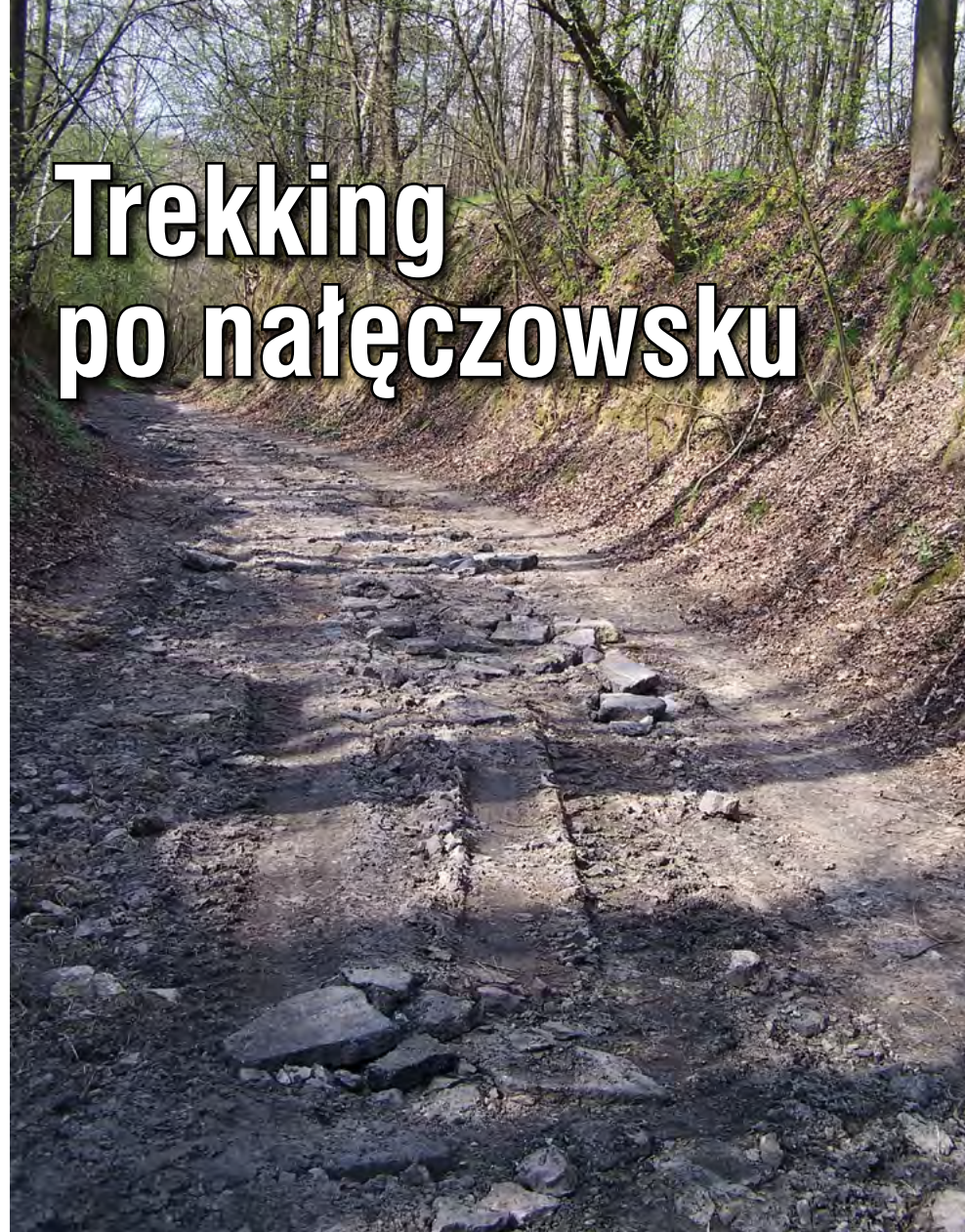
Zamiast betonu pojawił się w wąwozie asfalt – porozrzucano tam solidne fragmenty zerwanej gdzie indziej nawierzchni. Nie dość, iż wielkość czarnych „okrucich” utrudnia jazdę nie tylko autom, ale i rolniczym ciągnikom, to wyglądają ohydnie i w otoczenie się nie wkomponują. W dodatku dość szybko rozpadną się pod kołami pojazdów, a woda zniesie brudny mial i kamyki na wysokość przydrożnej kapliczki, gdzie też pojawiła się solidna pryzma asfaltowych ułamków.

Przy takim podejściu nie dziwi poszerzenie fragmentu innego wąwozu spychadłową bodaj dwa lata temu. Widocznie jacyś lokalni bonzowie nie potrafili się tam minąć samochodami na odcinku około 120 metrów.

Jeśli dodać do tego uciążliwy hałas pseudo-terenowych motocykli, rozjeżdżających nałęczowskie lasy, a w weekendy quady, niszczące teren szybciej od motorów i płoszące wszystko, co dzikie, a wciąż żywe – to uzdrowskowa strefa ciszy jest w Nałęczowie fikcją.

Miasteczko i tak opustoszało dzięki Covidowi-19; jeśli samorząd bez walki oddaje ostatnie atuty, jakimi są wąwozy, na pastwę troglodytów, to niebawem ktoś w stolicy może powiedzieć: „Basta!” i jednym podpisem odebrać Nałęczowowi prawa uzdrowiska.

W tym kraju najpierw dopuszcza się do nieszczęścia, potem zaś wylewa krokodyle łzy. Cóż, szkoły od dawna nie uczą logiki i związków przyczynowo-skutkowych, tylko rozwiązywania testów. I póki to się nie zmieni, ochrona środowiska w RP pozostanie fikcją dla naiwnych.



Dewiacja XXI wieku?

■ JAN TETTER



Ciekawostką socjologiczną, nie tylko polską, są przeróżne ruchy i organizacje neopogańskie, stowarzyszenia magiczne, ożywiona działalność gnostyków, teozofów, sekt religijnych, hermetyzmu, lub wprost satanizmu. Otwarcie popularyzuje się religie Wschodu – buddyzm, braminizm itp.

Wszystkie te ruchy pozostają w jawnej lub nieco tylko zakamuflowanej opozycji, a może nawet wrogości do chrześcijaństwa, zwłaszcza do katolicyzmu. Być może jest to pewnego rodzaju odpowiedź na zaktywizowanie się katolicyzmu za pontyfikatu Jana Pawła II. Być może jest to nowa strategia New Age, o której ostatnio słyszy się niewiele. Niewiele, bo chyba nastąpiła zmiana taktyki – główne założenia po prostu rozpisano na działania poszczególnych ogniw, które idee New Age realizują w swoim zakresie i na swoich odcinkach w inny, wyraźnie bardziej agresywny sposób.

Być może Polska, która była jednak izolowana od tego typu ruchów z Zachodu, teraz dopiero znalazła się w sferze bezpośredniego oddziaływania i nasze wrażenie zaktywizowania się tendencji antychrześcijańskich jest wrażeniem subiektywnym, a tendencje te były już od dawna; dziś przybierają formę otwartego ataku.

Pracując nad słownikiem mitów (*Mity narodów Europy*, Novae Res, Gdynia 2018), a konkretniej mówiąc nad uzupełnieniem haseł z zakresu mitologii słowiańskiej, korzystałem z wielu lektur, ale także pod tym kątem zacząłem głębiej penetrować Internet. Tutaj natrafiłem na dwie dość intrygujące sprawy.

Znane skądinąd środowisko Agory i „Gazety Wyborczej”, która w wielu

mutacjach stara się gubić, lub zapominać o swym drugim członie tytułu, prowadzi w Internecie rodzaj poradnika dla uczniów i studentów pt. „Ściąga”. Jest to inicjatywa perfidna. Rodzaj monitora, dającego zwięzłe po swojemu uporządkowaną tendencyjnie „poprawną” wiedzę w formie wypracowań „gotowców”. Można też znaleźć opracowanie na temat mitologii słowiańskiej z całym wykazem słowiańskiego panteonu bóstw, demonów, stworków i stworzów (nowe słowo?).

Nie wiem, będę musiał to jakoś sprawdzić, czy program nauczania w szkole średniej – czy tylko średniej – który nigdy dotychczas nie przewidywał, nawet w szczątkowej formie, przekazywania uczniom wiedzy o przedchrześcijańskich wierzeniach Słowian, naraz zajął się tą sprawą? „Gazeta Wyborcza” natychmiast pośpieszyła z pomocą w tej niejasnej i skomplikowanej materii. Czyżby była tutaj jakaś dodatkowa inicjatywa? Czy na przykład nie jest to reakcja na wprowadzenie lekcji religii do programu nauczania szkoły średniej?

Jest też jeszcze inny ciekawy aspekt sprawy. Otóż w roku 2005 zarejestrowany został oficjalnie Polski Kościół Rodzimy. Przejrzałem jego stronę internetową, bazuje on na przedchrześcijańskich wierzeniach Słowian. Panteon bóstw, duchów i demonów jest niezwykle bogaty i urozmaicony. Co więcej, podawany bez najmniejszych wątpliwości, jak rzecz pewna i udowodniona. W atmosferze swoiście pojętego patriotyzmu, tworzone są też jakieś drużyny słowiańskich wojów, przyjmujących najdziwniejsze imiona, co chyba miało być początkiem jakichś wspólnot.

„Ściąga” dokładnie powtarza założenia tego związku wyznaniowego, wprowadzie o nim nie wspominając nawet, ale bez wątpienia opracowanie dość ściśle z jego intencjami współgra. Oczywiście, i tu i tam pełno jest dość uszczypliwych uwag pod adresem Kościoła katolickiego, chrystianizacji i akcji misyjnych, w wielu punktach sugeruje się nawet zbrodnie duchowieństwa.

Rzecz jest dość zastanawiająca, bowiem panteon słowiańskich bóstw nie jest znów taki pewny. Według Aleksandra Brücknera (także Łowmiańskiego i Geysztora), potwierdzenie źródłowe ma ledwie kilka postaci. Dość bogate źródła archeologiczne wprawdzie potwierdzają

kult wielu bóstw, ale ani ich imiona, ani zakres kompetencji nie jest pewny. Niemal wszystko jest w sferze domysłów. To Jan Długosz w myśl zasady „Polacy nie gęsi” nadał wymyślone imiona słowiańskim bóstwom, bardzo dowolnie zaludniając cały słowiański, a zwłaszcza polski panteon. Brückner właściwie rozgromił ów panteon udowadniając, że nie ma on potwierdzenia w źródłach dotyczących Słowian, zarówno wschodnich jak i południowych.

Nowe opracowania Geysztora i Łowmiańskiego, wyjąwszy dwie, trzy postacie, potwierdzają to. Długosz – wykazując niejaki nadmiar dobrych chęci – chciał przydać chwały naszej przeszłości, chciał pokazać, że nie byliśmy gorsi choćby i od takich Greków, że swoją mitologię nie gorszą od innych mieliśmy, ale nauka ma nieco inne zdanie. Owszem, nauka nie przeczy, że mitologię, może nawet dość rozbudowaną mieliśmy, ale jej system, jej zasady, konstrukcja, nigdzie nie zostały zapisane, po prostu, dlatego, że Słowianie dość późno zaczęli posługiwać się pismem. Przykro, ale nic na to nie poradzimy.

Nasuwa się tutaj niepokojące pytanie: dlaczego „Ściąga” miesza w głowach gimnazjalistom i licealistom nie wspominając, że sprawa tak postawiona może być li tylko hipotezą bowiem dowodów brak. Brak tak generalnie, że możemy sobie tylko pogadać o pięknych naszych legendach. Ale, na miłość boską! – nie podajemy tego, jako fakty bezsporne, bo takim nie są, i nic nie wskazuje na to, aby się takowymi kiedyś okazały.

Poza tym warto się zastanowić, w czym interesie leży wskrzeszanie mar sprzed dwóch tysięcy lat? Czy jest to tylko taka dzisiejsza moda, jakiś chwilowy kaprys, zabawa – czy celowe mieszanie w głowach młodym ludziom? Zdecydowanie to drugie. Albowiem ma to wyraźny, nieco tylko zakamuflowany sens: „Patrzenie tylko, jaki ten Kościół chrześcijański był bezwzględny, niemiłosiernie karczował zakorzenione piękne tradycje prareligijne słowiańskie i polskie. O ile nas zubożył! Może warto byłoby do nich wracać? Niechaj Grecy, Rzymianie, Germanie znają, że nasza kultura, choć niepisana, nie zaczęła się od chrztu Mieszka I. A poza tym, przecież dzisiaj życie uczy, że każda religia jest tak samo dobra i każdy Bóg jest prawdziwy”.

„Pamięć Jastrzębska” pamięta

Od ponad pięciu lat Stowarzyszenie „Pamięć Jastrzębska” we współpracy ze Śląską Telewizją Miejską realizuje tzw. notacje filmowe czyli cykl filmów dokumentalnych upowszechniających uczestników walk niepodległościowych z czasów powojennej historii Polski. Do dzisiaj powstało ponad 30 filmów.

Stowarzyszenie „Pamięć Jastrzębska” to organizacja, której przewodzi znany wszystkim działacz niepodległościowy i związkowy Alojzy Pietrzyk; osoba, która swoim życiorysem mogłaby obdzielić wiele osób... Był jedną z pierwszoplanowych postaci wydarzeń na kopalni „Manifest Lipcowy” w Jastrzębiu Zdroju, internowany w stanie wojennym, potem uczestnik obrad „okrągłego Stołu”, szef regionu śląsko-dąbrowskiej „Solidarności”, poseł I kadencji Sejmu RP, a obecnie społecznik i propagator idei solidarnościowych i niepodległościowych.

Dzięki jego inicjatywie doszło do wielu konferencji i spotkań upamiętniających wydarzenia i osoby z nimi związane. Pomoc osobom represjonowanym z czasów komuny, lekcje „żywej” historii prowadzone w szkołach z uczestnikami opozycji antykomunistycznej, koncerty – to tylko niektóre z form aktywności, którym przewodzi Alojzy Pietrzyk.

Idea najnowszego przedsięwzięcia „Pamięci Jastrzębskiej”, której prezesuje, polega na udokumentowaniu relacji i wspomnień jak największej liczby osób – uczestników bądź bezpośrednich świadków – wydarzeń związanych z walką z komunizmem.

Notacje, których producentem jest Stowarzyszenie z opieką merytoryczną jej prezesa, realizuje Śląska Telewizja Miejska w Świętochłowicach. Dotychczasowe filmy powstały częściowo przy wsparciu Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, Jastrzębskiej Spółki Węglowej S.A. oraz ze środków własnych.

Do początkowej idei udokumentowania jak największej liczby relacji osób, które były bezpośrednimi świadkami wydarzeń związanych z walką z komunizmem, obecnie dojdzie rozszerzona ich wersja. *Novum* będzie cykl notacji z rodzinami bezpośrednich uczestników wydarzeń sprzed lat, przede wszystkim z żonami, matkami, dziećmi.

– Mogłoby się wydawać, że tylko ci, którzy bezpośrednio brali udział w wydarzeniach mają znaczenie, jednak należy oddać również hołd tym, którzy chyba byli „cichymi” bohaterami – podkreśla twórca przedsięwzięcia A. Pietrzyk. – Oprócz oddania hołdu dodatkowo zbiór tych niezwykłych opowieści wzbogaci się o informacje z jeszcze innej perspektywy – dodaje.

Dotychczasowe filmy można obejrzeć w Internecie, m.in. na kanale YouTube i profilu FB „Pamięci Jastrzębskiej”.

GRZEGORZ MIKA ■

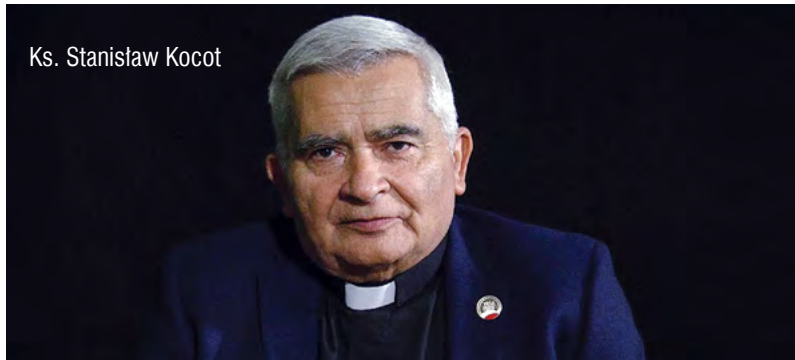
Alojzy Pietrzyk



Jan Romański



Ks. Stanisław Kocot



Andrzej Sokółowski



Tadeusz Grzenia



„Traditio” po raz 13.

Wzwiązku z negatywnymi skutkami wywoływanymi przez pandemię, w centrum uwagi opinii publicznej znajdują się dziś lekarze, ludzie nauki i rządzący. Pierwsi i drudzy oskarżani o nieczyste metody naukowe i zawodowe, wobec tych trzecich potęguje się brak zaufania obywateli z powodu niespójnej narracji i wprowadzania nieprzewidywalnych, zmieniających się w zawrotnym

tempie decyzji o zachowaniu zasad ostrożności, obostrzeniach czy ustaleniach wobec właścicieli firm lub instytucji kultury.

Perspektywa trudnej do zrozumienia i do opanowania sytuacji wzmacnia u ludzi lęk, agresję, potęguje zniechęcenie w relacjach. Czy jesteśmy jeszcze ludźmi



lowe poczucie satysfakcji?

Czasopismo „Traditio. Przestrzeń Cywilizacji Łacińskiej” jest projektem zapoczątkowanym w środowisku Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. W roku 2015 młodzi dziennikarze, studenci oraz absolwenci dziennikarstwa

nadziei? Jaka nadzieja w nas pozostanie? Czy ta, której źródłem jest miłość Boża: „nadzieja zawieść nie może, ponieważ miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany” (Rz 5,5), czy ta druga, zwana „matką głupich”; nadzieja na osiągnięcie celu niemożliwego lub celu niewiele wartego, zbyt łatwego, którego zdobycie powoduje chwi-

i komunikacji społecznej naszej *Alma Mater*, zainteresowani *latinitas*, antropologią i kulturą chrześcijańską zaczęli łączyć w jedno swoje artykuły naukowe i popularnonaukowe, wskazując w nich na wartości jakimi są: osoba ludzka, chrześcijaństwo, patriotyzm, rodzina, nauka, język.

Od tamtego czasu minęło sześć lat. Dziś jednakowo przekonani o ważności i sensowności naszych działań, świadomi rosnącego w Europie zagrożenia dla wspomnianego dorobku, wydajemy kolejny 13. numer czasopisma, który niebawem będzie dostępny w wersji drukowanej w bibliotekach uczelnianych, a także w sieci internetowej.

Ludzi pióra, dzielących naszą pasję cywilizacją łacińską zapraszamy do kontaktu z redakcją, nadsyłanie artykułów dziennikarskich i naukowych na poniższy adres: redakcja@traditio.pl

DOROTA KUMOREK ■
Redaktor naczelna „Traditio”

Apel Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska”

Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce wyrażając zgodę na lokalizację pomnika „Rzeź Wołyńska” Mistrza Pityńskiego w gminie Jarocin podkreśliło szczególnie, że zależy im „aby pomnik «Rzeź Wołyńska» był w pełnym tego słowa znaczeniu darem dla Narodu Polskiego od polskich weteranów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady”.

SWAP zadeklarowało pokrycie kosztów związanych z adaptacją miejsca pod pomnik, budową cokołu i transportu rzeźby z Gliwic, ale to nie wyczerpuje listy niezbędnych wydatków związanych ze wzniesieniem pomnika. Zanim projekt uchwały o budowie pomnika Mistrza Pityńskiego trafił pod obrady Rady Gminy w Jarocinie ogłosiłem publicznie, że budżet gminy nie będzie obciążony kosztami zakupu działek pod pomnik a niezbędne finanse zostaną uzyskane poprzez organizację zbiórki na ten cel. Muszę tego zobowiązania dotrzymać. Inne niezbędne wydatki to koszty związane z utrzymaniem monitoringu, zakupu energii, porządkowaniem terenu, wykonaniem tablic informacyjnych, niewykluczonym jest wykonanie dokumentacji projektowej budynku umożliwiającego ekspozycję dokumentującą martyrologię mieszkańców miejscowości z Wołynia i Małopolski Wschodniej itp.

Gmina Jarocin musi także dokonać przebudowy drogi gminnej prowadzącej

do terenu z pomnikiem poprzez położenie nawierzchni asfaltowej. Gmina Jarocin nie wznosi pomnika „Rzeź Wołyńska” tylko dla siebie. Spełniamy długoletnie oczekiwania wielu środowisk patriotycznych w kraju, jak i poza jego granicami.

Wielu jest zadowolonych, że pomnik nie stanie w dużym ośrodku miejskim. Zwracam uwagę, że dotychczas to się nie udawało i nic nie wskazywało, że w najbliższej przyszłości miałyby się to zmienić. Za lokalizacją pomnika na terenie gminy Jarocin przemawia również wspólnota wojennych losów. Śmierć z rąk ukraińskich nacjonalistów ponieśli głównie mieszkańcy wsi. Miejscowości z naszej gminy były także jednymi z najbardziej doświadczonych podczas okupacji niemieckiej. W niektórych wioskach spalono zostały niemal wszystkie zabudowania a śmierć poniosło około 400 osób. Wśród zamordowanych w pacyfikacjach bardzo dużą liczbę stanowiły dzieci, kobiety i starcy. W wielu okolicznych pacyfikowanych wioskach, Niemców wspierali ukraińscy kolaboranci, policja ukraińska i oddziały SS Galizien. Tak było w Jarocinie, Momotach Dolnych i Górnych, Łązku Zaklikowskim, Pikulach i innych.

Niewątpliwym atutem lokalizacji w gminie Jarocin jest usytuowanie terenu pod pomnik w bezpośrednim sąsiedztwie trasy szybkiego ruchu S19 (Barwinek –

Rzeszów – Lublin – Kuźnica Białostocka), w odległości około 15 km od węzła Zapacz, w którym w nieodległej przyszłości krzyżować się będą trasa S19 z trasą S74 (Nisko – Piotrków Trybunalski). Niecałe 300 m dzielić będzie miejsce pod pomnik od obecnej drogi krajowej nr 19.

Podczas konferencji, która odbyła się w Jarocinie przedstawiłem koncepcję, żeby pomnik „Rzezi Wołyńskiej” Andrzeja Pityńskiego był załącznikiem ośrodka dokumentującego losy wsi na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej na wzór Muzeum Martyrologii Wsi Polskich w Michniowie, które dokumentuje losy pacyfikowanych przez Niemców wsi, ale leżących w aktualnych granicach Polski.

W jakim zakresie uda się Społecznemu Komitetowi Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie te plany zrealizować zależy od ofiarności ludzi dobrej woli w kraju, jak i zagranicą.

ZBIGNIEW WALCZAK ■
Wójt Gminy Jarocin
Prezesa SKBP „Rzeź Wołyńska”

□ Konto Społecznego Komitetu Budowy Pomnika „Rzeź Wołyńska” w Domostawie: BNP Paribas Bank Polska S.A. nr 95 1600 1462 1894 9205 2000 0001. Dla wpłacających zagranicą: PL 95 1600 1462 1894 9205 2000 0001, kod SWIFT: PPABPLPK wpłaty prosimy dokonywać z dopiskiem „darowizna na cele statutowe”.

FUNDACJA

NIEZALEŻNY FUNDUSZ KULTURY POLCANART



WITOLD HULEWICZ ON-LINE

Strona jest nie tylko miejscem prezentowania informacji dotyczących życia, działalności i dorobku twórczego Witolda Hulewicza, ale również forum dyskusji i współpracy z instytucjami, stowarzyszeniami i fundacjami, które zechcą włączyć się w promocję postaci tego wybitnego poety i krytyka literackiego, tłumacza i wydawcy oraz organizatora rozgłośni Polskiego Radia w Wilnie.

OWIEDŹ STRONĘ

CELE - ZAŁOŻENIA - RELACJE

Fundacja „Niezależny Fundusz Kultury POLCANART” z pewnością nie zaspokoi w pełni ustawicznie rosnących potrzeb artystów ale niewątpliwie przyczyni się do poprawy ich środków finansowych, a tym samym do promocji twórców, odpowiadając równocześnie na oczekiwane zmiany w zakresie struktury i finansowania kultury.

CELE

- wspomaganie artystów i animatorów kultury w pozyskiwaniu środków na twórczość i działalność artystyczną,
- utworzenie funduszu pomocowego na rzecz artystów zrzeszonych w Fundacji,
- promocja kultury i działalności artystycznej w kraju i za granicą.

ZAŁOŻENIA

Zasadniczym założeniem Fundacji jest strukturalne i alternatywne finansowanie ważnych oraz wartościowych inicjatyw ze sfery kultury i sztuki, przy współpracy i subwencji z MKiDN, firm i instytucji krajowych oraz zagranicznych.

RELACJE

Stałym i ważnym kierunkiem w działaniu Fundacji będzie nawiązywanie nowych i trwałych relacji, wymiany kulturalnej z innymi krajami, m.in. z Ukrainą, Kanadą, USA. Ważną sprawą będzie też tworzenie nowych oddziałów i nawiązywanie korzystnych umów partnerskich.

POMOC ARTYSTOM



POMOC INDYWIDUALNA

Fundacja realizuje cele poprzez indywidualne wsparcie artystów; pomoc w leczeniu, w realizacji podejmowanych działań artystycznych, wzmacnianiu ich statusu, urzeczywistnianiu własnych talentów. Pomoc ta, ma się przyczyniać do godnego życia artysty.



POMOC PROGRAMOWA

„Złotówka na kulturę” — niewiele a jednak wiele — dla artystów, którzy chcą realizować swój cel, publikować wiersze, pisać piosenki, śpiewać, fotografować, malować. Przekazując, nawet skromny datek, na konto Fundacji możemy pomóc właśnie takim twórcom.



POMOC STRUKTURALNA

Celem pomocy strukturalnej Fundacji „Niezależny Fundusz Kultury POLCANART” jest osiągnięcie spójności w rozwoju kultury, niwelowanie różnic na poziomie życia i rozwoju kultury, zarówno w skali różnych regionów, jak i państw.

